

BB

SHUSAKU

ENDO

Głęboka rzeka



BB

SHUSAKU
ENDO

Głęboka rzeka

Przełożył

MIKOŁAJ MELANOWICZ



Głęboką rzekę, Panie,
chciałbym przekroczyć
i pójść na miejsce ostatniej zbiórki

Negro spiritual

Rozdział 1

Przypadek Isobego

*Yaki imo-o,yaki imo,
hokahoka-no yaki imo-o.*

Gdy przypominał sobie tę chwilę, w której lekarz zawyrokował, iż żona jest chora na raka, a na leczenie jest za późno, w duszy Isobego zawsze ożywało owo zawodzenie sprzedawcy pieczonych patatów, które dochodziło spoza okna, jakby kpiąc sobie z jego wzburzenia.

Głos męczyzny, przeciągły i – zdawałoby się – beztroski.

Yaki imo-o,yaki imo, hokahoka-no yaki imo-o.

– O, tu jest rak. A tu są przerzuty.

Palec lekarza powoli, jakby dostosowując się do głosu sprzedawcy patatów, pełzał po zdjęciu rentgenowskim.

– Myślę, że operacja byłaby trudna – wyjaśniał monotonnym głosem. – Spróbujemy raczej zastosować chemioterapię i naświetlania.

– Ile jeszcze – Isobe wstrzymał oddech – jej zostało?

– Około trzech miesięcy. – Lekarz odwrócił wzrok. – W najlepszym razie cztery.

– Chyba będzie cierpieć.

– Fizyczny ból można do pewnego stopnia zmniejszyć, podając morfinę.

Zamilkli na chwilę, po czym Isobe zapytał:

– Czy można stosować zastrzyki Maruyamy i inne leki chińskiej medycyny?

– Naturalnie. Można stosować wszystkie leki ludowe, jakie tylko zechcecie.

Fakt, że lekarz zgodził się na wszystko, oznaczał, że już nie było żadnej nadziei.

Znów zapadło milczenie. Nie mogąc tego znieść Isobe wstał, lekarz jeszcze raz zwrócił się w stronę zdjęcia rentgenowskiego, a nieprzyjemny zgrzyt obrotowego krzesła zabrzmiał jak przepowiednia śmierci żony.

Ja tylko śnię.

Wchodząc do windy, nadal miał to poczucie nierealności. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że żona może umrzeć. Odnosił wrażenie, że ogląda jakiś film i nagle, niespodziewanie zaczęto wyświetlać zupełnie inny.

Bezmyślnie się wpatrywał w ołowiane niebo zimowego zmierzchu. Na zewnątrz znów rozległ się głos sprzedawcy patatów. *Świeżutkie gorące ziemniaki. Hokakoka-no jaki imo-o.* Zastanawiał się, jak najlepiej okłamać żonę. Ale chora pewnie z łatwością przejrzy jego serce na wylot. Usiadł na krześle przy windzie. Obok przeszły dwie pielęgniarki, szczebiocząc wesoło. Pomyślał: Pracują w szpitalu, a mimo to są pełne młodzieńczej radości i wigoru, mających niewiele wspólnego z chorobą i cierpieniem.

Wciągnął głęboko powietrze, mocno zacisnął palce na gałce drzwi prowadzących do pokoju chorej. Żona spała z jedną ręką na piersi.

Usiadł na jedynym tutaj stolku i jeszcze raz powtórzył w duchu wcześniej przemyślane kłamstwo. Jej powieki podniosły się ciężko. Ujrzawszy męża, uśmiechnęła się słabo.

– Widziałeś się z panem doktorem?

– Uhm.

– Co powiedział?

– Powiedział, że jeszcze trzy, cztery miesiące musisz zostać w szpitalu. Po czterech miesiącach stan znacznie się poprawi. Jeszcze tylko trochę cierpliwości.

Zdawał sobie sprawę z tego, jak nieudolne jest to kłamstwo, wydało mu się nawet, że krople potu wystąpiły mu na czole.

– Tak? – Spojrzała na jego wilgotne czoło. Isobe bał się jej przenikliwości. – No więc jeszcze trzy, cztery miesiące będę sprawiać ci kłopot.

– Nie mów głupstw. Jaki znowu kłopot.

Uśmiechnęła się. Nigdy dotąd nie słyszała od męża tak ciepłych słów. Ten szczególny uśmiech żony. Na początku, po ślubie, gdy wracał z pracy do domu zmęczony złą atmosferą w firmie, witała go w drzwiach tym swoim uśmiechem, który go serdecznie otulał.

– Po wyjściu ze szpitala trochę odpoczniesz, a gdy już będziesz zupełnie zdrowa, może pojedziemy do ciepłych źródeł. – Aby ukryć poczucie winy, znowu skłamał, myśląc o tym, że traktował ją dotąd zbyt szorstko.

– Ależ ja nie potrzebuję tak kosztownych wydatków.

„Nie potrzebuję” – w tych słowach podobnie jak w nawoływaniu sprzedawcy patatów mieszało się niejakić poczucie samotności z bólem. A może już zna całą prawdę? Nagle odezwała się jakby do siebie: – Czy widziałeś to drzewo? – Zwrócona do okna, wpatrywała

się w ogromny miłorząb, który rozpostarł swe olbrzymie gałęzie, jakby coś obejmował. – Ile lat przeżyło to drzewo?

– Ze dwieście. W każdym razie to chyba najstarsze drzewo w okolicy.

– Ono mi coś powiedziało. Powiedziało, że życie wcale się nie kończy.

Gdy była zdrowa, codziennie podlewała kwiaty na werandzie i miała zwyczaj przemawiać do każdej roślinki, jak mała dziewczynka. „Wypuść piękne kwiaty. Dziękuję ci za piękne kwiaty”. Taką rozmowę prowadziła z nimi, a nauczyła się tego od matki, która lubiła kwiaty. Również po zamażpójściu zachowała ten zwyczaj. Ale rozmawiać z miłorzębem zaczęła chyba dlatego, że instynktownie wyczuła cień chmur gromadzących się nad jej życiem.

– Tym razem z drzewem rozmawiasz? – zażartował śmiejąc się, ażeby ukryć niepokój. – W każdym razie nic w tym złego. Z chorobą już się wyjaśniło. Możesz więc codziennie rozmawiać z miłorzębem.

– No właśnie – odpowiedziała słabym głosem, bez przekonania.

Jakby się domyślając prawdy o swej chorobie, pogładziła palcami wychudłe policzki.

Rozległ się głos kuranta – sygnał, który głosił, że skończył się czas odwiedzin w szpitalu. Wziął do ręki papierową torbę z brudami i wstał z okrągłego stołka.

– Chyba już pójdę.

Udając, że ziewa, wyciągnął rękę i ścisnął dłoń żony. Nigdy przedtem tego nie robił, zawstydzają go takie gesty. Podobnie jak większość mężów w Japonii krępował się okazać miłość do żony. Jej zwiotczala dłoń mówiła mu, że śmierć niepostrzeżenie rozprzestrzenia się w jej ciele. Odwzajemniła się swym charakterystycznym uśmiechem.

– Czy jesz regularnie? A pranie oddaj mamie.

– Oczywiście, jem.

Gdy wyszedł na korytarz, czuł się tak, jakby pierś wypełnioną miał ciężkim ołowiem.

W kącie pokoju przyciszony telewizor; nadawali jakąś głupią grę. Cztery młode pary małżeńskie rzucały po kolei dużą kostką i gdy uzyskiwały łącznie dziesięć punktów, wygrywały trzydniową wycieczkę na Hawaje. Siedząc obok śpiącej żony, patrzył obojętnie na ekran. Jedna z par, która zdobyła dziesięć punktów, chwyciła się za ręce z radości. Nad ich głowami rozsypały się i powoli spadały drobne płatki konfetti.

Isobemu wydało się, że gdzieś w pokoju rozległ się szyderczy śmiech. Jakby ktoś pokazywał tę szczęśliwą parę małżeńską, żeby zadać mu tym większe cierpienie.

Przez wiele lat Isobe zamartwiał się z powodu złych stosunków w pracy i nie umiał sobie z tym poradzić, ale teraz, w tej chwili, znalazł się w zupełnie innej sytuacji, jakże różnej wymiarem od tamtych powszednich frustracji. Śpiąca obok żona za trzy lub cztery miesiące na pewno umrze. Isobe jeszcze nigdy nie brał pod uwagę takiej sytuacji. Było mu ciężko. Nie wierzył w żadną religię, ale teraz, jeśli istnieją bóstwa i Buddowie, pragnąłbym zwrócić się do nich ze skargą: „Dlaczego zsyłacie na mnie takie nieszczęście? Przecież żona jest zwyczajną kobietą: jest dobra i czuła. Pomóżcie jej, błagam”.

Przełożona pielęgniarek o nazwisku Tanaka, którą już znał z widzenia, wpisywała coś do karty chorej. Kiedy ją mijał, podniosła głowę i ukloniła się z nie skrywanym współczuciem w oczach.

Gdy wrócił do domu w Ogikubo jego teściowa, która mieszkała w sąsiedztwie, właśnie wkładała kolację do lodówki. Powiedział jej o stanie żony odpowiednio zaciemniając sens tego, co wyjawiał lekarz. Nie miał odwagi powiedzieć prawdy, bo nie wiedział, jak teściowa ją przyjmie.

- Otosan wcześniej dziś wrócił, więc już pójdę do domu.
- Dziękuję mamie.
- Kiedy córka poszła do szpitala, ten dom stał się taki duży.

- Bo ona jest taka pogodna z natury – powiedział, a w duchu znów poskarżył się bogom. *Jest zwyczajną kobietą. Pomóżcie jej, błagam!*

Kiedy teściowa wyszła, jak nigdy dotąd zaczęła mu doskwierać pustka tego domu, pustka jakiej dotychczas w ogóle nie znał. Miała rację. To dlatego, że nie było tu żony.

Jeszcze miesiąc temu Isobe uważał, że obecność żony w domu jest czymś tak naturalnym, iż tak naprawdę nie uświadamiał sobie jej istnienia i nawet nie odzywał się do niej, jeśli to nie było konieczne. Nie mieli własnych dzieci, raz nawet przyjęli dziewczynkę do adopcji. Ale w końcu nie udało się – nie mogli się do niej przyzwyczaić. Isobe, który był raczej małomówny, nie potrafił mówić ciepłych słów żonie, a co dopiero przybranej córce; po prostu nie był zdolny do wyrażania swoich uczuć. Podczas posiłków to raczej żona mówiła – on ograniczał się do zdawkowego potwierdzenia: „aha” albo „to chyba dobrze”. Często więc wzdychała, pytając: „Czy nie mógłbyś choć trochę porozmawiać z tym dzieckiem?”. Często robiła mu za to wyrzuty. Z żoną tak naprawdę zaczął rozmawiać, dopiero kiedy poszła do szpitala.

Niespełna miesiąc od diagnozy lekarza, trafnej aż do okrucieństwa, żona zaczęła gorączkować i skarżyć się na bóle w całym ciele. Mimo to, aby nie sprawić mężowi przykrości, dzielnie się uśmiechała. Potem, wkrótce po naświetlaniach, zaczęły jej wypadać włosy, a przy każdym najdrobniejszym nawet ruchu, przeszywał ją ból tak gwałtowny niby błyskawica, i wtedy cicho pojękiwała. Z powodu leków przeciwrakowych wymiotowała po każdym posiłku.

– Czy nie można by podać morfiny? – zapytał lekarza, ponieważ nie mógł już tego wytrzymać.

– Można, ale stosując zbyt wcześnie morfinę przyspieszymy koniec – powiedział, co kłóciło się z jego wcześniejszym zapewnieniem. W japońskich szpitalach stosuje się w zasadzie praktykę przedłużania życia pacjenta za wszelką cenę, choćby o jeden dzień. Isobe, chociaż wiedział, że nie ma już ratunku mimo intensywnego leczenia, nie mógł zaprzeczyć, że również w jego sercu kryje się pragnienie przedłużenia jej życia, choćby o godzinę czy nawet minutę. Ale gdy myślał o Keiko, jak wytrwale znosi ból, zaciskając zęby i tłumiąc jęk, żeby tylko nie sprawić mężowi przykrości, chciał prosić lekarza, by już nie przedłużać jej cierpień.

Ale pewnego dnia, gdy jak zwykle po pracy zaszedł do szpitala, żona powitała go z uśmiechem na twarzy.

– Tak dobrze się dzisiaj czuję, że trudno uwierzyć. Dostałam specjalny zastrzyk – powiedziała ożywionym głosem. – To jakiś cud. Ciekawe, co to za lekarstwo?

– Może nowy antybiotyk – Isobe zrozumiał, że już zaczęto podawać morfinę.

– Gdyby ten lek nadal tak działał, to mogłabym szybko wyjść ze szpitala. A poza tym ta jedynka jest zbyt luksusowa dla mnie.

– Nie przejmuj się tym. Jakoś dam radę, miesiąc czy dwa, opłacić pokój jednoosobowy.

A przecież już zaczął korzystać z oszczędności żony, która zbierała pieniądze na podróż do Hiszpanii i Portugalii, gdzie mieli pojechać po przejściu męża na emeryturę. Tę wycieczkę traktowała jak podróż poślubną, której nie mogli kiedyś zrealizować, i rozkładając mapę, zaznaczała czerwonym kółkiem, niby znakiem szczęścia, nie widziane dotąd miasta, Lizbonę i Coimbrę. Poprosiła nawet męża, który prawie dwa lata przebywał służbowo w Ameryce, żeby uczył ją angielskiego.

Nie mówiąc prawdy
znów wyszedłem
ze szpitala.

Drżący ze strachu
otwieram oczy i myślę
o życiu bez żony.

Te nieudolne wiersze Isobe zapisał w notesie, siedząc na ławce na peronie i oczekując przyjazdu pociągu. Nie interesował się wyścigami koni czy grą w madzianga. Jedną z jego nielicznych przyjemności było picie sake, gra w go i – mimo że nie uważał się za poetę – układanie haiku.

Nigdy jednak nie pokazywał swych wierszy żonie. Należał do mężczyzn, którzy wstydzą się wypowiadać otwarcie uczucia czy choćby je okazywać wyrazem twarzy – oczekiwał, że żona się domyśli, bez słów.

Jakże delikatna
jest już jej ręka
widać nawet żyły.

Pewnej soboty wcześniej niż zwykle odwiedził chorą i ujrzał siedzącą przy niej kobietę o szerokim czole i wielkich źrenicach, w chustce na głowie.

– Ta pani jest wolontariuszką – przedstawiła ją żona, a głos jej świadczył, że dzięki morfinie nie odczuwa dziś bólu. – Odkąd jestem w szpitalu, po raz pierwszy przysłała do mnie wolontariuszka.

– Naprawdę? – zdziwiła się kobieta, uważnie przyglądając się mężczyźnie. – Przysłała mnie siostra przełożona Tanaka, przydzielono mnie do opieki nad panią. Nazywam się Naruse.

– Czy pani ma... rodzinę?

– Nie, rozwiodłam się, gdy byłam młoda. Dlatego w tygodniu robię coś, co się uważa za normalną pracę, i tylko w soboty po południu wraz z grupą ochotników pomagam w szpitalu.

Isobe głośno wyraził dla niej podziw, ale w sercu poczuł niepokój. Nie przygotowana zawodowo może niechcący zdradzić żonie prawdę o chorobie, tego się obawiał.

– Pani potrafi zajmować się chorymi. Teraz pomaga mi zjeść kolację – wyjaśniła żona.

– Bardzo będę wdzięczny za pomoc – powiedział, akcentując słowo „wdzięczny”, i schylił głowę.

– A teraz proszę mi wybaczyć, pójdę, skoro pan już przyszedł.

Naruse Mitsuko uprzejmie schyliła głowę, wzięła tacę z w połowie zjedzoną kolacją i sztuczkami i wyszła. Ze sposobu mówienia oraz cichego zamykania drzwi Isobe zrozumiał, że jest ona wolontariuszką godną zaufania.

– Chyba jest bardzo dobra – powiedziała żona takim tonem, jakby przypisywała sobie samej zasługę znalezienia tej kobiety. – Skończyła ten sam uniwersytet co ty.

– Dlaczego więc zajmuje się pracą społeczną?

– Bo taka już jest. Zna się na rzeczy! – I dodała, nie kryjąc kobiecej ciekawości: – Ale dlaczego się rozwiodła?

– Skąd mam wiedzieć. Lepiej nie wtrącaj się do cudzych spraw – powiedział głosem jakby rozgniewanym, ale w głębi serca obawiał się, że kobiety szybko wejdą w zażyłość i wolontariuszka może wyjawić żonie prawdę.

*

– Coś dziwnego się zdarzyło – powiedziała Keiko wpatrując się gdzieś w przestrzeń. – Zasnęłam po zastrzyku i ujrzałam pokój herbaciany w naszym domu i twoją sylwetkę od tyłu. Zacząłeś się szykować do snu, nie gasząc gazu pod czajnikiem w kuchni. Krzyczę i krzyczę z całej siły, że spali się czajnik i wybuchnie pożar... Ale ty nie zwracasz na mnie uwagi. Wciąż krzyczałam i krzyczałam. Jednak w końcu zgasiłeś światło w sypialni.

Isobe patrzył na poruszające się wargi żony. Rzeczywiście tak było, zgasił światło w sypialni i poszedł spać. Po chwili poczuł dziwny niepokój, przebudził się i zrozumiał, że nie zgasił gazu w kuchni. Gwałtownie zerwał się z pościeli. Gdy wbiegł do kuchni, ujrzał rozżarzony czajnik, tak czerwony jak dojrzała wiśnia!

– Naprawdę to widziałaś?

– Tak. Dlaczego pytasz?

Wyznał jej szczerze, co się stało, a Keiko słuchała z napięciem na twarzy.

– To znaczy, że jeszcze się na coś przydadę – wymamrotała, jakby dopiero co przebudziła się ze snu. – Podobno sny się sprawdzają, a ja wierzę, że czasem to się zdarza.

Isobe czuł rosnący niepokój, ponieważ rozmowa żony z drzewem i dziwne sny były niewątpliwym znakiem, że zbliża się śmierć. W dzieciństwie babcia mu mówiła, że człowiek przed śmiercią widzi rzeczy, które są niewidoczne dla ludzi zdrowych. Wycieńczenie żony, której ulgę przynosiła tylko morfina, nie uszło uwagi Isobego, który odwiedzał ją przecież codziennie. Dzięki morfinie czuła się zdrowa przynajmniej na czas jej działania.

– Powiedziała mi to dziś Naruse i wyjaśniła, że również uczeni twierdzą, że sny mają rozmaity głęboki sens. Jak ona to nazwała? A, właśnie, mówiła, że jest to telepatia we śnie. Że w moich snach

poznaję to, co we mnie nieświadome. Niestety, nic więcej nie chciała mi objaśnić.

Gdy mu o tym opowiedziała, Isobe nie wiedząc dlaczego, poczuł niepokój na wspomnienie dużych oczu kobiety. Miały w sobie coś dziwnego, jakby umiały czytać w sercu żony.

Dobre samopoczucie, które pojawiało się dzięki morfinie nagle znikło, jak wieczorna zorza, co rozjarza się blaskiem na chwilę w letni dzień. Odtąd żona cały czas miała maskę tlenową i spała, ciężko dysząc. Gdy w sobotni wieczór cicho otworzył drzwi do pokoju, wolontariuszka masowała nogi żony, która leżała cierpliwie z igłą kroplówki w ramieniu. Ujrzawszy męża, popatrzyła smętnie i nie uśmiechnęła się, chociaż zwykle to robiła.

– Jakbym się zapadała pod ziemię – wyszeptała słabym głosem i znów zapadła w sen. Żaden mięsień nie drgnął na twarzy Naruse, tylko wpatrywała się w chorą. Jej chłodne spojrzenie zdawało się mówić, że stan chorej jest już beznadziejny, i nagle przeszył go niewysłowiony ból.

– Jaki jest jej stan dzisiaj?

– Hm, trochę rozmawiała ze mną.

– Nie wie o tym, prawda? – ściszym głosem zapytał Isobe. – Ja milczę na ten temat. Proszę więc również nie mówić.

– Wiem, ale – powiedziała spokojnym głosem – małżonka sama chyba się domyśla. Nieuleczalnie chorzy na raka wiedzą o własnej śmierci częściej, niż ludzie wokół siebie wyobrażają.

– Ale ona ani razu o tym nie wspomniała – Isobe protestował, upewniając się, że żona mocno śpi, na co Mitsuko dodała głosem równie opanowanym, wręcz chłodnym:

– To z troski o pana.

– Proszę nie mówić tak okrutnych rzeczy.

– Bardzo przepraszam. Jako wolontariuszka widziałam już dużo takich przypadków. – Martwiła się, jak sobie pan poradzi, kiedy jej już nie będzie.

– Naprawdę?

– Mówiła też jakieś dziwne rzeczy. Mówiła, że jej świadomość ją opuszcza i z góry ogląda własne ciało, leżące na łóżku.

– Może to wskutek ubocznego działania leku?

– Być może. Ale zdarza się, wśród chorych na raka, że mają takie doznania. Co prawda lekarze i pielęgniarki nie wierzą w to.

Isobemu wydawało się, że tego rodzaju zjawiska są objawem zbliżającej się śmierci. Za oknem było szaro, zupełnie jak wtedy, gdy obok szpitala rozlegało się przeciągłe wołanie sprzedawcy patatów. Chyba nawet nie przeczuwał, jakie wrażenie wywiera jego zawodzenie na tych, co słuchają. Obraz Lizbony, gdzie w każdym oknie stoją donice z kwiatami. Na bielutkiej plaży Nazaretu kobiety w czerni naprawiają sieci. Jeśli żona ma widzieć majaki, to przynajmniej niech będą to takie widoki, nie obraz ciała bez duszy.

Ten przypadek z świadomością, która opuszcza ciało, to niewątpliwie omen bliskiej śmierci.

– To już kwestia czterech, pięciu dni – powiedział lekarz, wezwawszy go do swojego gabinetu. – Jeśli pan zamierza zawiadomić krewnych...

– Cztery, pięć dni?

Lekarz zmrużył oczy ukryte za okularami. Kieszonki jego brudnego fartucha wypchane były długopisami, termometrami i innymi podobnymi drobiazgami. Na pewno w takich chwilach wołał nie widzieć wyrazu twarzy członka rodziny pacjenta.

– To już tak szybko? – zapytał bezsensownie z żalem w głosie, a przecież ani na chwilę nie zapomniał, że lekarz dokładnie określił czas jej życia na trzy, cztery miesiące.

– Czy do końca zachowa świadomość?

– Trudno powiedzieć, ale za dwa, trzy dni może zapaść w śpiączkę.

– Chyba będzie bardzo cierpieć, umierając?

– Zrobimy wszystko, żeby nie cierpiała.

I tak nadszedł ten dzień. W jego sercu zapanowała pustka, jakby stanął samotnie na powierzchni księżyca. Starając się przezwyciężyć poczucie pustki, lekko ujął gałkę drzwi do pokoju chorej. Przełożona pielęgniarek Tanaka z asystentką ustawiały namiot tlenowy.

– O, przyszedł pani mąż – powiedziała z otuchą doświadczona Tanaka.

– To ty? – żona poruszyła ręką, przywołując męża bliżej do wezgłowia, i pokazała na stolik przy łóżku.

– Później... przejrzyj ten notes.

– Dobrze.

Gdy obie pielęgniarki, rozumiejąc takie chwile, wyszły z pokoju, żona powiedziała:

– Dziękuję za te wszystkie lata.

– Nie mów głupstw. – Isobe odwrócił twarz. – Jak możesz mówić takie rzeczy, jakbyś już umierała.

– Wybacz, ja wiem. Jutro może już nie będę mogła mówić.

Mówiła już bez cienia wstydu, bez zakłopotania. Towarzyszka jego życia, z którą spędził trzydzieści pięć lat, jutro może odejść z tego świata.

Był zmęczony. Usiadł na okrągłym stoliku obok łóżka i w milczeniu wpatrywał się w twarz żony, doszczętnie zrujnowanej

chorobą. Przez półotwarte powieki posepnie patrzyła na męża, ale i to sprawiało jej ból, więc po chwili zamknęła oczy.

Weszła Tanaka i przyłożyła do ust żony nową maskę tlenową.

– Jeśli przeszkadza, można zdjąć, ale to przynosi ulgę. Żona nie odpowiedziała, nie otwierała oczu. Jej ramiona poruszały się w rytm oddechu.

Tej nocy zapadła w śpiączkę. Od czasu do czasu coś bredziła. Isobe nie mógł nic zrobić – siedział przy niej i trzymał za rękę. Lekarze i pielęgniarki wciąż na zmianę mierzyli jej ciśnienie, robili zastrzyki, badali puls. Isobe zawiadomił jej ojca i matkę, a także młodszego brata.

– Wzywa pana – zawołała młoda pielęgniarka, gdy kończył rozmowę telefoniczną z automatu.

– Proszę się pospieszyć. – Gdy wszedł do pokoju, siostra przełożona rozpięła namiot tlenowy i powiedziała głosem pełnym napięcia.

– Coś mówi. Proszę przyłożyć ucho do jej ust.

– To ja, to ja, poznajesz?

Isobe zbliżył ucho do jej ust. Urywaniem głosem, ciężko dysząc, starała się z całych sił coś mu powiedzieć, choć nie mogła wydobyć słów.

– Ja... na pewno... odrodzę się gdzieś na tym świecie. Szukaj mnie... znajdź mnie... Obiecuj, obiecuj...

Obiecuj, obiecuj... – te ostatnie słowa były mocniejsze od innych, być może wyrażały jej największe pragnienie.

Minęło kilka dni jak we śnie. W żaden sposób nie mógł się pogodzić z myślą, że żona naprawdę odeszła na zawsze. Trzy dni później przy krematorium w pobliżu szosy Koshu stało wiele czarnych samochodów, a gromadki kilku osieroconych rodzin

znikały – jakby wsysane – w pomieszczeniach krematorium, jak podczas taśmowej produkcji. I nawet gdy zjawiała się w kolejności następna grupa w poczekalni, Isobe myślał o tym samym. Widział przez okno dym wznoszący się z wysokiego komina. Ten dym przywoływał wspomnienie zachmurzonego nieba, które oglądał z sali chorej. *Ona pojechała w podróż.* Isobe szeptał w stronę dymu. *Gdy wróci, życie potoczy się jak przedtem.* A mimo to jego usta wypowiadały słowa wdzięczności skierowane do żałobników.

Przyszedł pracownik krematorium i ogłosił, że rozpoczyna się kremacja. Na oczach Isobego mężczyzna w średnim wieku, ubrany w mundur i służbową czapkę, włączył mechanizm pieca i rozległ się trzask podobny do dźwięku przejeżdżającego wiaduktem super-ekspresu. Na wpół przytomny Isobe nie bardzo wiedział, co się działo.

– A teraz tymi pałeczkami proszę wybrać kości i włożyć je do urny – instruował mundurowy pracownik o twarzy pozbawionej wyrazu i podał mu duże czarne pudełko. Isobe nie mógł w żaden sposób uwierzyć, że te rozsypane, dziwnie blade szczątki kości należą do jego żony. *Co to w ogóle jest? Co my tu robimy?* Myślał, stojąc obok płaczącej teściowej i innych kobiet. *To nie jest ona.*

Trzymając urnę z prochami owiniętą białym płótnem, Isobe wrócił do domu w towarzystwie rodziny i kapłana. Do domu, gdzie wszystko trwało, te same meble, sprzęty, ulubione przedmioty, których używała. Kobiety wniosły do saloniku tace z jadłem, miseczki i piwo.

– Po pierwszych siedmiu dniach jest dzień czterdziesty dziewiąty – powiedział jeden z krewnych z widoczną na ustach pianą z piwa. Był to mężczyzna, który kierował przygotowaniem do pogrzebu. I teraz też myślał tylko o tym, co należy zrobić potem.

– Kiedy przypada dzień czterdziesty dziewiąty?

– W środę.

– Na pewno jesteście państwo zajęci, ale postaramy się, żeby ceremonia żałobna odbyła się bez zbędnych formalności i nie trwała długo, prosimy więc nas odwiedzić w tym dniu.

– Ale, proszę czcigodnego kapłana – jeden z mężczyzn zwrócił się do duchownego – dlaczego w buddyzmie organizuje się uroczystości żałobne czterdzieści dziewięć dni później?

– Chodzi o to, że... – zaczął łysy kapłan, przesuwając paciorki różańca spoczywającego na kolanach – w buddyzmie uważa się, że po śmierci człowieka jego duch pozostaje w stanie swobodnego unoszenia się w przestrzeni. Jest to stan poprzedzający właściwą transmigrację, czyli stan bezwolnego błakania się po ziemi. Siódmego dnia duch wchodzi do wnętrza innej pary, mężczyzny i kobiety, odradza się i rozpoczyna nowe życie. To się dzieje w ciągu pierwszych siedmiu dni.

– Uhm.

Mężczyźni po raz pierwszy słyszeli takie wyjaśnienie, więc wpatrywali się w kapłana milcząco ściskając szklanki z piwem w rękach.

– To znaczy, że dzieje się to co siedem dni?

– Tak. Nawet jeśli czyjeś odrodzenie opóźnia się, to i tak do czterdziestego dziewiątego dnia na pewno odradza się on do życia jako czyjeś dziecko...

– Hm.

Słuchający wydali z siebie westchnienie zdziwienia, a może ulgi, lecz nikt nie brał poważnie tych wyjaśnień.

– A więc to dlatego w świątyniach mówi się o „czterdziestu dziewięciu dniami” od pogrzebu, prawda? – Ktoś jakby dawał wiarę słowom kapłana, ale w duchu i tak pewnie myślał, że to tylko sposób zarabiania przez duchownych.

Wtedy w uszach Isobego zabrzmiały echem przedśmiertne majaczenia żony: „Ja... na pewno... odrodzę się gdzieś na tym świecie. Odszukaj mnie...”.

Zasłuchany w te słowa, w półprzytomny Isobe usłyszał nagle głos dobrodusznego kapłana, który kłaniał się, żegnając wszystkich:

– Wypełniłem swoją powinność, więc proszę mi wybaczyć, że już pójdę.

Gdy wszyscy wyszli, Isobe otworzył dwie torby, które przyniósł ze szpitala. Były w nich rzeczy, których używała żona podczas choroby. Płaszcz, koszule, majtki, ręcznik, przybory toaletowe, zegarek i wrzucony między nie podniszczony notatnik. Mały, oprawny w czarną skórę notesik, jakie w banku rozdawano klientom na zakończenie roku. Otworzył go ze ściśniętym sercem:

Twoje kimona i ubrania zimowe są w pudle A z drzewa paulowni, w ściennej szafie w sypialni.

Wiosenne i letnie kimona, letnie ubrania, wizytowe kimono – w podobnym drewnianym pudle oznaczonym literą B.

Pamiętaj, że kimona należy oczyścić szczotką i dać do pralni z końcem każdej pory roku.

Twoje swetry, zwykłe i rozpinane, są w pudle drewnianym C.

Objaśniłam to mojej mamie.

Nasza książeczka oszczędnościowa i pieczęć oraz papiery wartościowe są przechowywane w banku razem z tytułami do nieruchomości.

Gdy będziesz miał jakieś kłopoty, poradź się pana Inoue, dyrektora oddziału banku M., i adwokata Sugimoto.

Oczy zaszyły mu mgłą, wahał się, czy ma odwrócić kartkę. Na każdej stronie żona zanotowała kolejno wskazówki, co ma robić, żeby dać sobie radę w życiu codziennym, gdy już jej nie będzie. „Sprawdzić gaz przed pójściem spać”. „Jak czyścić wannę w łazience”. Objaśniała po kolei, bardzo dokładnie, wszystkie czynności, które jej powierzył w latach wspólnego życia.

– Czy sądzisz, że ja to wszystko potrafię?! – krzyknął w stronę tabliczki z wypisanym pośmiertnie jej imieniem i zdjęciem, które trzymał teraz w pokoju herbacianym.

– Nie zostawisz chyba tak tego domu... Wracaj szybko, dobrze?

Dwadzieścia dni przed śmiercią zaczęła robić notatki w formie dziennika:

22 stycznia

Pochmurno. Dziś również zastrzyk. Żył w ręce całkiem poszarpane, wszędzie widać sinoczarne ślady od wylewów wewnętrznych. Rozmawiałam z miłorzębem zza okna.

– Miłorzębie drogi, ja umrę. Zazdroszczę ci. Żyjesz już dwieście lat.

– Z przyjściem zimy, ja też usycham. Odradzam się dopiero na wiosnę.

– A człowiek?

– Z ludźmi jest podobnie jak z nami. Chociaż umierają, powracają znowu do życia.

– Powracają do życia? W jaki sposób?

– Przyjdzie czas, że zrozumiesz – odpowiedziało drzewo.

25 stycznia

Bardzo się martwię, gdy myślę o swoim niezaradnym mężu, któremu nikt nie będzie pomagał, kiedy już odejdę.

27 stycznia

Strasznie cierpię aż do wieczora. Ból fizyczny łagodzą lekarstwa, ale serce mam wyczerpane lękiem przed śmiercią.

30 stycznia

Przyszła wolontariuszka Naruse, Jest zawsze opanowana i spokojna, więc chcąc nie chcąc, zdradziłam jej tajemnice serca, których nie mogłam wyjawić mężowi.

– Wiem, że koniec ze mną, chociaż nic mu nie mówię.

Naruse kiwnęła głową ze zrozumieniem. Taki już miała charakter, nie zaprzeczyła ani nie pocieszyła.

– Czy pani wierzy w odrodzenie człowieka?

– Odrodzenie?

– Czy to prawda, że gdy człowiek umrze, to potem odradza się gdzieś na tym świecie?

Naruse tym razem przez chwilę patrzyła prosto w moje oczy, ale nie potwierdziła.

– Wciąż mi się wydaje, że odrodzę się i znów spotkam z mężem.

Naruse milczała i patrzyła w okno. Codziennie, codziennie ten sam znajomy widok. Wielkie drzewo ginkgo – miłorząb japoński.

Naruse wyszeptała: – Ja tego nie wiem. – Wzięła tacę z posiłkiem i wyszła z pokoju. Od jej pleców powiało chłodem.

Ciągnęły się puste dni. Aby wypełnić pustkę w sercu, starał się jak najdłużej pozostawać w pracy, opóźniając godzinę powrotu do domu. Zapraszał na kolacje lub sake podwładnych pracujących po godzinach i w ten sposób jakoś tłumił uczucie rozpacz. Ciężko mu było po powrocie do domu patrzeć na rzeczy, których używała żona, na jej kaptcie, kubek, pałeczki, zeszyt wydatków domowych z kilku jej wpisami. Kiedy spojrzenie Isobego padało na te przedmioty, odczuwał przejmujący ból, jakby ktoś wwiercał mu w pierś ostry świder.

Bywało, że budził się w środku nocy. W ciemności zdawało mu się, że żona nadal leży obok niego, wołał ją owym okrzykiem „hej”, „hej”.

– Hej – krzyczał. – Hej, czy śpisz?

W odpowiedzi otrzymywał czarne milczenie, czarną pustkę, czarną samotność.

– Kiedy wrócisz z podróży? Jak długo zamierzasz zostawiać dom bez opieki?

Leżąc w mroku, zamykał oczy i pod powiekami widział twarz żony. Gdzie ona jest ta, ta głupia? Co tam robi, żeby tak porzucać męża?

Na pewno są odrodzę, gdzieś na tym świecie. Szukaj mnie, szukaj. Te ostatnie słowa wyszeptane wśród majaczeń zapadły mu w głąb uszu i trwały niby echo.

Ale Isobe nie potrafił uwierzyć, że to jest możliwe. Podobnie jak większość Japończyków nie miał żadnej religii; dla niego wszystko się kończyło wraz ze śmiercią. W domu nadal trwały rzeczy codzienne, którymi posługiwała się za życia żona.

Kiedy jeszcze żyłaś – pomyślał Isobe – zdawało się, że śmierć istnieje gdzieś bardzo daleko ode mnie. Ale śmierć, którą tak starałaś

są trzymać z dala ode mnie, rozpościerając ramiona, teraz, gdy cię zabrała, zdaje się stać tuż przede mną.

Isobemu pozostało teraz chodzić raz na dwa tygodnie na cmentarz Aoyama i polewać wodą rodzinny grobowiec Isobe, zmieniać kwiaty i składać dłonie w modlitwie.

Na błaganie żony „szukaj mnie” i „znajdź mnie” mógł odpowiedzieć przynajmniej w ten sposób.

Przyszedł grudzień. Nie mógł pogodzić się z myślą o spędzeniu świąt w pustym domu, gdzie zapanował kompletny bałagan. A przecież jego zmarła żona tak lubiła porządek i różne ozdoby, a także specjalne przysmaki na Nowy Rok. Ku jego radości kuzynka, która mieszkała pod Waszyngtonem, zaprosiła go na święta do Stanów Zjednoczonych. Isobe przyjął zaproszenie w nadziei, że podróż ulży nieco jego samotności, która go stale dręczyła, choć jak tylko mógł, starał się zająć pracą.

Kiedy był jeszcze kawalerem, mieszkał jakiś czas w Waszyngtonie. Jeździł wtedy samochodem kuzynki tu i ówdzie. Miasto prawie się nie zmieniło od tamtych czasów. Mąż kuzynki, aspirant na wydziale medycznym Uniwersytetu Georgetown, zabrał Isobego do swej pracowni uniwersyteckiej; pokazał mu campus, przypominający stare uniwersytety europejskie, następnie oprowadzał go po miasteczku uniwersyteckim, w którym przetrwał bez zmian wiek XIX. W pokoju jadalnym u kuzynki leżała książka-bestseller napisany przez aktorkę Shirley MacLaine, ze zdjęciem autorki na okładce.

– Och, Shirley MacLaine, prawda? To ta aktorka? – zapytał Isobe. – Dawniej bardzo mi się podobała. Podobno lubi Japonię.

– Teraz o tej książce tu głośno – powiedziała kuzynka.

– O czym to jest?

– O poszukiwaniu własnego poprzedniego życia.

– Ta twoja kuzynka wierzy w takie bzdury. Jej półka pełna jest takich książek o naukach New Age. – Mąż kuzynki uśmiechnął się ironicznie. Posługując się rozumowaniem właściwym lekarzowi wyjaśnił, że dziś w Ameryce panuje moda na siły nadnaturalne, przecenia się też przedśmiertne doznania ludzi. To jakieś zbiorowe szaleństwo.

– On wszystko zawsze tłumaczy racjonalnie – stwierdziła kuzynka i urażona nadeła policzki. – Na tym świecie jest mnóstwo rzeczy, których nie sposób pojąć rozumem. A przecież chodzi tylko o to, czego ludzie teraz nie potrafią jeszcze wyjaśnić. W końcu pewnego dnia nauka wytłumaczy te zjawiska.

– Ale – wtrącił się dotąd milczący Isobe – prawdę mówiąc, nie wierzę w jakieś poprzednie życie czy tego rodzaju rzeczy, ale dlaczego ta książka Shirley MacLaine stała się bestsellerem? Interesuje mnie raczej odpowiedź na to pytanie.

– O, właśnie – kuzynka pomyślała, że Isobe stanął po jej stronie. – Podobno badania na ten temat zaczęto prowadzić w kilku uniwersytetach amerykańskich po wojnie wietnamskiej.

– Robią to tylko psychologowie, którzy nie mają pojęcia o naukach ścisłych, i paru filozofów New Age – z dezaprobatą powiedział mąż. – Podobno na Uniwersytecie Virginia prowadzone są badania nad poprzednimi wcieleniami człowieka.

– Oczywiście, że tak. Książka napisana przez Stevensona, uczonego z Uniwersytetu Virginia, zajmuje w pobliskiej księgarni trzecie miejsce na liście bestsellerów.

– Kim jest ten Stevenson?

– Jeszcze nie czytałam. Wiem, że ten profesor Stevenson wraz z zespołem zebrał przypadki dzieci z całego świata, które zachowały

pamięć z poprzedniego życia; nie wiem, czy wnioski jego są słuszne czy nie, ale prowadzi on bardzo wnikliwe badania na ten temat.

Popijając whisky z wodą, którą mu żona przygotowała, mąż wtulił głowę w ramiona na znak, że nie ma o czym mówić.

Obracając szklanekę w jednej ręce, Isobe znów usłyszał ostatnie słowa żony.

Czy ona naprawdę wierzyła w poprzednie, a także pośmiertne życie? Ponieważ miała w sobie coś z dziecka – rozmawiała z kwiatami i drzewami, to znów wierzyła w prorocze sny – Isobe tłumaczył sobie, że majaczenia te były rezultatem jej desperackiego pragnienia.

Ale myśl o tym uświadomiła mu, jak bardzo musiał być ważny dla niej przez całe życie, i poczuł silny ucisk w piersiach. W najmniejszym stopniu nie był skłonny poprzeć twierdzenia, że jest coś takiego jak życie pośmiertne czy reinkarnacja. Podobnie jak mąż kuzynki nie traktował sprawy poważnie i tylko uśmiechał się do kuzynki czytającej książkę MacLaine, to znów kiwał głową na potwierdzenie, ale w swym zachowaniu nie był szczery.

– Nie wiem, dlaczego kobiety lubią takie historyjki – podsumował mąż kuzynki, ziewając.

– Moja zmarła żona też... – zaczął Isobe i zamilkł. Nie wierzył, ale jej ostatnie słowa były wielką tajemnicą, której nie mógł nikomu zdradzić. Były niby cenny dar pozostawiony mu przez żonę.

W dniu powrotu w poczekalni na lotnisku w Waszyngtonie zobaczył w witrynie kiosku książki, o których mówiła kuzynka: *Na krawędzi* Shirley MacLaine i *Dzieci, które zachowały pamięć poprzedniego życia* profesora Stevenson; stały ukośnie, wyróżnione hasłem „Bestsellery”. Może to nie przypadek, lecz działanie jakiejś niewidzialnej siły. Choć nadal nie wierzył w dziwne opowieści kuzynki, wydało mu się, że to jego zmarła żona pchnęła go ku tej witrynie z książkami. Nie namyślając się wiele, kupił obie.

Siedząc w samolocie, zaczął je przeglądać. Stewardessa Pan Am-u, która przyniosła napoje, spojrzała na okładkę i powiedziała:

– To bardzo interesująca książka. Ja też przeczytałam jednym tchem.

A więc kuzynka miała rację.

Isobemu bardziej się podobała relacja z prac profesora Stevenson, który przedstawiał liczne przykłady badań terenowych, niż książka MacLaine. Twierdził on, że tego rodzaju zjawiska istnieją, ale nie można obiektywnie udowodnić, że człowiek ma życie uprzednie. Do sprawy podchodził z całą powagą, więc można mu było zaufać. Po przeczytaniu tej przekonującej książki, Isobe zaczął trochę wierzyć w sensowność ostatnich słów żony.

Szanowny Panie Osamu Isobe,

Dziękuję Panu za list z 25 maja. Postaram się odpowiedzieć na pytania, jakie Pana nurtują.

Na Uniwersytecie Virginia od 1962 roku prowadzimy badania nad życiem po śmierci, którymi kieruje profesor Ian Stevenson. Zgodnie z jego wskazaniem znaleźliśmy dzieci różnej narodowości, poniżej trzech lat, które uważają, że pamiętają zdarzenia z poprzedniego życia, i gromadzimy ich relacje, jak również obiektywne oświadczenia ich rodziców i rodzeństwa oraz informacje o ich cechach fizycznych. Nasze studia stanowią tylko część badań, które prowadzono od czasu wojny wietnamskiej w celu naświetlenia przedśmiertnych i pozacielesnych doświadczeń, zjawisk paranormalnych i innych, które w Stanach Zjednoczonych dały dobre rezultaty.

Obecnie warunki, jakie stawiamy wobec przypadków „reinkarnacji” będących przedmiotem naszych studiów, są następujące:

1. Uwzględniamy przypadki, w których istnieje znaczna liczba wiarygodnych dowodów na poparcie twierdzeń nie dających się wyjaśnić jako jasnowidztwo, telepatia czy podświadoma pamięć;

2. przypadki, w których podmiot posiada wyjątkową umiejętność (jak mówienie obcymi językami lub gra na instrumentach muzycznych), której z pewnością nie mógł nabyć w obecnym życiu;

3. przypadki, w których podmiot ma znamiona w tych samych miejscach, gdzie, jak twierdzi, w poprzednim życiu zadano mu rany;

4. przypadki, w których te doświadczenia, nazwane wspomnieniami, nie podlegają znaczącej redukcji wraz z wiekiem podmiotu, i których nie da się wywołać przez trans hipnotyczny;

5. przypadki, w których duża liczba krewnych i przyjaciół podmiotu z jego minionego życia potwierdza reinkarnację podmiotu w ciągu długiego okresu czasu;

6. przypadki, w których tożsamość podmiotu z osobowością z przeszłości nie może być wyjaśniona za pomocą wpływu rodziców czy innych osób (powodem, dla którego wybieramy głównie dzieci poniżej trzech lat, jest mniejsza możliwość, niż u dzieci starszych, przemieszania przypadkowych rozmów dorosłych z ich własną pamięcią).

Przywiązujemy wagę do tych rygorystycznych warunków, ponieważ nasze badania nie są poświęcone okultyzmowi ani jakiegś tajemnej religii czy jasnowidzom – po prostu prowadzimy badania naukowe i obiektywne.

Muszę dodać, że na razie nie twierdzimy, iż istnieje reinkarnacja człowieka. Utrzymujemy jedynie, że stwierdziliśmy istnienie zjawiska sugerującego możliwość „reinkarnacji” wśród wielu narodów świata.

Do dnia dzisiejszego zebraliśmy ponad 1600 przypadków „reinkarnacji”, ale tylko jeden, w którym podmiot twierdził, że w poprzednim życiu był Japończykiem. A oto szczegóły tej sprawy.

Dziewczyna o nazwisku Ma Tin Aung Myo, która urodziła się we wsi Nathul w Birmie w grudniu 1953 roku, od czwartego roku życia nieustannie opowiadała o swym poprzednim życiu. Pewnego dnia idąc z ojcem, zobaczyła samolot na niebie. Bardzo się przestraszyła i rozplakała. Odtąd zawsze przerażał ją widok samolotu. Gdy ojciec zaczął wypytywać o powody, odpowiadała, że będą do niej strzelać. Po jakimś czasie oznajmiła, że chce jechać do Japonii.

Po pewnym czasie zaczęła opowiadać, że w poprzednim życiu pochodziła z północnej Japonii, zawarła związek małżeński, miała dzieci (ich liczba różniła się za każdym razem, gdy o tym mówiła), została powołana do wojska i podczas stacjonowania w Nathul, kiedy gotowała obok stosu drewna na opał, w górze pojawił się samolot wroga. Ona – a właściwie japoński żołnierz, którym wówczas była – stała w szortach i opasce na biodrach, gdy samolot zanurkował i ostrzelał ziemię z broni maszynowej. Uciekła i ukryła się za stosem drzewa, lecz pocisk trafił ją w pachwinę i zabił na miejscu.

Taką historię opowiedziała Ma Tin Aung Myo. Później twierdziła, że najprawdopodobniej miała mały sklep w Japonii, nim powołano ją do armii, że w wojsku pełniła obowiązki kucharza, a poza tym, że kiedy została zabita, armia japońska już się wycofywała z Birmy.

W opowieści nie pojawia się nazwisko japońskiego żołnierza ani żadne nazwiska jej krewnych lub nazwy miejscowości, w których mieszkała. Wiadomo jednak, że nie lubi kuchni birmańskiej, tylko słodczy i curry wyrabiane z bardzo słodkich kokosów. Wciąż powtarza, że chce wrócić do Japonii, kiedy dorośnie. Jej rodzina twierdzi, że Ma Tin Aung Myo często mówi coś do siebie w jakimś

niezrozumiałym języku, ale nie wiemy, czy jest to język japoński czy zwykła dziecinna paplanina. To dziwne, ale dziewczynka ma szramę w pachwinie, a więc w tym samym miejscu, w które ją zraniono w poprzednim życiu. Gdyby pan chciał więcej dowiedzieć się na ten temat, proszę przeczytać sprawozdanie z badań profesora Stevenson.

Jeśli w naszych badaniach znów natrafimy na przypadek, w którym podmiot badań będzie utrzymywał, iż w poprzednim życiu był Japończykiem, z przyjemnością Pana o tym zawiadomię.

Z poważaniem

John Osis

Zakład Badań Osobowości Ludzkiej

Wydział Psychologii

Sokoła Medycyny Uniwersytetu Yirginia

Rozdział 2

Spotkanie informacyjne

– Święta rzeka Ganges oczyszcza serca, gdy płynie przez targowisko jak przez labirynt, w którym tłoczą się ludzie i zwierzęta. Oto Indie, gdzie w starożytności kwitła cywilizacja nad brzegami Indusu.

Na ekranie monitora jeden po drugim ukazywały się obrazy: Tadź Mahal, wyglądający jak biała filiżanka odwrócona dnem do góry, stary mnich bramiński z czerwonym znakiem na czole, tancerka indyjska erotycznie poruszająca rękami. Około dwudziestu, w większości starszych, mężczyzn i kobiet zebrało się tutaj, by wysłuchać wyjaśnień i instrukcji na temat wycieczki do zabytków buddyjskich w Indiach, na którą wybierają się za dwa tygodnie.

Przy wtórze pokazywania i szmerów przesuwały się przeźrocza ukazujące podobne do siebie widoki, a także niemal jednakowe świątynie hinduistyczne. Szerokie ulice Bombaju i Kalkuty zalane przepoconym, cuchnącym tłumem, święte miejsca buddyjskie, takie jak Lumbini, Kapilawastu, Bodhrajā i Sarnath. Mitsuko wydawało się dziwne, że teraz, gdy w Japonii już zaczęła się jesień, ona za niecałe trzy tygodnie będzie chodzić po ziemi rozpalonej promieniami słońca.

Zapaliło się światło. Powietrze w audytorium zmieszało się z zapachem oddechów ludzkich, Mitsuko wyciągnęła więc chusteczkę z torebki. Siedzący przed nią mężczyzna poczuł zapach wody

kolońskiej i odwrócił głowę. Wyraz zdziwienia pojawił się na jego twarzy.

– A teraz pan Enami, przewodnik, który będzie państwu towarzyszył podczas wycieczki, omówi kilka spraw, aby państwo mogli przyjemnie podróżować. Proszę spojrzeć na kartki, które państwo otrzymali.

Przed monitorem stanął i przedstawił się czterdziesto- może pięćdziesięcioletni mężczyzna w okrągłych okularach.

– Nazywam się Enami, będę wam towarzyszyć w podróży. Studiowałem w Indiach cztery lata. W tym czasie pracowałem też jako przewodnik wycieczek Agencji Kosmos i wiem z doświadczenia, że są trzy rzeczy, na które państwo musicie zwrócić uwagę. Pierwsza dotyczy wody. Zalecam picie wody tylko przegotowanej albo coli czy soków. Niektórzy nasi klienci zamawiali wodę z lodem lub whisky z lodem w hotelu i kończyło się to okropnymi problemami z żołądkiem.

Następnie opisał specyficzne sposoby używania ubikacji w Indiach i wyjaśnił, że lewa ręka uznawana jest za nieczystą. Przestrzegał przed gładzeniem dzieci po głowach lewą ręką i dodał, że nie muszą dawać napiwków za usługi pod warunkiem, że nie żąda się czegoś specjalnego. Zgodnie z drukowaną instrukcją omówił punkt po punkcie, jak strzec się złodziei.

– W Indiach istnieje kastowy system religijny określający pozycję i rangę społeczną jednostki. Nazywają go warna dżati i jest tak bardzo skomplikowany, że nie mogę go wyjaśnić w prosty sposób. Warto jednak wiedzieć, że są tam ludzie nie wchodzący nawet do najniższej warny, czyli tak zwani niedotykalni. Ci niedotykalni spoza kast nazywani są z respektem Haridżanami, co formalnie znaczy „dzieci Boga”, ale w rzeczywistości są oni od dawien dawna traktowani z uprzedzeniem. Kiedy w czasie podróży będziemy świadkami takiej dyskryminacji, może być to nieprzyjemne

dla nas, Japończyków, lecz proszę pamiętać, że wynika to z długiej religijnej i historycznej tradycji.

Kiedy już wszystko wyjaśnił i udzielił wskazówek, jak się zachowywać w różnych sytuacjach podczas wycieczki, zachęcił do zadawania pytań.

– Przepraszam, ale przed zadaniem pytania proszę podać swoje nazwisko, żebyśmy mogli się poznać.

Kilka osób podniosło rękę.

– Nazywam się Numada. Chciałbym odwiedzić rezerwat dzikich ptaków. Czy będę miał możliwość pozostać trochę dłużej w Agrze lub w Bharatpur?

– Wprawdzie będziemy podróżować śladami Buddy, ale można pozostać w jakiejś miejscowości na trasie i później dołączyć do grupy. Lubi pan zwierzęta, tak?

– Tak.

– Właściwie całe Indie przypominają naturalny rezerwat. Wszędzie są tam małpy, mangusty, tygrysy. Proszę pamiętać, że są też kobry. – Wszyscy się roześmieli. – Ale jeśli ktoś się zdecyduje zostać w jakimś miejscu, proszę pamiętać, że należy zatrzymać się w hotelu wyznaczonym przez organizatorów. Jeżeli będą państwo spożywać posiłki poza hotelem, trzeba będzie dodatkowo płacić.

– To jasne.

Po kobiecie, która pytała o pogodę o tej porze w Indiach i o to, jakie ubrania należy zabrać ze sobą, rękę podniósł starszy pan.

– Czy można będzie zamówić nabożeństwo żałobne w świątyni?

– Ma pan na myśli świątynię buddyjską, a nie hinduistyczną, tak? Przepraszam, ale jak się pan nazywa?

– Kiguchi.

– Panie Kiguchi, czy chodzi panu o jakieś specjalne nabożeństwo?

– Nie, po prostu w czasie wojny w Birmie straciłem wielu kolegów, walczyłem też przeciw żołnierzom indyjskim, więc pomyślałem, że mógłbym poprosić o żałobne nabożeństwo zarówno za kolegów, jak i za dawnych wrogów.

Wszyscy ucichli na chwilę.

– Nie mogę obiecać na pewno, ale postaram się to panu zorganizować. Przy okazji, wyjaśnię, że w Indiach przeważa teraz hinduizm, na drugim miejscu jest islam, można wręcz powiedzieć, że buddyzm upadł. Nominalnie liczba buddystów wynosi podobno około trzech milionów, lecz w rzeczywistości duża część buddystów należy do kasty niedotykalnych. To znaczy, że ludzie najniższej warstwy, nie przynależący do żadnej kasty, szukali zbawienia w buddyzmie, który głosi naukę o równości ludzkiej. System kastowy natomiast był filarem podtrzymującym religię hinduistyczną i do dziś jest fundamentem społeczeństwa indyjskiego, a buddyzm w tym kraju uległ osłabieniu.

To wyjaśnienie zaskoczyło zebranych. Głównym celem ich podróży do Indii były słynne miejsca związane z buddyzmem, więc wyobrażali sobie, że Indie są krajem Buddy, krajem Siakjamuniego.

– W co więc wierzą wyznawcy hinduizmu? – zapytała naiwnie jakaś staruszka. Na tę wycieczkę śladami Buddy wybierała się wraz z mężem.

– Proszę się przedstawić.

– Okubo.

– Dziękuję. Hinduizm jest bardzo skomplikowany, nie mogę w kilku zdaniach tego wyjaśnić. Najlepiej będzie na miejscu obejrzeć posąg bóstw. A bogów, w których wierzą, jest bardzo dużo. Może pokażę slajdy, żeby lepiej mogli państwo zrozumieć.

Na ekranie pojawiła się dziwna postać kobiety. Jedną nogą stąpała po ciele mężczyzny, a na szyi miała naszyjnik z czaszek ludzkich, który przytrzymywała jedną ze swych czterech rąk.

– Jest to rzeźba bogini Kali, zdobiącej często świątynie i domy w Indiach. W chrześcijaństwie Maria, Matka Boska jest symbolem matczynej miłości, a indyjskie boginie najczęściej są zwane Matkami Ziemi; bywają łagodne, ale bywają też i groźne. Jedna z bogiń imieniem Ćamunda brała na siebie wszystkie cierpienia hindusów. Chciałbym, żeby wszyscy koniecznie ją obejrżeli.

– Och, to było straszne! – krzyknęła pani Okubo, gdy zapaliło się światło, i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Wobec tego, że czas zaplanowany już minął, zakończymy już. Dziękuję państwu za cierpliwość. – Enami poprawił swoje grube okulary na nosie i przechylił głowę z zakłopotaniem.

Mitsuko wstała z miejsca i chciała wyjść z sali z całą grupą, gdy siedzący przed nią mężczyzna zwrócił się do niej z pytaniem:

– Czy pani Naruse?

– Tak.

– Czy pani mnie pamięta? Nazywam się Isobe. Pani opiekowała się moją żoną w szpitalu.

Z głębi pamięci powracał obraz kobiety, tak dzielnie znoszącej cierpienia śmiertelnej choroby i jej męża, który prawie codziennie odwiedzał ją w szpitalu.

– Pani wtedy bardzo mi pomogła. Nie myślałem, że się jeszcze spotkamy, zwłaszcza w takim miejscu.

Isobe patrzył na Naruse Mitsuko takim wzrokiem, jakby szukał w niej wspomnienia żony, więc ciążyło jej to spojrzenie.

– Wygląda na to, że jedziemy razem do Indii. Co za zbieg okoliczności!

Zrozumiał, że stara się zmienić temat, więc potwierdził mówiąc:

– Nie wiedziałem, że pani interesuje się zabytkami buddyjskimi.

– Nie, niezupełnie, nie mam szczególnego zainteresowania buddyzmem. – Mitsuko uśmiechnęła się niezdecydowanie.

Obrazy bogiń żadnych ofiar całopalenia i krwi jeszcze trwały pod powiekami. Naprawdę, sama jeszcze nie wiedziała, co by chciała oglądać w Indiach. Kto wie, może pragnęła połączyć obraz siebie samej z wizerunkami bogiń, w których miesza się dobro ze złem, okrucieństwo i miłość.

– Myślałem, że pani interesuje się Francją.

– Dlaczego?

– Przypomniałem sobie, co żona mówiła.

– Raz byłem we Francji, ale nie polubiłam zbytnio tego kraju.

Isobe milczał, jakby zniechęcony odpowiedziami Mitsuko. W końcu spostrzegła, że rozmawia tonem zbyt chłodnym, więc powiedziała:

– Przepraszam, nie powinnam być tak niegrzeczna. Czy pan jedzie do Indii w celach turystycznych?

– Nie, chociaż częściowo tak. – Isobe miał zakłopotaną minę. – Jadę czegoś szukać. Tak naprawdę, to jakby podróż w poszukiwaniu skarbu.

– Każdy chyba jedzie do Indii z innymi uczuciami. Jeden lubi zwierzęta, inny jedzie odprawić nabożeństwo żałobne za towarzyszy walki.

Na chodniku leżały już brudnobrazowe liście, które spadły z drzew przydrożnych. Przed wyjściem stał szereg taksówek, a obok, przy ulicznym straganie, para Amerykanów z zainteresowaniem oglądała zabawki. Mitsuko poczuła się przytłoczona słowami Isobego, który nadal chciał z nią rozmawiać, więc powiedziała:

– Przepraszam, muszę iść. Spotkamy się na lotnisku Narita.

– Zbiórka jest o dziesiątej trzydzieści, prawda?

– Tak, dwie godziny przed odlotem. – Ukłoniła się i wsiadła do taksówki. Przez okno widziała oddalającą się, nieruchomą sylwetkę Isobego. Opuszczone ramiona świadczyły o przygnębieniu i samotności mężczyzny, który stracił żonę.

Taksówka przejechała obok uniwersytetu, na którym studiowała Mitsuko, i skierowała się w stronę skrzyżowania w Yōtsuya – tutaj liście feniksa całkiem już pożółkły.

Gdy zatrzymali się na czerwonych światłach, zobaczyła, że jak dawniej znajduje się tu bar Allo-Allo, który często odwiedzała w czasach studenckich. Przez chwilę Mitsuko dała się ponieść wspomnieniom o tamtych łatwych i przyjemnych dniach, które spędziła tu, kiedy po raz pierwszy przyjechała do Tokio ze stron rodzinnych w Kansai. Koledzy nazywali ją wówczas Mojrą. A w tym barze często popijali alkohol. Należała do tych głupich studentek, które wyobrażały sobie, że dni spędzone z kolegami z grupy stanowiły jej „młodość”. Jednak, w odróżnieniu od kolegów, którzy myśleli tylko o zwyczajnym życiu w przyszłości, ona pragnęła żyć pełnią życia i dlatego w skrytości ducha pogardzała nimi. W tamtym okresie, gdy jeszcze nie dostrzegła wyraźnie różnicy między obu stylami życia, pojawił się przed nią błazen. To znaczy ów Ōtsu, z którego uczyniła przedmiot żartów...

Rozdział 3

Przypadek Mitsuko

Gdy Mitsuko była studentką romanistyki, koledzy nazywali ją Mojra. Pół żartem nadano jej ten przydomek, kiedy na zajęciach omawiali powieść *Mojra* Juliana Greena jako tekst do nauki francuskiego.

Mojra była dziewczyną, która dla żartu uwiodła purytańskiego młodzieńca, studenta imieniem Józef, mieszkającego w wynajętym pokoju przy jej rodzinie. Uczelnię Mitsuko prowadził męski zakon katolicki, dlatego też wśród studentów byli również i tacy, którzy przyjęli chrzest. W zachowaniu tej nielicznej zresztą grupy chrześcijan z punktu widzenia zwykłych studentów było coś, co wywoływało pogardę, z jaką traktuje się zazwyczaj nieprzystępnych, trudnych we współżyciu czy wręcz prostackich studentów. W zasadzie nie dyskryminowano ich, ale nie pożądanego też ich towarzystwa.

– Słuchaj, mamy ciekawą propozycję. Może byś zakpiła z jednego gnojka, nazywa się Ōtsu.

– Na czym on jest?

– Na filozofii. Zobaczysz, to taki typ, że wystarczy spojrzeć, a już masz ochotę zakpić z niego. On nie potrafi nawet odezwać się do kobiety. Myślę, że jest niewinny.

– Taki nieśmiały?

– No właśnie, Naruse-san, ty najlepiej potrafiłabyś go omamić.

– Ale po co?

– Zawsze się uśmiecha, bo chce, żeby go wszyscy lubili. Ale jestem przekonany, że gdy tylko spojrzysz na niego, zapragniesz mu dokuczyć. Chyba rozumiesz, co mam na myśli?

Ruch studencki, który w pewnym okresie trzął całym uniwersytetem, już osłabł i poczucie pustki opanowało większość studentów. A Mitsuko była w tym wieku, kiedy człowiek bardzo pragnie rozwinąć skrzydła. Nękana kompleksem niższości, tylko dlatego, że pochodziła z prowincjonalnego miasteczka, wymusiła na ojcu, który płażał swej córce, żeby wynajął jej mieszkanie, jak na studentkę – luksusowe; zgromadziła wokół siebie paczkę kolegów i koleżanek, popijała z nimi koniak, na który nie mógł sobie pozwolić przeciętny student, woziła ich sportowym samochodem. Mimo to w sercu wciąż odczuwała pustkę. Kiedy tylko jakiś kolega chwalił ją, że ma mocną głowę czy też podziwiał jej supermodny samochód, duszę Naruse przepelniało niewysłowione uczucie ni to gniewu, ni to samotności.

– Dobrze, zrobię to, jeśli mi się zechce.

– W każdym razie uwiedź go tak, jak Mojra uwiodła Józefa, na przykład posługując się kluczem albo jakoś podobnie...

W powieści *Mojra* jest scena, kiedy dziewczyna wkłada za stanik klucz do pokoju Józefa. Aby odzyskać klucz Józef musi dotknąć jej piersi. Studenci oczywiście żartowali przypominając jej tę scenę.

Była to jedna z wielu nieobliczalnych rozmów, jakimi się zabawiali na drugim roku studiów. Wśród studentów, nawet dziewcząt, sprawą niemal naturalną stało się picie alkoholu, palenie papierosów i prowadzenie takich flirtów.

Na tym się skończyło, a Mitsuko wkrótce zapomniała o Ōtsu. Żarty, jakie stroili w czasie imprez i zabaw Mitsuko zapominała od

razu, wraz z końcem spotkania, po prostu ulatniały się z jej pamięci, jak wata cukrowa, którą kupowała na festynach w dzieciństwie.

Minęło kilka tygodni. Mitsuko siedziała prawie w samym środku czytelni i wertowała słownik, męcząc się nad tłumaczeniem końcowej sceny z *Mojry*, które musiała przygotować na ćwiczenia w następnym dniu, gdy wtem ktoś dotknął jej pleców. Odwróciła się i ujrzała tuż przed sobą twarze dwu młodszych kolegów, jakby pragnących wyjawic jej jakąś ważną tajemnicę.

– To Ōtsu.

– Ōtsu? Kto to? Aa, ten.

– O tam, przy filarze, ten facet, który pisze coś ze śmiertelnie poważną miną? To on.

Nawet teraz, po wielu latach Mitsuko pamięta profil twarzy Ōtsu, który widziała tamtego dnia. Wtedy już mało kto ze studentów nosił mundurki, a puciołowaty Ōtsu miał taki prostacki mundurek: zdjął marynarkę, rozpiął sztywny kołnierzyk, podwinął rękawy białej koszuli i siedząc tam wyglądał zupełnie jak urzędnik bankowy przy biurku, zaaferowany liczeniem cennych banknotów.

– To znaczy, że ja miałabym mieć coś wspólnego z tym facetem cuchnącym potem?

– Teraz chyba rozumiesz, dlaczego chcemy z niego zakpić.

Na uczelni zawsze byli studenci, którzy wzbudzali w dziewczętach ochotę do kpin. Prostacki wygląd Ōtsu prowokował studentki.

– Nie zapomniałaś chyba, co nam obiecałaś w czasie ostatniej imprezy? On co wieczór chodzi do kaplicy modlić się.

– A ja mam go sprowadzić na złą drogę? Pomyślę o tym.

Nagle poczuła niechęć do tych młodszych kolegów, którzy tak poufale szturchali ją w plecy i dlatego odpowiedziała im raczej

chłodno. Nadal nie miała ochoty zbliżyć się do Ōtsu po to, żeby z niego zażartować.

Tymczasem jednak koledzy wpadli na jeszcze jeden pomysł, by zabawić się kosztem Ōtsu.

Kiedy nadszedł czas zamykania biblioteki, Mitsuko wstała i ruszyła w stronę schodów, i wtedy zobaczyła Ōtsu, który przyciskał do piersi książki zawinięte w przybrudzoną chustę furoshiki.

– Przepraszam. Jestem Ōtsu. – zwrócił się do niej załęczonym, nieśmiałym głosem.

– Słucham.

– Powiedziano mi, że pani ma do mnie sprawę. Kolega Kondō mówił. – Oczywiście, Kondō to student, który pokazał Mitsuko, gdzie siedzi Ōtsu.

– Nie mam żadnej sprawy – odparła chłodno Mitsuko. – Oni wszyscy po prostu kpią sobie z pana.

– Ze mnie? Kondō i jego koledzy? – Ōtsu kiwnął głową ze zrozumieniem. – To o to im chodzi?

– Nie gniewa się pan?

– Jestem przyzwyczajony. Od dzieciństwa wyśmiewali się ze mnie. – Dobroduszny uśmiech pojawił się na jego twarzy okrągłej, niby księżyc w pełni.

– To dlatego, że jest pan zbyt poważny.

– Naprawdę? A ja myślałem, że jestem po prostu zwykłym, przeciętnym człowiekiem.

– Mówią, że pan jest zbyt sztywny. – Mitsuko patrzyła badawczo w jego twarz i nagle poczuła, że ogarnia ją perwersyjne pragnienie. Teraz zrozumiała, dlaczego Mojra chciała dokuczyć temu purytańskiemu Józefowi.

– Wszyscy tak mówią.

– Naprawdę?

– Oczywiście! Po pierwsze w tych czasach noszenie mundurka w środku lata jest po prostu dziwactwem.

– Przepraszam. To taki zwyczaj. Przecież nie robię tego celowo.

– Jest pan wierzący?

– Tak, moja rodzina jest wierząca, ja też, od dziecka.

– Czy pan naprawdę szczerze wierzy? – spytała nagle o coś, nad czym nigdy dotąd się nie zastanawiała; chociaż Mitsuko uczęszczała na ten katolicki uniwersytet, to jednak nie rozmyślała nad kwestią wiary w Boga ani nie chciała na ten temat rozmawiać.

– Przepraszam, ale ja naprawdę wierzę – odpowiedział jak chłopiec, który coś spocił.

– Po prostu nie mogę tego zrozumieć. Dla mnie pan jest dziwakiem. – Odwróciła się i ignorując Ōtsu, zeszła schodami na dół. Ōtsu pod żadnym względem nie był mężczyzną, który mógłby zaciekawic czy choćby zwrócić uwagę dziewczyny. Nawet dzisiaj Mitsuko nie może pojąć, jak to się stało, że mogła nawiązać jakikolwiek kontakt z Ōtsu. Jeśli się zastanowić, to początkowo skłoniło ją do tego jakby dziecinne pragnienie, by pośmiać się nie tyle z niego, ile z Boga, w którego wierzył.

Parę dni po spotkaniu w bibliotece, w upalny dzień tuż przed letnimi wakacjami, Mitsuko wyszła z budynku, w którym znajdowała się sala nr 109, i usiadła z koleżankami z romanistyki na ławce w cieniu. Piła colę z papierowego kubka. Nagle wśród przechodzących obok chłopców i dziewcząt ukazała się sylwetka Ōtsu, wyglądającego groteskowo w swym czarnym mundurku, w którym musiało mu być bardzo gorąco.

– To on – powiedziała do koleżanek – prawdziwy kmiot.

– On? On zawsze tak się ubiera – odpowiedziały koleżanki. – Ale nieźle gra na flecie.

– Niedawno grał Mozarta na uniwersyteckim koncercie. Po raz pierwszy, wszyscy byliśmy zaskoczeni.

– Nie wierzę.

– Jego pradziadek był ważnym politykiem.

– Ale dlaczego on nosi taki mundur?

– Spytaj go sama!

To wtedy zrodziło się w Mitsuko zainteresowanie dla Ōtsu, który dotychczas był jej obojętny. Z zupełnie innych pobudek niż złośliwi koledzy z romanistyki, zapragnęła nim potrząsnąć.

– Czy wiedzieliście, że on podobno dobrze gra na flecie?

– Oczywiście, że wiedzieliśmy – odpowiedział Kondō, śmiejąc się z nadażanej Mitsuko. – Ale jest takim dziwakiem, że chcieliśmy, żeby Naruse-san zakpiła z niego.

– Przestańcie. To mnie nie interesuje.

– Podobno codziennie po zajęciach chodzi do Kultur Heim.

– Do Kultur Heim?

– Tak, do tej starej kaplicy na końcu dziedzińca, w której bywają księża.

– I co tam robi?

– Chyba się modli.

A więc to o to chodzi. To mężczyzna ze świata, do którego Mitsuko instynktownie czuje niechęć.

– Naruse-san, czy lubisz takich chłopaków, czy nie?

– Nie lubię.

Utraciwszy cele, jakie cztery, pięć lat temu dawał im ruch studencki rozbudzający aspiracje pokolenia, teraz starali się oszukać pustkę życiową i zappełnić ją czymś podniecającym. Wiedzieli jednak, że te działania pogłębiały tylko już istniejącą w nich pustkę.

Mówiąc, że go nie lubi, była po części szczerą, po części kłamała, jak gdyby miała mgliste przeczucie, że Ōtsu żyje inaczej niż zwykli studenci, a jednocześnie nie mogła oprzeć się myśli, że takich mężczyzn często cechuje jakaś hipokryzja. To dlatego powiedziała: „Nie lubię”.

Aby dowiedzieć się, czy plotki o Ōtsu są prawdziwe, Mitsuko półżartem zaproponowała grupie Kondō, aby po zajęciach poszli z nią obejrzeć Kultur Heim, w którego pobliżu stał dom zamieszkały przez księży pracujących w uniwersytecie.

Kultur Heim był jednym z najstarszych i najspokojniejszych budynków uniwersyteckich, o murach do połowy pokrytych bluszczem; na parterze znajdowało się kilka sal konferencyjnych, na piętrze była kaplica. Mitsuko dotąd pamięta, że jeden ze stopni skrzypiał, gdy wchodziła po schodach na górę. Po wstąpieniu na studia zwiedzała z koleżankami ten budynek i pozostał jej w pamięci odgłos skrzypiącego stopnia. Wówczas w kaplicy klęczeli księża obcokrajowcy i modlili się, podpierając czoło jedną ręką.

Wnętrze kaplicy rozświetlał blask promieni słonecznych, które przenikały do środka przez gałęzie drzew gęsto zarośniętego letnią porą ogrodu. Pograżona w ciszy kaplica była zupełnie pusta. Jedyne z oddali dobiegał dźwięk kuranta. Jego brzmienie kojarzyło się Mitsuko z uniwersytetem na południu Stanów Zjednoczonych, przedstawionym w powieści *Mojra*.

– Nie ma go tu – Mitsuko skarciła kolegów. – Dlaczego opowiadacie mi takie bzdury?

– Powtarzamy tylko, co inni o nim mówią... Ale to cię po prostu drażni.

Kondō i jego koledzy znali charakter Mitsuko, stracili więc rezon, słysząc ostry ton jej głosu. Ale przede wszystkim to raczej Mitsuko zmieszała się, zdawszy sobie sprawę, że traktuje tę sprawę zbyt poważnie.

– Irytuje mnie, gdy mężczyzna chodzi do miejsc takich jak to, klęka i modli się.

Po pięciu, sześciu minutach na schodach rozległy się kroki i odgłos skrzypienia. Czuła instynktownie, że są to kroki Ōtsu. Spojrzenia wszystkich skupiły się na drzwiach, gdzie po chwili stanął niby jakiś duch, który się tam nagle pojawił, otoczony blaskiem światła.

– O! – oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdumienia, ale po chwili na jego twarzy ukazał się uśmiech zakłopotania.

– Co tu robicie?

– Ōtsu-san – zwróciła się do niego Mitsuko ciepłym głosem, całkiem innym niż przed chwilą. – Czy to prawda, że codziennie przychodzisz się tu modlić?

– Przepraszam, ale to prawda. A wy co tu robicie?

– Przyszliśmy zaprosić cię na imprezę. Chyba znasz bar Allo-Allo w pobliżu skrzyżowania w Yotsuya?

– Czy na tyłach wydawnictwa Chūō?

– Właśnie tam. Może byś się do nas przyłączył?

– Czy nie będę wam przeszkadzał? – zapytał zmieszany Ōtsu. – Nie nawykłem do zabawy...

– Za bardzo się przejmujesz. Przyjdiesz czy nie?

– Przepraszam, ale może przyjdę.

Gdy Mitsuko wyszła przodem z kaplicy, zegar na dole przy schodach wybił piątą. Otaczający ją koledzy zaczęli głośno rozmawiać na temat nieoczekiwanego rozwoju wydarzeń.

– Czy sądzisz, że przyjdzie?

– Przyjdzie. A wy nie powinniście się tak z niego wyśmiewać. Ale chciałabym, żebyście go upili.

– Jasne, zrobi się.

Bar Allo-Allo, w którym paczka Mitsuko zazwyczaj się zbierała, był otwarty do późna; Kondō i jego koledzy cieszyli się tym bardziej, że za napoje w połowie płaciła Mitsuko.

Minęło pół godziny, a potem godzina, lecz Ōtsu się nie pojawił.

– Wymknął się nam. – Wszyscy od czasu do czasu spoglądali na drzwi i cmokali z niezadowoleniem.

– Nie, on przyjdzie – niewiadomo dlaczego rzekła z przekonaniem Mitsuko. Pamiętała jego spojrzenie, kiedy w odpowiedzi na jej zaproszenie obiecywał, że przyjdzie. Była przekonana, że jest jego mojrą, czyli losem, i podobnie jak Józef, musi wpaść w zastawione przez kobietę sidła.

Ledwie powiedziała te słowa, drzwi do baru otworzyły się z piskiem podobnym do skrzypienia schodów w Kultur Heim, po czym do środka wsunął się lękliwie Ōtsu, z dobrotliwym wyrazem na twarzy. W jednej ręce trzymał torbę.

– Pijmy do dna. Za spóźnienie – powiedział Kondō i podał szklanekę Ōtsu.

– Niestety, ja tak nie piję.

– Musisz wypić.

Poganiany przez wszystkich okrzykami „Do dna!”, „Do dna!” Ōtsu ciężko dysząc, opróżnił szklanekę bursztynowego płynu. Inni

studenci w barze spoglądali na siebie ze zdumieniem, widząc, jak szybko uwiął się z piciem.

– Naruse-san, może teraz pani wypije ze mną. – Ōtsu wyciągnął do niej szklanke z wyrazem serdeczności na twarzy. – Wystarczy pół szklanki, bo jest pani kobieta.

– Dlaczego? Tylko dlatego, że jestem kobietą? Należ normalnie do pełna.

Urażona Mitsuko zdecydowanym ruchem podała szklanke i zachęcona okrzykami „Do dna!” wlała do gardła pałacy płyn. Zmroziło ją gwałtowne poczucie pustki: *Czego ja tu, do diabła, szukam zachowując się tak głupio, pozwalając by ci mężczyźni naigrawali się z Ōtsu? Czy na tym ma polegać moje życie?*

Aby odpędzić zły nastrój, Mitsuko opróżniła szklanke i wyzwała Ōtsu do kolejnej.

Ōtsu potrząsnął głową.

– Już wystarczy. Przepraszam. Nie powinienem był tego robić. To moja wina.

– Dlaczego? Jaka znowu wina? – odparła. – Mówisz dziwne rzeczy.

– Poddaję się. Przepraszam.

– Dlaczego wciąż powtarzasz „przepraszam” i „przepraszam”. Psujesz nam wszystkim zabawę.

Mitsuko była wściekła na siebie. Za to poczucia pustki. Ōtsu nigdy chyba tego nie czuł.

– Ōtsu-san, czy naprawdę chodzisz modlić się do Kultur Heim?

– Przepraszam, ale... – odpowiadał wymijająco.

– Robisz to szczerze?

– Przepraszam – powiedział i ku zaskoczeniu wszystkich dodał:
– Nie jestem pewien, czy wierzę, czy nie wierzę.

– Nie jesteś pewien, a jednak tyle tam klęczysz?

– Nie wiem, czy to siła długotrwałego nawyku czy inercji, ale tak było w mojej rodzinie, ponieważ moja nie żyjąca już matka wierzyła bardzo gorąco. I może dlatego, że nadal jestem do niej przywiązany. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Jeśli to inercja, to lepiej, żebyś się z niej zdecydowanie otrząsnął.

Nie odpowiedział.

– Ja – Mitsuko wpatrywała się w Ōtsu wyzywająco – pomogę ci się otrząsnąć.

– Mojra wreszcie zaczęła – rozległ się czyjś szept w grupie studentów.

Mitsuko coś sobie wtedy pomyślała. Przypomniała sobie o drugiej kobiecie, o Ewie, która skusiła Adama i doprowadziła do wypędzenia człowieka z raju na wieki. W każdej kobiecie kryją się impulsy prowadzące ją do samozniszczenia.

– Napij się jeszcze.

– Dobrze.

Ōtsu uległ i przytknął szklanke do ust. Usilnie starał się nie popsuć nastroju zabawy. Wiedziała o tym, więc tym bardziej się złościła.

– Naprawdę powinieneś rzucić tego Boga. Będziesz musiał pić dotąd, aż obiecasz, że go rzucisz. Jeśli obiecasz, to nie każę ci pić więcej.

Dla studentów była to tylko niewinna zabawa. Jedyne Mitsuko, która wypowiedziała te słowa półżartem, nie mogła się oprzeć przeczuciu, że idzie o rzeczy drogie sercu Ōtsu.

– Co wybierasz, pijesz czy rezygnujesz z Boga?

– Piję.

Twarz Ōtsu zaczerwieniła się aż po uszy. Wyraźnie należał do tych, którym picie sprawiało raczej przykrość niż przyjemność. Nagle Mitsuko przypomniała sobie historię urzędnika, który w epoce prześladowań zmuszał chrześcijan do deptania obrazu Matki Boskiej. Jaką przyjemność musiał odczuwać taki urzędnik, kiedy zmuszał ludzi do odrzucenia Boga, w którego wierzyli.

Ōtsu ciężko dyszał, ramiona unosiły mu się w górę i w dół, a mimo to wypił pół szklanki, po czym zerwał się, i pobiegł chwiejnym krokiem do toalety.

– Wystarczy – poprosił Mitsuko jeden ze studentów znudzony tą zabawą.

– Poszedł się wyrzygać. Jeśli każesz mu nadal pić, to na pewno wysiadzie.

– Nie – z uporem potrząsała głową Mitsuko. – Będzie pić, dopóki nie złoży przysięgi.

– Jesteś okrutna.

– To przecież ty kazałeś mi zagrać rolę Mojry.

– To prawda, ale są granice.

Tymczasem wracał pobladły Ōtsu, opierając się ręką o ścianę i wycierając usta tanią wielką białą chustką.

– Proszę wody – powiedział błagalnie – zwymiotowałem.

– Nie wodę, a sake będziesz pił. Albo dotrzymasz obietnicy.

Ōtsu spojrzał z żalem na Mitsuko, która siedziała ze złożonymi rękami, oparta o filar. Patrzył na nią wzrokiem psa, który błaga o litość. To jeszcze podsyciło jej okrucieństwo.

– Ale – zaczął.

– Co za „ale”?

– Nawet jeśli zechcę porzucić Boga... to Bóg i tak mnie nie porzuci.

Mitsuko patrzyła ze zdumieniem na jego twarz – zdawało się, że Ōtsu za chwilę się rozplacze. Znowu zakrył usta i pobiegł do toalety.

– Co z nim? Widzicie, że w końcu poddał się i nie wypił – szepnął Kondō, uspokajając swoje sumienie.

Mimo wysiłku Ōtsu pragnącego im dorównać, wszyscy mieli już dość zabawy.

– Idziemy? To już jest nudne. – Mitsuko wstała z miejsca. Wiedziała na pewno, że ten nieporadny mężczyzna, który znów pobiegł do toalety, nie był podobny do nikogo z ludzi, których dotąd spotkała.

Kiedy Mitsuko po latach przypominała sobie, jak się zachowywała w tamtych czasach, musiała spuszczać oczy z zakłopotania. Czuła odrazę do siebie. Ta wiejska dziewczyna, która zamieszkała w Tokio, z całych sił starała się odkryć i pokazać, co potrafi. Teraz wraz z odrazą poczuła, że łączy ich jakaś niewidoczna nić; wydało się jej, że coś niepojętego wiązało ją z Ōtsu. A przecież nic takiego nie powinno było się zdarzyć.

Mitsuko i jej koledzy opuścili bar zostawiając w nim – jak starą ścierkę – Ōtsu, który wciąż wymiotował w toalecie. Następnego dnia w ogóle nie pamiętała o jego istnieniu, aż do chwili, kiedy zobaczyła go na terenie uniwersytetu. Siedział na ławce pod domem studenta z wyrazem przygnębienia na twarzy, co przypomniało Mitsuko, jak podle go potraktowała.

– Ōtsu-san.

Znowu spojrział na nią wzrokiem zbłąkanego psa, który wpadł do kanału. Uczucie żalu boleśnie ukłuło ją w serce.

– Przepraszam za wczoraj. Nie sądziłam, że jesteś taki słaby w picciu.

– Przepraszam. Byłaś tak dobra, że mnie zaprosiłaś, a ja... – Ku jej zaskoczeniu Ōtsu spuścił głowę. – Ze mną tak zawsze. Chociaż z całych sił staram się dostosować do towarzystwa, nigdy mi się nie udaje i psuję wszystkim zabawę.

Usiadła obok niego z uczuciem litości i pogardy. Przysunęła się, chcąc spojrzeć mu w twarz i szepnęła:

– Ale jest sposób na to, żeby mieć przyjaciół.

– Jaki?

– To proste. Po pierwsze przestać nosić ten mundurek studencki. Po drugie, nie chodzić co wieczór do Kultur Heim, żeby się tam modlić na klęczkach. Twoja matka mogła wierzyć, ale ty nie musisz wierzyć w takie rzeczy.

– W takie rzeczy...?

– Jestem tylko głupią dziewczyną, ale nawet ja wiem, co Marks powiedział o religii. I wiem, że zachodni chrześcijanie splądrowali wiele krajów i mordowali ludzi w imię szerzenia wiary. A ty mimo to dałeś się złapać na przynętę czemuś takiemu i dlatego twoja obecność musi drażnić innych studentów. A poza tym ty sam nie jesteś tak całkiem przekonany do wiary.

– Nie jestem. Nie mam jednak odwagi, tak jak Naruse-san, rozstrzygnąć problemu za pomocą rozumu. Od dziecka wychowywałem się w tej atmosferze.

Nagle Mitsuko poczuła znudzenie. Czemu, do licha, siedzi na tej ławce i zadaje się z takim nudziarzem? Z mężczyzną, który w dodatku wcale jej nie interesował.

– Od dzisiaj musisz przestać chodzić do tego Kultur Heim. Jeśli przestanieś, to uznam cię za swego kolegę.

Aby rozwiać nudę, Mitsuko wypowiedziała coś, co w sercu zbierało się jak piana. Nawet wypowiadając te słowa, zastanawiała się, czy Mojra nie uwiodła solidnego studenta Józefa tylko po to, by uciec od nudy, podobnie jak teraz Mitsuko.

– Słuchaj – rzekła, niby niechcący przyciskając udo do jego nogi – od dzisiaj nie wolno ci tam chodzić i modlić się.

Przebiegł ją dreszczyk – czuła przyjemność odbierania mężczyźnie czegoś, co do niego należy, przyjemność deformowania jego życia. Mocniej przycisnęła udo do nogi Ōtsu i z zadowoleniem patrzyła, jak jego twarz pochmurnieje.

Nagle wstała i pobiegła na zajęcia.

W czasie zajęć przedpołudniowych i popołudniowych myślała o swym planie i od czasu do czasu uśmiechała się do siebie. Słuchając po południu w sali rozgrzanej słońcem ochryplego głosu francuskiego księdza, który nauczał literatury XVII wieku, wszczęła dialog z Bogiem, w którego wcale nie wierzyła. Tak jak dziecko rozmawia z wymyślonym przyjacielem.

„Panie Boże, co byś uczynił, gdybym Ci go odebrała?”.

Ta myśl ratowała Mitsuko przed nudą na zajęciach. Gdy siwiejący ksiądz zebrał wreszcie książki i wyszedł z sali, Mitsuko wybrała się do Kultur Heim z obawą i z ciekawością, tłukącymi się w jej sercu.

W starym budynku o murach porośniętych bluszczem, unosiła się woń tynku i wilgoci. Zniszczone schody, prowadzące na pierwsze piętro, skrzypiały jak poprzednio.

W kaplicy nikogo nie było. Usiadła w miejscu niewidocznym, jak najdalej od wejścia. Postanowiła posiedzieć tu ze dwadzieścia minut. Wiedziała, że duży zegar przy schodach co piętnaście minut uroczyście wybija czas.

Na ławkach tu i ówdzie leżały stare, podniszczone od częstego używania śpiewniki, modlitewniki i Biblije. Ziewając wzięła do rąk wielką Biblię, leżącą przed nią, otworzyła i zaczęła czytać:

*Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi
Mąż boleści, oswojony z cierpieniem,
jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa,
wzgardzony tak, iż mieliśmy Go za nic.
Lecz On się obarczył naszym cierpieniem,
On dźwigał nasze boleści.**

Mitsuko przytknęła dłoń do ust i znów ziewnęła. Te słowa nic dla niej nie znaczyły. Jak Ōtsu potrafi czytać i wierzyć w takie puste słowa? Wtedy przypomniała sobie jego słowa pełne niechęci do siebie samego: „Ze mną tak zawsze. Chociaż staram się z całych sił dostosować do towarzystwa, nigdy mi się nie udaje i zawsze psuję zabawę”. Ciekawe, czy Ōtsu czytał tę stronicę w Biblii?

W tym momencie, jakby to pytanie było sygnałem, zaskrzypiały schody. To nie był Ōtsu – w drzwiach ukazała się postać mnicha, który pracował na uniwersytecie; miał na sobie biały habit, przeznaczony na letnią porę.

Nie zauważywszy Mitsuko, podszedł do klęcznika przy ołtarzu, uklęknął i złożył dłonie. Przez chwilę Mitsuko wpatrywała się w jego plecy z dziwnym uczuciem, że patrzy na jakiegoś tajemniczego przybysza z obcej planety, po czym przeniosła wzrok na nagie, chude ciało mężczyzny wiszącego na krzyżu z prawej strony ołtarza. I zaczęła do niego przemawiać:

– On nie przyjdzie. On cię porzucił.

* Z *Księgi Izajasza*, według *Biblii Tysiąclecia*, Poznań-Warszawa 1989.

Tak rzekła do brzydkiego człowieka na krzyżu, w którego nie wierzyła, i wtedy usłyszała bicie zegara przy schodach głoszące, że piętnaście minut upłynęło.

Wstała i wyszła z kaplicy. Gdy otworzyła drzwi pogrążonego w ciszy Kultur Heim, nagle opadły ją, niby szum przyływu, dźwięki muzyki od strony dziedzińca, gdzie zespół studencki odbywał próbę, to znów pokrzykiwania drużyny sportowej. I zobaczyła Ōtsu, który siedział na tej samej ławce co poprzednio, zrezygnowany, z paczką książek na kolanach.

– Ōtsu-san! – zawołała Mitsuko podnieconym głosem, jak kobieta, która odnalazła kochanka w miejscu, w którym się umówili.
– Dotrzymałeś umowy, prawda?

– Tak – podniósł głowę i uśmiechnął się boleśnie, z przymusem
– ale...

– Ja też dotrzymałam obietnicy. Pozwolę ci być jednym z moich kolegów. Idziemy.

– Idziemy? Dokąd?

– Do mojego mieszkania.

Mitsuko z poczuciem sadystycznej satysfakcji spojrzała na swoją zdobycz. Mężczyzna, który słucha wszystkiego, co mu powie, mężczyzna, który wyrzeka się dla niej Boga – takiego właśnie mężczyznę pragnie torturować. Porwała leżące na jego kolanach książki i wtedy zobaczyła, że są to dzieła Nakamury Hajime.

– O, czytasz coś takiego?

Ōtsu powoli wstał z ławki i zmieszany ruszył za nią.

– Czy nie mógłbyś iść szybciej? Więc interesujesz się buddyzmem?

– Niezupełnie, ale profesor Bell z filozofii zadał mi napisanie pracy na temat tego dzieła.

– Profesor Bell? To ten ksiądz, który uprawia medytację? On i tak w głębi serca pozostaje nadal zatwardziałym Europejczykiem, prawda? Czy ten cudzoziemiec uczy was takich rzeczy?

– Tak.

– Nie lubię tego. Tutejsi księża mówią tak, jakby świetnie rozumieli buddyzm i shinto, a przecież w duchu uważają, że europejskie chrześcijaństwo jest jedyną religią.

Mitsuko powiedziała to, o czym po rozpoczęciu studiów słyszała od poważniejszych studentów. Poważnymi studentami nazywała, podobnie jak jej koledzy, tych, którzy mimo wstąpienia na uniwersytet chrześcijański nie przyjmowali chrztu.

– Naprawdę? Możliwe, że tak jest. – Ōtsu odpowiadał bez przekonania, od czasu do czasu spoglądając przez ramię za siebie.

Mitsuko wyczuła, czego Ōtsu szuka.

– Czy jestem tylko ja? – zapytał z wahaniem. – Tylko ja idę do twojego mieszkania?

– No tak, tylko ty. Dzisiaj nie będzie ani kolegi Kondō ani Tanabe.

Chciała mu wręcz powiedzieć, że jest jej chłopcem, ale powstrzymała się, chowając te słowa w głębi serca. Zostawiła je – jak oszczędności – na później, by zakpić z niego w odpowiednim czasie. *Jesteś już moją zdobyczą, jesteś w mojej pułapce.*

Otworzyła kluczem drzwi do swego mieszkania przy ulicy Kōjimachi.

– No więc jesteśmy na miejscu – powiedziała zachęcając go do wejścia. – Czemu się wahasz? I zdejmuj buty – lekko pchnęła go w plecy.

– Przepraszam – wyjąkał z trudem Ōtsu.

– Zupełnie jak Józef.

– Kto to taki?

– To student z powieści *Mojra* Juliena Greena. Chłopak z prowincji, jak ty, chłopak, który trzęsie się jak galareta, gdy znajdzie się blisko dziewczyny.

– Boję się. Nigdy tego nie robiłem.

– W końcu to *Mojra* uwiodła Józefa.

Ōtsu nie odpowiedział, tylko wpatrywał się uważnie w Mitsuko. Z jego twarzy zniknął zwyczajowy wymuszony uśmiech. Był teraz innym człowiekiem.

– I co – przełknął ślinę. – Co się stało z tym Józefem?

– Józef – Mitsuko dopiero teraz jasno uświadomiła sobie zakończenie powieści. – Józef w końcu zabił *Mojrę*, która go uwiodła. Wiedziała, że Ōtsu nie miałby tyle odwagi. I ta świadomość sprawiała jej niejaką przyjemność.

Milczeli przez chwilę.

– Naprawdę? – spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

W końcu dlaczego mężczyźni są tacy sami? Zdała sobie sprawę z tego, że oczekiwała od Ōtsu czegoś innego niż od innych studentów, pragnęła tego, czego inni nie mieli. Sen o drzewach, sen o wodzie, sen o ogniu, sen o pustyni.

Wyjęła z lodówki puszkę piwa i podając ją Ōtsu, celowo zachwiała się i zatoczyła na niego. Ōtsu podtrzymał ją i na tym poprzestał. Kiedy powiedziała: „Jesteś tchórzem, prawda?”, długo tłumione pożądanie po raz pierwszy wybuchło w nim gwałtownie i chwycił Mitsuko w objęcia. W jego oddechu czuć było curry, którą pewnie jadł w stołówce studenckiej. Mitsuko poddała się impulsowi: niech się dzieje, co chce.

– Poczekaj! – powiedziała powstrzymując go obiema rękami – Pozwól chociaż wziąć prysznic.

*

Lęk przed zbrukaniem mieszał się z nadzieją rozkoszy. Woń potu jego ciała, zapach curry w oddechu. Niezdarne ruchy rąk po raz pierwszy dotykających piersi młodej kobiety. Od początku studiów Mitsuko miała intymne stosunki z kilku studentami – wtedy też chłodno obserwowwała partnera.

– Ty rzeczywiście nic nie wiesz, prawda? – powiedziała patrząc na głowę Ōtsu poruszającą się w górę i w dół na jej piersiach.

– Przepraszam.

Poirytowana jego odpowiedzią, wyraźnie uświadamiała sobie, że chłód przepelnia jej serce. W odróżnieniu od innych dziewcząt Mitsuko nigdy nie potrafiła ulec ekstazie podczas stosunków z chłopcami.

W jakimś mieszkaniu rozległy się odgłosy telewizyjnej transmisji rozgrywek baseballowych. Pozwoliła Ōtsu, by ją pieścił, ale nie dopuszczała do całowania jej i do stosunku. – Czy pójdziesz do kościoła w następną niedzielę?

Nie odpowiedział.

– Nie pójdziesz?

– Nie pójdę.

Zamknęła oczy i znosiła, jak wargi Ōtsu pełzały po jej piersiach. Czuła pustkę zmieszaną z chłodem wiatru zdmuchującego płatki kwiatów wiśni. W głębi pod zamkniętymi powiekami ożyło nagie ciało brzydkiego mężczyzny, stojącego na ołtarzu w Kultur Heim.

„No i co sobie myślisz? – zwracała się do wychudłego mężczyzny. – Jesteś bezsilny! To ja zwyciężyłam. Chyba jednak cię porzuci. Już cię porzucił i przyszedł do mojego mieszkania”.

Porzucił cię... – wypowiadając w duchu te słowa, nagle pomyślała, że przyjdzie dzień, w którym ona porzuci Ōtsu.

Już wtedy o tym wiedziała. Wiedziała, że przyjemność, jakiej doznaje dzięki Ōtsu, nie ma natury cielesnej, lecz wynika z odrzucenia przez chłopca tego nagiego mężczyzny na krzyżu.

Uczucie przyjemności ostatecznie ustąpiło jak fale odpływu. W chwili, gdy jej ofiara wydała ostatnie tchnienie, przyjemność polowania szybko w niej opadła i zgasła.

Ciekawe, jak go pocieszę, kiedy się wszystko skończy?

Na ułamek sekundy ujrzała przed sobą twarz Ōtsu, spochmurniała w zdziwieniu i błaganiu. Był niedoświadczony i bardzo poważny, a przy tym po raz pierwszy przeżywał konfrontację z pożądanym i nie traktował jej jako zabawy lat studenckich jak inni koledzy. Józef, bohater *Mojry* w takiej sytuacji szalał z gniewu, a następnie udusił dziewczynę, która go przywiodła do zła.

– Już dość. To mnie męczy.

Zdegustowana Mitsuko odepchnęła Ōtsu, który wciąż przylegał do jej ciała. Zapadł zmierzch, ucichł warkot motorów i inne hałasy, które dochodziły do jej mieszkania w ciągu dnia, zapanowała cisza. Na dole pod oknem jakaś dziewczynka śpiewała piosenkę:

*Potrząśniemy, potrząśniemy drzewem snów
stojącym w środku pielonego pola,
samotnym drzewem snów.*

– Idź już.

– Co ja takiego zrobiłem, co cię rozgniewało?

– Nic, po prostu jestem zmęczona.

Ōtsu nie protestował. Patrzyła jak odwraca się do niej tyłem i zrezygnowany ubiera.

– Czy już wybrałaś temat pracy dyplomowej? – zapytała z przymusem, nie mogąc wyzbyć się współczucia.

– Tak, scholastyka w czasach współczesnych.

– Co takiego? – spytała, z trudem powstrzymując śmiech, jaki wzbierał się w niej z powodu tak pompatycznego tematu, bo przecież ten mężczyzna jeszcze przed chwilą jak niemowlę dzielnie sobie poczynał na jej piersi. – Czy to też kazał ci pisać profesor Bell?

– Przepraszam. Profesor Bell powiedział, że jeśli nie zna się choć trochę filozofii scholastycznej, nie można zrozumieć Europy.

– Przecież to tylko relikwiny przeszłości. To po prostu broń, której używają księża dla obrony swej stęchłej religii. Nie znam się specjalnie na tym, ale chyba nikt w Japonii nie prowadzi badań nad czymś tak nieaktualnym.

– Profesor Bell mówił, żebym się tym zajął, ponieważ niewielu Japończyków naprawdę rozumie Europę.

– To dziwne, prawda? Kazać pisać o filozofii chrześcijańskiej chłopcu, który przychodzi do mieszkania dziewczyny?

Od tego dnia minęły trzy niedziele cuchnące jak zgniłe figi. Mitsuko przyglądała się kołyszącej się nad nią głowie Ōtsu i myślała o czym innym. Ōtsu samotnie oddawał się ekstazie, ona zaś patrzyła bezmyślnie na kalendarz wiszący na ścianie. *Chcę gdzieś odejść, chcę gdzieś pójść w poszukiwaniu czegoś. Czegoś realnego, czegoś trwałego. Chcę pochwycić życie...* Nim się spostrzegła, kartki z kalendarza ze zdjęciami krajobrazów z całej Japonii zostały wielokrotnie przełożone, zatrzymując się na zimowym pejzażu ośnieżonej północno-wschodniej Japonii.

– Na wakacje zimowe może pojedę do Bangkoku – cicho powiedziała do siebie, nie do Ōtsu, który leżał z twarzą skrytą między jej nagimi piersiami.

– Co? – Ōtsu uniósł głowę. Z kroplami potu na czole i śliną widoczną na wargach wyglądał wstrętnie.

– Gdzie spędzisz wakacje zimowe?

– Ja? – w przekrwionych oczach ukazał się właściwy mu dobrotliwy uśmiech. – Będę w Tokio. Tu jest mój dom.

– Nie pojedziesz nawet na narty? Albo gdzie indziej?

– Nie umiem jeździć na nartach, bo nie mam dobrej koordynacji ruchowej. A Naruse-san?

– Może pojedę do Bangkoku albo na Guam.

– Sama?

– Nie żartuj. Jedzie też Kondō i inni koledzy. Przynajmniej tak mówią.

– Kondō?

Grymas cierpienia na twarzy Ōtsu sprawiał przyjemność Mitsuko. Tak jak tego pierwszego dnia o zmierzchu, kiedy go przyprowadziła do siebie, pod oknem śpiewała dziewczynka. Słuchając jej pieśni Mitsuko, pomyślała, że nadszedł czas porzucenia Ōtsu.

– Czy nie wolno mi jechać z Kondō?

– Kochasz go?

– Nie należę do nikogo. Ani do Kondō, ani do ciebie.

– Czy kochałaś się z Kondō?

– Oczywiście – odpowiedziała wyzywająco. – Nie jesteśmy licealistami.

– To znaczy, że już mnie nie kochasz? – spytał z lękiem.

– Nie bądź dzieckiem. Miałeś już dość przyjemności. Tak czy owak czas, żeby to zakończyć.

Ōtsu podniósł się i z wyrazem poniżenia w oczach popatrzył badawczo w twarz Mitsuko.

– Zamierzałem wkrótce przedstawić cię mojemu ojcu i starszemu bratu.

– Ojcu? Ach, jednak jesteś wierzący.

– On jest dobrym ojcem. Myślę, że będzie wyrozumiały również dla ciebie.

– Ōtsu-san, wcale nie mam zamiaru wychodzić za ciebie. – Usiadła i oświadczyła stanowczo: – Ani za ciebie, ani za nikogo innego z tych, z którymi się spotykam.

– Przecież powiedziałaś, że będę twoim chłopcem.

– Tak powiedziałam, ale przecież nie mogę wychodzić za każdego chłopca, z którym się spotykam.

– Jesteś okropna – powiedział podniesionym tonem. Jego głos zdradzał gniew, co niezwykle rzadko mu się zdarzało. – Okropna! Mam ochotę cię zabić!

– Więc zabij.

Józef udusił w gniewie Mojrę, ale Mitsuko wiedziała, że Ōtsu nie ma tyle odwagi.

– Idź już sobie – powiedziała chłodno. – Mam ciebie dosyć.

*Potrząśniemy, potrząśniemy drzewem snów
stojącym w środku pielonego pola,
samotnym drzewem snów.*

Dziewczynka pod oknem śpiewała tę samą co niegdyś piosenkę. Okrągłą, dobroduszną twarz Ōtsu wykrzywił grymas. Ōtsu odwrócił się i hałaśliwie włożył buty. Otworzył drzwi, głośno je zatrzasnął i odszedł.

Kilka dni później nadszedł błagalny list od Ōtsu. Mitsuko przeczytała go i od razu wrzuciła do kosza. A słysząc jego głos w słuchawce telefonu, natychmiast bez słowa ją odkładała. Gdy czekał na nią na uczelni, zwracała się do niego słowami: „Co u ciebie?”, jakby nic się między nimi nie zdarzyło, i odchodziła w otoczeniu kolegów.

Mitsuko wyszła za mąż za poważnego i bardzo zwyczajnego mężczyznę, czym zaskoczyła swoich dawnych kolegów ze studiów.

– Zabawa i małżeństwo to dwie różne rzeczy – mawiała Mitsuko, a gdy przyjaciele zaproszeni na przyjęcie weselne do hotelu Ōkura zobaczyli ją stojącą na tle złotego parawanu wraz ze swym świeżo poślubionym mężem, jej rodzicami i swatami, szeptali między sobą: „Ale sprytna dziewczyna” lub „Pan młody pewnie myśli, że jest dziewczycą”.

Mąż wybrany przez swatów był synem przedsiębiorcy budowlanego, który stawiał w Tokio wieżowce jeden po drugim i zajmował już ważne stanowisko w firmie, mimo że nie przekroczył jeszcze dwudziestu ośmiu lat. Gdy wesele się skończyło, odbyło się jeszcze jedno przyjęcie w barze hotelowym, w którym spotkali się synowie znanych biznesmenów i polityków, żeby porozmawiać na różne tematy, poczynając od golfa i samochodów sportowych po wydarzenia na ostatnim zebraniu Stowarzyszenia Młodych Mężczyzn. W tym gronie jej mąż rozmawiał z wyraźnym entuzjazmem na twarzy. Jakże był inny od tego, jakim go знаła podczas krótkiego okresu narzeczeństwa. W tym towarzystwie Mitsuko stała się nagle małomówna – tylko się uśmiechała i udawała, że się przysłuchuje rozmowom.

Wkrótce po zaręczynach Mitsuko zrozumiała, jak bardzo różni się jej wrażliwość od wrażliwości mężczyzny, który ma zostać jej mężem. Na początku znajomości zaprosiła go na wystawę grafiki Rouaulta i na koncert Wiedeńskiej Orkiestry Kameralnej, ale szybko uświadomiła sobie, że poszedł z nią tylko z obowiązku.

– Nic na to nie poradzę. Nie znam się na malarstwie!

Gdy na przedstawieniu baletowym Morishity Yuko zdrzemnął się na jej ramieniu i zaczął chrapać, bardzo ją tym zdenerwował. Szczerze się jednak przyznał, że i na tym się nie zna, co uznała za zaletę i co przypominało jej Ōtsu. *Wychodzę za mąż za tego mężczyznę – poważnie wtedy myślała Mitsuko. – Wiec może dzięki temu przezwyciężę swoje egoistyczne skłonności.*

Kiedy skończyła studia i została normalnym członkiem społeczeństwa, zrozumiała, jak głupie było pragnienie samozniszczenia, drzemające w jej ciele. W głębi serca Mitsuko kryła się jakaś destrukcyjna siła. Mitsuko zapragnęła wymazać ją, zanim przybrała rzeczywistą, wyrazistą formę, jak się usuwa z tablicy litery napisane kredą. Pragnęła więc poślubić mężczyznę, którego nie obchodziły opery Wagnera, malarstwo Rodina, i który nie interesował się sprawami rozbudzającymi tkwiącą w niej siłę destrukcji, postanowiła zostać gospodynią domową i pogrzebać siebie – jak grzebie się w ziemi ciało – pośród mężczyzn i kobiet podobnych do jej męża. Tego właśnie prawdziwie pragnęła.

– Yatchan, musisz zmienić swego Benza – zdecydował któryś z kolegów męża podczas drugiego przyjęcia weselnego. – Teraz tylko gangsterzy jeżdżą Benzami. Jest wiele nowych modeli krajowych, całkiem dobrych. – Ów kolega pracujący w przedsiębiorstwie samochodowym spojrzął z kolei na Mitsuko.

– Mitsuko-san, proszę wypróbować nasze samochody!

– Niestety, nie znam się na samochodach.

– No tak, w każdym razie – mężczyzna jakby coś sobie przypomniał – czy pani zna mężczyznę o nazwisku Ōtsu?

– Hm, był ktoś o nazwisku Ōtsu na moim uniwersytecie – odpowiedziała, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Jeśli to ten sam.

– Moja starsza siostra wyszła za jego starszego brata. Siostra coś mówiła, że jej szwagier kochał się w studentce o nazwisku Naruse.

– Naprawdę? Ale on studiował na innym wydziale. – I bez najmniejszego wahania w głosie dodała: – Nie miałam o tym pojęcia. Gdybym o tym wiedziała, nie wyszłabym za tego Yano – czym rozśmieszyła wszystkich.

Mąż wprawdzie zrobił kwaśną minę, ale faktycznie był zadowolony.

– Za późno! – odpowiedział kolega. – Ōtsu-san pojechał do seminarium duchownego w Lyonie. Ma zostać księdzem.

– Księdzem? To znaczy, że całe życie nie będzie miał kontaktów z kobietami? – Ktoś się wtrącił. – Czy naprawdę pozostanie na zawsze cnotliwy?

Z oczyma wbitymi w podłogę wzięła do ręki kielich z szampanem i podniosła go do ust. Ōtsu wstąpił do seminarium. Zostanie księdzem. Ten mężczyzna, który jak niemowlę tulił się do jej piersi i leżąc na niej, poruszał głową w dół i w górę. Opróżniła kielich jednym haustem, jak za dawnych czasów.

– Umie pani pić, Mitsuko-san – zdumiał się jeden z kolegów Yano.

– Tak, umie, umie – przyznał mąż z zadowoleniem. – Nawet ja z nią przegrywam. Wypija cztery wytrawne Martini i nic po niej nie widać.

– Mój ojciec lubił wypić – rzekła starając się zmienić temat rozmowy o Ōtsu na jakikolwiek inny. Przypomniała sobie Kultur

Heim popołudniową porą, kaplicę, w której się modlił zagraniczny ksiądz w białej szacie zakonnej, dźwięk kuranta dochodzący spod schodów, i te słowa, które wypowiedziała wyzywająco do krzyża na ołtarzu: „Co uczynisz, jeśli ci go zabiorę?”.

Ale ten wychudły, bezsilny mężczyzna z rozpiętymi na krzyżu ramionami pewnego dnia odzyskał Ōtsu. *A jednak nie zmienia to faktu, że ja zwyciężyłam. Bóg po prostu wziął zachłannie to, co ja odrzuciłam.*

Yano nie przeczuwał, co się dzieje w sercu żony; słuchał uważnie kolegi, który opowiadał o jakimś sportowym samochodzie. Patrząc na profil męża, Mitsuko próbowała sobie wyobrazić życie u jego boku. *Wszystko będzie dobrze. Wystarczy, że zatonę w jego radosnej, prostej twarzy.*

W podróż poślubną wybrali się tylko do Francji. To był pomysł Mitsuko. Yano chciał jechać na zachodnie wybrzeże Ameryki, gdzie już nieraz bywał, ale Mitsuko postawiła na swoim.

– Czy chcesz tylko do Francji? – zapytał rozczarowany. – Nie pojedziemy ani do Londynu, ani do Rzymu czy Szwajcarii?

– Chciałabym zwiedzić Francję, pragnęłam tego od dawna.

Hotel w Paryżu nad Sekwaną, należący do sieci Intercontinental, był urządzony w stylu amerykańskim, a więc zgodnie z tym, co lubił Yano. Mitsuko wolałaby jakiś mniejszy hotel, staromodny, ale w tym wypadku poszła na ugodę.

Z hotelu położonego w pobliżu placu Concorde mogli chodzić piechotą do kościoła Świętej Magdaleny, do Muzeum Impresjonistów i do Luwru.

Spodziewała się, że to mężowi wkrótce się znudzi, ale rozczarowanie nastąpiło już nazajutrz po przyjeździe do Paryża.

– Ten plac był świadkiem pamiętnych wydarzeń. To właśnie tutaj w czasie rewolucji zostali ścięci gilotyną Maria Antonina i Ludwik XVI – wyjaśniła mężowi wzburzona tym faktem.

– Ach, tak? – mąż zareagował tylko z obowiązku, nie kryjąc braku zainteresowania Rewolucją Francuską ani Marią Antoniną. Cała jego wiedza o tym, co warto zwiedzić w Paryżu pochodziła od kolegów, którzy przed ich wyjazdem radzili mu pójść na pokaz do Lido, kupić krawaty Sulka, wjechać na Wieżę Eiffla i zajrzeć do barów na Montmartre, w których śpiewali szansoniści.

W Luwrze otworzył przewodnik po Paryżu, który kupił w Japonii, pospiesznie obejrzał tylko te obrazy, które wymieniono w informatorze jako „obowiązkowe”.

– A więc to jest Mona Lisa? Rzeczywiście – powiedział i pokiwał głową zadowolony.

Obserwując jego zachowanie, Mitsuko przypomniała sobie scenę w powieści, o której pisała w pracy dyplomowej. Była to *Teresa Desqueyroux*, Françoisa Mauriaca, laureata Nagrody Nobla. Bohaterka powieści Teresa, córka prowincjonalnego właściciela ziemskiego z Landes, w pobliżu Bordeaux, poślubiła Bernarda, syna innego właściciela ziemskiego w okolicy. Bernard skończył studia prawnicze na Uniwersytecie Paryskim, co niewątpliwie należało do rzadkości w kręgach, z których pochodził. Był on katolikiem, podobnie jak rodzina dziewczyny, a więc był jak najbardziej odpowiednim dla nich zięciem.

Po wystawnym weselu, typowym dla tych okolic, oboje wyjechali do Paryża w podróż poślubną – ona, podobnie jak Mitsuko, szybko poczuła się zmęczona i znudzona towarzystwem męża.

Mąż Teresy wcale nie był złym człowiekiem. Cechował go konwencjonalny sposób myślenia – można rzec, że był on nadzwyczaj rozsądnym, zwyczajnym człowiekiem. Należał do ludzi,

którzy starają się postępować zgodnie z zasadami, nie łamać ogólnie przyjętych norm społecznych, moralnych i kierować się praktyczną mądrością. Po prostu bał się zboczyć z wytyczonej drogi, pragnął pędzić bezpieczne życie. To z powodu jego wiecznych starań, aby nie urazić partnerki, Teresa w jego obecności szybko się męczyła, chociaż nie widziała dlaczego tak się dzieje.

Mauriac, który tak chłodno, niemal z okrucieństwem potraktował postać Bernarda, w pewnej chwili przedstawia scenę, jak młodzi podczas podróży poślubnej zwiedzają muzeum w Luwrze. Bernard też przechodzi z sali do sali z otwartym przewodnikiem Michelina i ogląda tylko „słynne obrazy, które trzeba obejrzyć”. Jednym z nich była Mona Lisa.

– Za dużo tu tego wszystkiego. Jestem zmęczony, zresztą nie znam się na malarstwie. – Yano zrezygnował w połowie zwiedzania i powiedział, że poczeka na nią w kawiarni. Mitsuko została sama i nagle poczuła radość swobody, jakby została wyzwolona. Mimo woli zaczęła porównywać męża z Bernardem, siebie z jego żoną Teresą. Zastanawiała się, dlaczego wybrała *Teresę Desqueyroux*, nie *Mojrę* – tknięta przecuciem nieprzypadkowości wyboru zaczęła się lękać.

Tego dnia w księgarni w Palais Royal w pobliżu hotelu kupiła znane sobie wydanie Grasseta *Teresy Desqueyroux*. Wspomniała czasy studenckie, gdy posługując się słownikiem, czytała tę książkę, napisaną znacznie trudniejszą francuszczyzną niż utwory Juliena Greena. Było to wtedy, gdy porzuciwszy Ōtsu, zdała sobie sprawę z głupoty swego zachowania i zaczęła poważnie poświęcać się studiom.

Patrząc na śpiącego u jej boku męża, jeszcze raz czytała fragmenty powieści opisujące pierwszą noc podróży poślubnej Teresy. Bernard domagał się ciała Teresy w taki sposób, jak prosię wciska ryj do koryta. Mąż Mitsuko, a wcześniej Ōtsu, robili podobnie.

– Jeszcze nie śpisz? – Yano obrócił się na drugi bok i spojrzał na nią sennym wzrokiem. – Odłóż książkę i idź spać.

– Dobrze.

A jednak Ōtsu zostanie księdzem. Teraz jest we Francji, w Lyonie. Wychudły mężczyzna przyjął na powrót tego, którego ona porzuciła. Tak jak dziecko bierze na ręce utyłanego błotem pieska, który wpadł do rowu i popiskuje.

– Mam już dość Paryża! – jęknął mąż, gdy następnego dnia jedli śniadanie w hotelu. – Mam już dość chodzenia codziennie po muzeach i teatrach.

– Wolałbyś oglądać występy w Lido lub na Montmartre.

– Pewnie. Chciałbym zobaczyć coś, czym mógłbym się pochwalić po powrocie z Paryża.

– To mamy problem. Jestem kobietą i nie interesują mnie takie miejsca. Czy nie ma tu kogoś, z kim mógłbyś pochodzić tam, gdzie chciałbyś się zabawić?

– Jest. Jeden z klientów mojej firmy ma filię w Paryżu.

– To może poproś go, żeby cię tam zabrał? Nie miałabym nic przeciw temu.

Postawiła filiżankę z kawą.

– Słuchaj, a ja w zamian pojedę w podróż na prowincję i za cztery, pięć dni wrócę do Paryża. Ty w tym czasie pobawisz się tam, gdzie chcesz.

– Pojedziesz sama? Na prowincję? A gdzie?

– Jest miejsce, które zawsze chciałam zobaczyć. Miejsce z powieści, którą teraz czytam przed snem i o której pisałam pracę dyplomową. Przyjechałam do Francji, chciałam więc zobaczyć miejsca opisane w tej powieści. To niedaleko Bordeaux.

– Czy nie byłoby dziwne wyjeżdżać gdzieś samej na cztery czy pięć dni w czasie miodowego miesiąca?

– To przecież byłoby ciekawe – szeroko otworzyła oczy, dając wyraz zainteresowaniu tym pomysłem. – Powinniśmy się cieszyć oboje w tej podróży... Ty zostaniesz w Paryżu, pójdziesz zjeść coś smacznego i obejrzysz występy kabaretowe.

– W pobliżu Bordeaux, to znaczy gdzie? – Yano nie był jeszcze przekonany.

– W regionie Les Landes. Są tam rozległe dzikie tereny, piaszczyste i porośnięte sosnami. Naprawdę chciałabym zobaczyć, jak wygląda taki krajobraz.

Yano nie miał ochoty zgodzić się na jej samotną podróż, ale w końcu uległ naleganiom młodej żony. Gdy doszli do porozumienia, Mitsuko poczuła się wyzwolona, jak wcześniej w Luwrze, ale tym razem uczucie to było tak intensywne, że rozpierało jej piersi.

Uważaj na siebie – mitygowała się Mitsuko. – Chyba jeszcze nie zrezygnowałaś z prawdziwych uczuć. Przecież zamierzałaś oddać się bez reszty sprawom męża.

Odwróciła wzrok od niego, teraz przeżuwającego śniadanie, wyszeptała w duchu: *To będzie mój ostatni egoistyczny wyczyn. Jeszcze tylko raz. I stanę się zwykłą gospodynią domową.*

W dniu jej wyjazdu z Paryża niebo trochę się zachmurzyło. W tym samym przedziale pociągu do Bordeaux siedziała staruszka, która robiła na drutach i mężczyzna w średnim wieku z córeczką. Dziewczynka wpatrywała się w twarz Mitsuko, a po chwili zapytała: – „Czy pani jest Chinką?”. Ojciec przeprosił za jej zachowanie, za to sam wciąż spoglądał na kolana Mitsuko, to znów na książkę *Teresa Desqueyroux*, którą czytała.

Zapomniała już sporo słów francuskich, ale tak świetnie знаła treść powieści, że teraz bez większego trudu mogła ją zrozumieć.

Bernard wcale nie był złym mężem w pospolitym sensie tego słowa. Nigdy nie opuszczał niedzielnej mszy, a już nawet przez myśl mu nie przeszło coś takiego jak zdrada żony. Wychowany w małym miasteczku w regionie Landes w zamożnej rodzinie mieszczańskiej, nigdy nie uczynił niczego, co wywołałoby plotki wśród okolicznych mieszkańców. W tym prowincjonalnym francuskim miasteczku, gdzie nie było ważniejszej rzeczy od dobrej reputacji, Bernard był wzorowym mężem.

Mimo to Teresa czuła się zniechęcona i zmęczona wspólnym pożyciem. Apatia, którą odczuwała już w czasie podróży poślubnej, po powrocie do miasteczka St. Symphorien w Landes, gdzie rozpoczęła nowe życie osadzała się w jej sercu niby niewidoczny pył. A kiedy pojawiły się pierwsze oznaki ciąży – trochę może dlatego, że był to najgorętszy okres lata – Teresa czuła się tak przytłoczona, jakby nosiła na plecach bryłę ołowiu.

Mitsuko przerwała czytanie i podniosła głowę. Mężczyzna siedzący naprzeciwko pospiesznie odwrócił od niej wzrok. Za oknem pojawiły się wreszcie znaki roz pogodzenia, a przed jej oczami zaczęły przesuwać się brązowe dachy chłopskich domów, wioski z kościołami, pastwiska, na których pasły się krowy.

Nagle zaczęła się zastanawiać, co też jej mąż porabia teraz w Paryżu. Jednak w ogóle nie czuła tęsknoty. Wpatrywała się w swoje raczej ponure odbicie w szybie i w swoje wielkie oczy, i niemal czując ból, przeżywała to, co przeżywała Teresa. *Dawniej Mojra*, teraz Teresa. W zakamarkach pamięci czyjś głos – czy to głos, któregoś z jej dawnych kolegów? – śpiewał ten refren. Mitsuko czuła, że w odróżnieniu od innych kobiet, nie potrafi prawdziwie kochać. Kobieta jałowa jak piaszczysta gleba. Kobieta, w której wygasły płomień miłości. *Czego ty właściwie pragniesz?* Mitsuko w duchu skierowała to pytanie do dziewczynki z przedziału, która wciąż wpatrywała się w nią z ciekawością. Ale tak naprawdę samej sobie. *Czego właściwie pragniesz?*

Jedna noc w Bordeaux. Następnego dnia w hotelu przygotowano jej kanapki. Zgodnie z informacją recepcjonisty Mitsuko wsiadła do autobusu do Langon. Przeglądając informator, który dał jej uprzejmy recepcjonista, dowiedziała się, że wspomniana w powieści kolej w St. Symphorien, gdzie mieszkała Teresa, została dawno temu zlikwidowana, a teraz jeździł tamtędy autobus.

Miasteczko Langon, południowe słońce rozjaśnia opustoszałą drogę.

– To już nie ma kolei? – zapytała kobietę w średnim wieku czekającą na autobus.

– Kolei? – kobieta wzruszyła ramionami. – Dawno temu była tu towarowa kolejka do przewożenia sosnowego drewna, ale nie woziła pasażerów.

Mitsuko zrozumiała, że pociąg, którym w powieści Teresa jechała do lasu pogrążonego w ciemności, był wymysłem Mauriaca. Jeśli tak, to wobec tego Teresa nie przejeżdżała przez rzeczywisty las pogrążony w ciemności, lecz faktycznie podróżowała przez mroczną otchłań swego serca.

Ach, więc to tak było. Uświadomiwszy to sobie, Mitsuko zrozumiała, że ona też zostawiła męża w Paryżu i przyjechała do tej wioski po to, by odbyć podróż w poszukiwaniu mroków własnego serca.

Autobus jechał drogą wiodącą przez gęsty sosnowy las. Sosny w tym lesie przypominały tłum ludzi stojących ciasno obok siebie, a ogromne paprocie rozpościerały się wszędzie niby parasole.

Czasami latem, gdy bezchmurne dni trwają bez przerwy zbyt długo, wyschnięte gałęzie ocierają się o siebie i wzniecają pożar w lesie, a wtedy dym przesłania dysk słońca. Od czasu do czasu ukazywały się w lesie szałas, w których nocowali mężczyźni, przechodzący tam polować na turkawki. Chociaż Mitsuko po raz

pierwszy oglądała ten pejzaż w regionie Landes, znała go świetnie z lektury *Teresy Desqueyroux*.

Na rynku w St. Symphorien, nagim jak pustynia, Mitsuko wysiadła wraz z kilkoma innymi pasażerami. Gdy weszła do hotelowej restauracji przy rynku, młodzi ludzie, którzy bawili się przy automatach, popatrzyli na nią bojaźliwie, chyba dlatego, że turyści z Dalekiego Wschodu zjawiają się w tej wiosce bardzo rzadko. Nie ma tu bowiem nic ciekawego. Zamówiła posiłek i wynajęła pokój.

– Pani z Japonii, prawda? – spytała kobieta w fartuszkach, właścicielka hotelu, oglądając paszport Mitsuko. – Przed pięciu laty mieszkał u nas jeden Japończyk. Tak, pamiętam go dobrze. Mówił, że studiuje w Lyonie.

Na wzmiankę o Lyonie w jej świadomości zabłysło nazwisko Ōtsu. Otwierając drzwi do pokoju, półzartem pomyślała, że w drodze powrotnej do Paryża, może powinna wstąpić do Lyonu.

Mitsuko spociła się, chodząc po miasteczku zalanym wieczornym słońcem. Teresa i Bernard również spacerowali po tym rynku, trzymając się za ręce jak czuli narzeczeni, a w pobliskim kościele wzięli ślub. Życie w rezygnacji i znużeniu. Poczciwy mąż, który ją męczył swym istnieniem. Zdrowy rozsądek mówił, że ten mężczyzna nie miał żadnych wad. To właśnie, że ich nie miał, najbardziej irytowało Teresę, i miała również pretensję do siebie. Irytacja gromadziła się w jej podświadomości i czekała tylko na odpowiedni moment, żeby zapłonąć jak ten las sosnowy w Landes.

Tej nocy od czasu do czasu rozlegał się na ulicy warkot motorów, potem ucichł i w St. Symphorien na dobre zapadła noc, którą autor nazwał „ciszą na krańcach Ziemi”. Leżąc w półmroku z szeroko otwartymi oczyma, patrzyła w sufit i pytała samą siebie; *Czego ty chcesz tak naprawdę? Dlaczego przyjechałaś tu sama?*

Sięgnęła po słuchawkę i wykrciła numer hotelu w Paryżu. Nie dlatego, że zapragnęła usłyszeć głos Yano. Po prostu nagle przestraszyła się swoich myśli, które stawały się coraz bardziej podobne do myśli Teresy. Czy nie wyszła za Yano, żeby wypełnić pustkę w sobie? Przecież pragnęła oddać się jakiemuś ludzkiemu życiu pośród jego znajomych, którzy o niczym innym nie rozmawiali, jak tylko o pracy, golfie i samochodach. Centrala w hotelu poinformowała, że numer nie odpowiada, chociaż próbowano się połączyć kilka razy. Widocznie mąż jeszcze nie wrócił ze swej wędrowki po Paryżu.

Teresa wsiadła do nie istniejącego pociągu i zanurzyła się w mrok własnego serca. Mitsuko zaś skończyła bezsensowną podróż po Landes, gdzie niczego nie zdołała odkryć, i ruszyła w stronę Lyonu.

O drugiej po południu przybyła do Lyonu. Wynajęła pokój w hotelu przy placu Bellecour. Tutaj też poprosiła recepcjonistę o sprawdzenie, czy jest w Lyonie zakon, który kierował uniwersytetem, gdzie studiowali Mitsuko i Ōtsu. Ku jej zaskoczeniu szybko udało się ustalić adres i numer telefonu. Recepcjonista wskazał palcem na planie miasta dzielnicę Fourviere, najstarszą część Lyonu. Mitsuko od razu domyśliła się, że tam jest klasztor, o który jej chodziło, ponieważ należał do zakonu zarządzającego uczelnią, w której studiowała wraz z Ōtsu.

Wykrciła numer telefonu i ktoś powtórzył za nią kilka razy nazwisko Ōtsu, aż w końcu zrozumiał i głośno zawołał: „Ach, chodzi o Augustyna Ōtsu?” Czekala długo, aż w końcu usłyszała w słuchawce trudny do zapomnienia, wystraszony głos Ōtsu. Ten głos przypominał Mitsuko okragłą twarz i oddech o zapachu curry.

– To ja, Na-ru-se. – Celowo powiedziała żywym, radosnym tonem, ale w słuchawce panowała cisza.

– Ōtsu-san, to ja, jestem we Francji. Razem z mężem. A teraz jestem sama w Lyonie. W hotelu Bellecour.

– Naprawdę?

– Naprawdę! Dowiedziałam się, że jesteś w Lyonie, więc pomyślałam, że zatelefonuję. Czy ci nie przeszkadzam?

– Nie.

– Podobno zostaniesz księdzem?

Znów milczał. Pewnie nie wiedział, co ma odpowiedzieć. W wyobraźni widziała jego zdenerwowaną i nieśmiałą twarz, dlatego starała się mówić miłym głosem.

– To oznacza, że nie wolno ci spotykać się z takimi jak ja?

– Nie o to chodzi.

– Jutro chyba wrócę do Paryża. A może nawet dziś wieczór?

– Przepraszam. Dziś nie mogę. Ale jutro w ciągu dnia idę na Katolicki Uniwersytet przy ulicy du Plat. O jedenastej kończą się zajęcia i wtedy mógłbym odwiedzić cię w hotelu Bellecour.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem. To znany hotel w Lyonie.

Po rozmowie z Ōtsu Mitsuko wyszła na spacer nad rzekę Saonę i zwiedzała miasto z przewodnikiem w ręce. Woda w rzece była czarna, a nad załadowanymi towarami barkami szybowały ptaki. Znad rzeki poszła zobaczyć starożytny teatr rzymski, który zrekonstruowany stał na wzgórzu w Fourviere. Może dlatego, że wzgórze Fourviere jest w Lyonie najstarszą dzielnicą, gdzieś tu stały domy o odpadających tynkach, podobne do zębów przeżartych, próchnicą. Ze schodów na wzgórzu mogła obejrzeć panoramę miasta. Patrzyła w dół na szare miasto, jakby przycupnięte pod zachmurzonym niebem. Przed oczyma miała Lyon, dokąd nie zamierzała przyjeżdżać, znalazła się tu przypadkiem – smętny i nie

tak żywotny jak Paryż. Zeszła po schodach w poszukiwaniu nowicjatu, w którym mieszkał Ōtsu. Budynek, jak wszystkie w Fourviere, był stary, poczerniały i nosił ślady licznych wichur i śnieżyc. Kiedy na niego patrzyła, ze środka wyszło kilku seminarzystów i schodziło po schodach; mieli na sobie berety i płaszcze, podobne do tych, jakie kiedyś przed wojną nosili licealiści w Japonii. Dla Mitsuko wyglądali oni jak członkowie jakiejś nieznanej, obcej rasy, a Ōtsu żyje teraz wśród nich.

Nazajutrz około wpół do dwunastej Ōtsu zjawił się w jej hotelu zgodnie z obietnicą. Po telefonie z recepcji zeszła na dół do holu. Pośród wytwornie ubranych pań i panów ujrzała sylwetkę Ōtsu, stojącego w berecie takim samym jak wczorajsi seminarzyści i starym wytartym czarnym habicie. Nadal wyglądał jak bezdomny pies, który jakoś wydostał się z rowu i zupełnie nie pasował do hotelowych salonów.

– Ileż to lat minęło – powiedziała Mitsuko, a Ōtsu uśmiechnął się nieśmiało i wydusił z siebie swoje zwyczajowe „przepraszam”.

– W tym stroju wyglądasz zupełnie inaczej.

– Naruse-san też... przepraszam, nazwisko już chyba uległo zmianie.

– Nazywam się Yano, ale to nieważne. Wyjdziemy stąd? A może seminarzystom nie wolno spacerować z kobietami?

– W porządku. Wyjaśniłem przełożonemu.

Przeszli przez plac Bellecour i poszli na spacer wzdłuż brzegów ciemnej, jakby stojącej wody rzeki Saony. Tego dnia rzeka była ponura, a barki załadowane towarami płynęły powoli na północ.

– Nie powinnam tak mówić, ale Lyon w porównaniu z Paryżem naprawdę wydaje się miastem pozbawionym życia.

– Wszyscy paryżanie tak mówią. Że jest konserwatywny.

– Czy długo będziesz w tym mieście?

– Pozostały mi dwa lata do skończenia nauki. Ale nie wiadomo, czy takiemu jak ja uda się skończyć seminarium duchowne.

Oparli się o barierkę nad rzeką i patrzyli na barki i wodne ptactwo. I Mitsuko, i Ōtsu unikali rozmowy o tym, co ich kiedyś łączyło. Ōtsu w swym brudnym berecie wyglądał jak wychudły żołnierz. Przed wielu laty jego usta łaknęły jej piersi jak niemowlę.

– W czasie studiów zmusiliśmy cię do picia alkoholu, pamiętasz?

Ōtsu milczał.

– Wtedy przecież porzuciłeś Boga, prawda? – Mitsuko ugodziła Ōtsu w starą ranę. Jej złośliwość została sprowokowana lękiem widocznym na jego twarzy.

– Więc jak to się stało, że jesteś studentem seminarium duchownego?

Ōtsu mrugając oczami, patrzył na czarny nurt rzeki Saony. Na powierzchni wody tworzyła się jakby mydlana piana i płynęła z prądem rzeki.

– Nie wiem. Jakoś tak się stało.

– Chciałabym znać powód.

– No właśnie, kiedy mnie już ostatecznie odrzuciłaś, ja... zacząłem trochę rozumieć... cierpienia człowieka odrzuconego przez innych ludzi.

– Chwileczkę, nie upiększaj. – Mitsuko poczuła się urażona. Tym bardziej zapragnęła mu dokuczyć.

– Przepraszam. Ale naprawdę tak było. Coś usłyszałem. Porzucony przez ciebie, zdruzgotany... nie wiedząc dokąd iść i co począć... znów poszedłem do Kultur Heim i klęcząc tam, usłyszałem pewne słowa.

– Co usłyszałeś?

– Głos mówiący „Przyjdź do mnie. Zostałem odrzucony jak ty. Dlatego ja nigdy cię nie odrzucę”. Tak powiedział.

– Ale kto?

– Nie wiem. Lecz na pewno mówił mi, żebym przyszedł.

– A co ty zrobiłeś?

– Powiedziałem, że przyjdę.

Nagle przypomniała sobie Kultur Heim w tamto popołudnie, gdy promienie słońca wpadały do środka przez okna. Dźwięk kuranta dochodzący spod schodów, wychudłego mężczyznę na ołtarzu, przy którym nikogo nie było, i owe słowa napisane w Biblii, którą ktoś zapomniał na ławce. „On jest brzydki, bez majestatu. Jest biedny i żaloszny” – tak brzmiały te słowa.

– Czy to znaczy, że dzięki mnie poszedłeś do seminarium duchownego? – spytała Mitsuko z uśmiechem, ale czuła, że jest wymuszony i sztuczny.

– To prawda. – Po raz pierwszy na twarzy Ōtsu ukazał się radosny uśmiech. – Po tym wszystkim zacząłem myśleć, że Bóg jak czarownik każdą sytuację może obrócić na naszą korzyść. Nasze słabości i nasze grzechy. Tak jest. Magik wkłada do pudełka nędznego wróbla, przykrywa go i na znak otwarcia wychudły wróbelek zamienia się w białego gołębia, który wzlatuje w górę.

– A ty jesteś tym nędznym wychudłym wróbelkiem?

– Hm, byłem w sytuacji godnej pożałowania. Ale gdybym nie został odepchnięty przez ciebie... ja... nie prowadziłbym dzisiaj takiego życia.

– Przesadzasz, nadajesz temu zbyt wielkie znaczenie, przecież wszystko, co ci się przydarzyło, to tylko rozstanie z kobietą.

– Przepraszam. Ale w moim wypadku naprawdę tak się stało.

Twarz Ōtsu była profilem zwrócona w stronę brązowych dachów z kominami. Tam, spośród skupisk domów wyrastała jak olbrzym czerniejąca strzelista wieża katedry Świętego Jana Apostoła, która była największą turystyczną atrakcją Lyonu. Nie sądziła, że Ōtsu usprawiedliwia się ze swej przeszłości tylko dlatego, że był przegrany. Ponieważ Mitsuko nie wierzyła w Boga, musiała uznać, że jego wyznania były niczym innym, jak tylko desperacką próbą znalezienia sensu we własnym doświadczeniu. Mogła jedynie zrozumieć, że ten biedny mężczyzna wszedł do świata całkowicie odmiennego od tego, w którym przebywali jej przyjaciele z przeszłości, a także jej mąż wraz z kolegami.

– Zmieniłeś się, prawda?

– Możliwe, że tak. Ale właściwie to nie zmieniłem się. Ja zostałem zmieniony za pomocą boskiej magii.

– Słuchaj, może byś tak przestał wciąż posługiwać się słowem „Bóg”. To mnie denerwuje, a poza tym nie czuję znaczenia tego słowa. Dla mnie nie ma ono konkretnego znaczenia. Od początku studiów czułam dystans do słowa „Bóg”, którego używali cudzoziemscy księża.

– Przepraszam. Jeśli nie podoba ci się to słowo, możesz wybrać inne, na przykład zmienić je na „Cebulę”.

– A więc co dla ciebie znaczy to, co nazywasz Cebulą? Kiedyś ktoś cię zapytał, czy Bóg istnieje i powiedziałaś, że sam tego nie wiesz.

– Przepraszam. Szczerze mówiąc, wówczas nie wiedziałem. Ale teraz już rozumiem to, po swojemu.

– Powiedz więc.

– Bóg nie jest istnieniem, a raczej mocą. Ta Cebula jest istotą, która sprawia, że rodzi się cud miłości.

– To jeszcze okropniejsze. Jak można posługiwać się tak wstydlivym słowem jak „miłość” z taką powagą. A co masz na myśli, mówiąc „rodzi się cud miłości”?

– Przecież Cebula znalazła mnie porzuconego w jednym miejscu, a później dała mi życie w miejscu zupełnie innym.

– Coś podobnego! – roześmiała się głośno Mitsuko. – To nie ma nic wspólnego z mocą tej twojej Cebuli! Po prostu twoje uczucia skierowały cię w tym kierunku.

– To nieprawda. To przekraczało moją wolę działania, to stało się wskutek mocy Cebuli. – Po raz pierwszy Ōtsu mówił tak stanowczo, podniósł oczy i spojrzał prosto w twarz Mitsuko, a przecież zawsze odwracał od niej wzrok. Różnił się od tamtego mężczyzny, słabego i niezdecydowanego, którego jedyną zaletą była dobroduszość.

– Jak długo każesz mi stać tutaj? – Mitsuko zmieniła temat. – Już dawno minęło południe. Zadałam sobie tyle trudu, żeby przyjechać do Lyonu, to może przynajmniej zjemy gdzieś razem obiad?

– Przepraszam. Jestem seminarzystą, nie znam takich miejsc.

– Ja znam. I zapraszam cię. Tym razem nie będę wmuszać w ciebie alkoholu.

Zrobił niewinną, uradowaną minę, jak pies wyprowadzany na spacer. Wrócili na plac Bellecour, gdzie Mitsuko z okna hotelowego widziała odpowiednią restaurację na rogu placu, gdzie stał pomnik Ludwika XIV. Na stole otoczonym cynobrowymi ścianami, na których wisiały lustra, leżały serwetki złożone w kształcie piramidek. Kelnerzy patrzyli z daleka ze zdziwieniem na siadającego przy stole Japończyka, studenta seminarium duchownego w poplamionym habicie.

Znów plamiąc zupą wyświechtany habit, westchnął i powiedział:

– Jaka smaczna! Ile to już lat minęło, odkąd nie jadłem czegoś tak dobrego?

– Lepiej było nie wybierać takiego życia. Nawet w Tokio jest już wiele podobnych restauracji, w których podają tak dobre jedzenie jak tutaj. Wybacz, że zapytam, ale czy to nie owa Cebula zmusiła cię do takiego życia?

Ōtsu jak dziecko mocno ścisnął łyżkę i uśmiechał się.

– Śmieszny jesteś. Przecież jesteś Japończykiem, prawda? Gdy pomyślę, że jako Japończyk wierzysz w europejskie chrześcijaństwo, chce mi się zgrzytać zębami.

– Nie zmieniłaś się, prawda Naruse-san?

– Nie, ale teraz mówię poważnie.

– Nie o to chodzi, czy wierzę w europejskie chrześcijaństwo, ja raczej...

Kropla zupy znów spadła mu na habit. Ścisnąc łyżkę, Ōtsu skarżył się Mitsuko jak dziecko.

– Naruse-san, czy odkąd jesteś we Francji, nie odczuwasz jakiegoś niepokoju, zagubienia?

– Niepokoju? Od mojego przyjazdu do tego kraju nie minęło jeszcze dziesięć dni!

– Jestem tu trzeci rok. Przez te trzy lata wciąż czuję się zmęczony sposobem myślenia tutejszych ludzi. Zmęczony tym ich myśleniem, które ukształtowali własnymi rękami tak, by odpowiadało ich sercom, ale dla mnie, człowieka z Dalekiego Wschodu jest to myślenie zbyt ociężałe. Nie mogę się z nim utożsamić ani też go przyjąć. Dlatego każdy dzień tutaj jest dla mnie udręką. Kiedy próbuję wyjaśnić, jak się tutaj czuję swoim starszym kolegom i

francuskim nauczycielom, oni czynią mi wymówki, pouczają mnie mówiąc, że prawda nie zna granic między Europą i Azją. Mówią, że to z powodu mojej neurozy albo kompleksu. Również poglądów na temat Cebuli.

– Nadal jesteś nieokrzesany, jak dawniej. Nawet w czasie posiłku w obecności kobiety nie potrafisz mówić o niczym innym jak tylko o ponurych i nudnych rzeczach.

– Przepraszam. Ale... nie widziałem cię tyle lat. Po prostu chciałbym opowiedzieć ci o tym, co się nagromadziło w mojej duszy przez ten czas.

– No więc opowiadaj! Powiedz wszystko, co chciałbyś powiedzieć o swojej Cebuli.

– Nie potrafię jasno dojrzeć różnicy między dobrem a złem jak tutejsi ludzie. Myślę, że w dobrym kryje się też zło, a w tym, co złe, może kryć się dobro. Dlatego Bóg może posłużyć się nawet moimi grzechami, by skierować mnie ku zbawieniu.

Ściskając w jednej ręce widelec, w drugiej nóż Ōtsu paplał jak najęty. Miał taki sam wyraz twarzy, jak członkowie studenckich organizacji, prowadzący w knajpkach nie kończące się dyskusje. Jakże Mitsuko i jej koledzy pokpiwali sobie z nich w czasach studiów.

– Moje poglądy w kościele uważane są za herezję. Udzielono mi nawet reprimendy. Niczego nie rozumiesz – mówili mi. Niczego dobrze nie rozróżniasz. Bóg jest inny, niż myślisz. Nie jest czymś takim jak twoja Cebula – mówili.

– Dlaczego więc nie porzucisz tych wszystkich kłopotów.

– To nie jest takie proste.

– Musisz także jeść, nie tylko mówić. Kelner ma z tobą kłopot, bo nie może podać następnego dania.

– Przepraszam.

Ōtsu posłusznie przeżuwał i jak dziecko uśmiechnął się do Mitsuko, która przyglądała mu się uważnie.

– Ta zupa cebulowa... jest bardzo smaczna. Zastanawiała się, czy byłaby szczęśliwa, gdyby wyszła za tego mężczyznę, czy też nudziłaby się jeszcze bardziej niż z Yano.

– A poza tym ja ufam mojej Cebuli. Jest czymś więcej niż wiarą.

– Czy jesteś pewien, że nie zostaniesz ekskomunikowany? – zażartowała. – Nadal jest coś takiego jak ekskomunika, prawda?

– W zakonie powiedzieli mi, że mam skłonności heretyckie, ale jeszcze mnie nie wyrzucają. Jednak ja nie mogę kłamać wobec siebie, a kiedy ostatecznie powrócę do Japonii – wkładał łyżkę do ust w taki sposób, jakby miał zamiar ją połknąć – chcę myśleć o takiej formie chrześcijaństwa, które odpowiada duszy Japończyków.

– Zrozumiałam. A teraz szybciej kończ obiad.

Mówiąc szczerze, Mitsuko była już znudzona jego nie kończącą się przemową. Miała wrażenie, że słucha muzyki, która sprawia przyjemność tylko jemu. To typ mężczyzny, który gotów życie zmarnować dla bezużytecznych iluzji. Jego świat jest jej zbyt odległy. Mitsuko rozumiała niewysłowione znużenie Teresy Desqueyroux i niechęć, jaką czuła wobec dobrodusznego męża. I to, że własne zmęczenie i nienawiść musi schować głęboko na dnie serca i spróbować żyć u boku Yano, który tak bardzo przypominał jej Bernarda.

Gdy wyszli z restauracji, Mitsuko podała rękę Ōtsu zgodnie z francuskimi zwyczajami.

– Do widzenia. Mam nadzieję, że spotkamy się znów w Japonii.

– Przepraszam – Ōtsu kiwnął głową. – Dziękuję za obiad.

– Nie daj się ekskomunikować, dobrze, Ōtsu-san? – zażartowała Mitsuko. – I postaraj się trochę lepiej korzystać z życia.

Wieczorem była z powrotem w Paryżu, kiedy na dworcu wsiadła do taksówki i wymieniła nazwę hotelu, poczuła się tak, jakby wracała do domu z dalekiej podróży. I nagle wydało się jej, że brzegi Sekwany, połyskujące światłami miasta, wyniosła Katedra Notre Dame w świetle reflektorów i pogrążone w mroku ponure Conciergerie, że wszystko jest jej bliskie i znane od lat.

Czy odkąd jesteś we Francji... nie odczuwasz jakiegoś niepokoju, zagubienia?

Skarga Ōtsu nagle ożyła w jej myślach. *Nie czuję żadnego niepokoju. Do tego stopnia, że w ogóle nie mam ochoty wracać do Japonii* – powiedziała do siebie tak głośno, że kierowca z papierosem między wargami spojrzał na nią pytająco.

Wróciła do hotelu. Yano, tak jak przypuszczała, nie było w pokoju, więc wykapała się, skończyła toaletę i czekała na powrót męża. Gdy leżąc w łóżku oglądała telewizję, ogarnęło ją nagle zmęczenie samotnej podróży. Usnęła, nie wiedząc kiedy.

Przebudził ją odgłos otwieranych drzwi. Wszedł Yano w oparach alkoholu.

– Już wróciłaś? Czekałbym na ciebie w hotelu, gdybyś mnie zawiadomiła o powrocie.

– Wybacz. Wybacz, że zachciało mi się samej jechać, chociaż to nasza podróż poślubna.

– Czy dobrze się bawiłaś?

– Tak, z Bordeaux udałam się do Lyonu. Katedra i stary teatr rzymski są naprawdę wspaniałe. – Celowo wymieniła zabytki, miejsca, które nie mogły rozbudzić zainteresowania męża. – Byłam też w okręgu Les Landes, który chciałam zobaczyć, ale jest tam tylko las sosnowy i uboga wioska, nie wytrzymałbyś godziny, gdybyś tam pojechał. A ty co robiłeś?

– Oprowadzał mnie Takabayashi-san ze Spółki Handlowej M.

– Po Paryżu dla panów?

– Coś w tym rodzaju. Po Montmartre i do Lido. Nie było tak ciekawie, jak sobie wyobrażałem. Takabayashi śmiał się mówiąc, że rzadko spotyka się takie młode pary jak my. – Mówiąc to Yano nie okazywał niezadowolenia. Zamiast dać się ciągać żonie po muzeach, do czego nie miał przygotowania, lub na koncerty, których wartości nie mógł ocenić, ten prosty, naiwny człowiek znacznie lepiej bawił się, zwiedzając z innym Japończykiem „Paryż tylko dla panów”.

A mimo to tej nocy, z taką pazernością pożądał ciała Mitsuko jak prosię pałaszujące w korycie. Wszyscy mężczyźni w miłosnym uścisku z kobietą – jak wynikało z doświadczenia Mitsuko – mieli podobny wyraz twarzy.

Oczy nabiegłe krwią i sapanie. Tylko Mitsuko nigdy nie dawała się ponieść. Nie będąc w stanie przeżywać miłosnego upojenia, myślała, że jest kobietą niezdolną do miłości. Ale czym jest miłość? Co prawda, Ōtsu mówił, że to jego Cebula była jednością bezgranicznej czułości i miłości, ale...

I co dziwne, wtedy w myślach Mitsuko pojawiła się postać Ōtsu stojącego na placu Bellecour w wytartym zakonnym stroju seminarzysty i w wielkich sznurowanych butach. Ōtsu nie zwracając uwagi na jej uczucia, opowiadał o swej Cebuli. Był równie nudny jak jej mąż, który potrafił rozmawiać tylko o golfie i nowych modelach samochodów, ale Ōtsu był całkowicie innym mężczyzną niż koledzy ze studiów czy Yano.

Rozdział 4

Przypadek Numady

Na pokładzie samolotu JAL lecącego do Dehli zaczęto sprzedawać z wózka alkohol, papierosy i upominki, a stewardesy, które do tej pory wyglądały jak niewinne panienki, nagle przybrały służbowe miny jak sprzedawczynie w domach towarowych. Numada pomyślał, że mógłby kupić perfumy żonie, która została w domu, ale nie wiedząc, jakie lubi, zapytał siedzącego obok Isobego:

– Czy zna się pan na perfumach?

– Perfumach? – Isobe wykrzywiając usta w uśmiechu odpowiedział: – Niestety, nie.

– Zostawiłem żonę w domu, a sam wybrałem się do Indii, więc pomyślałem, że dla uspokojenia sumienia... – tłumaczył się Numada.

– O? A więc to na prezent dla żony? Dobry pomysł. A może poradziłby się pan stewardesy?

– Czy pan też kupuje coś dla małżonki?

– Moja żona zmarła.

– O, przepraszam bardzo – Numada zmieszał się. – Nie wiedziałem.

Stewardesa zapytała o wiek żony, poleciła perfumy o nazwie Ambassador i z profesjonalnym uśmiechem zapytała: – Czy płaci pan jenami, czy dolarami?

Numada otrzymał perfumy i czując się niezręcznie wobec Isobego, bez słowa schował je do podręcznej torby. Isobe zamknął oczy i drzemał. Za jego plecami państwo Sanjō, młoda para w podróży poślubnej, nie przejmując się obecnością innych pasażerów hałaśliwie kupowali pamiątki, wyrywając je sobie z rąk.

- Kupujesz dwie butelki brandy?
- Podobno w Indiach trudno dostać alkohol.
- W takim razie dodam jeszcze perfumy.

Stewardesa zwróciła się do Numady:

- Czy może pan jest tym Numada, który pisze opowiadania dla dzieci?

Gdy zakłopotany Numada kiwnął głową na potwierdzenie, dodała:

- W czasie studiów specjalizowałam się w literaturze dziecięcej. I dlatego przeczytałam kilka pana książek.

- Piszę nie tylko dla młodzieży, przede wszystkim piszę opowiadania, których bohaterami są psy i ptaki.

- Ja przepadam za kotami.

Isobe przysłuchiwał się rozmowie z zamkniętymi oczyma. Gdyby jego żona jeszcze żyła, pomyślał, nie podróżowałby teraz do takich miejsc jak Indie.

Numada dzieciństwo spędził w Dalian w Mandżurii, kolonizowanej wówczas przez Japonię. Dalian, jaki mu pozostał w pamięci, przesycony był zapachem Rosjan okupujących ten kraj, zanim przyszli Japończycy. Stały tam osiedla mieszkaniowe ceglanych domów, jakich mało w Japonii, a drogi rozchodziły się promieniście od centralnego placu. Rzadko widziane na wyspach w Japonii, może z wyjątkiem Hokkaido, akacje i topole tworzyły aleje

na poboczach dróg, przy których mieszkali wulgarni Japończycy, nowobogacy, agresywni, patrzący z góry na Chińczyków, zamieszkałych tam od dawien dawna. Chińska dzielnica nawet w oczach małego Numady była uboga, nędzna. Gdy rodzice brali go ze sobą na targ chiński, czuł tam charakterystyczną woń czosnku, widział świńskie głowy i oskubane kurczaki zawieszane na wielu straganach.

Rankami Chinki i ich dzieci obchodziły mieszkania Japończyków z towarem na sprzedaż. W koszach na plecach niosły popiskujące i wyrywające się na wolność przepiórki lub melony i arbuzy o intensywnych kolorach. Kobiety i dzieci nosiły od domu do domu ciężkie kosze na drążkach, które, podtrzymywane z obu stron, wpijały się im w ramiona. Japońskie gospodynie domowe targowały się i targowały, jakby to było naturalne, i w końcu kupowały za bezcen.

Matka Numady wzięła chińskiego chłopca na służbę. Japończycy w Dalianie mieszkali w domach w stylu rosyjskim i często przyjmowali dzieci chińskie do pomocy przy pracach domowych i na posyłki, i nazywali je boyami.

Chłopiec zatrudniony w rodzinie Numady miał piętnaście lat, nazywał się Li. Mówił łamaną japońszczyzną, niewprawnymi rękami pomagał matce w kuchni, a późną jesienią dokładał węgla do pieca. Miał dobry, łagodny charakter, bo kiedy o sześć lat młodszego Numadę rodzice łajali, on go bronił; niepokoił się też, kiedy opóźniał się jego powrót ze szkoły, i wychodził mu na spotkanie.

Pewnego dnia, wracając ze szkoły Numada znalazł i zabrał do domu bezdomnego psa. Był to pies mandzurski o czarnej sierści i purpurowym języku. Miał zaropiałe oczy i był tak brudny i zabłocony, że matka zabroniła zatrzymać go w domu i kazała wyrzucić. Syn tak błagał ją i płakał, że pozwoliła go zostawić na jeden dzień. Li umył psa i umieścił go w wyściełanej słomą skrzynce, którą postawił na klepisku przy kuchni.

Nocą samotny piesek ciągle skamlał. Gdy Numada poszedł do kuchni go pogłaskać, pojawił się ojciec w piżamie i krzyknął: „To nie do zniesienia! Jutro masz wyrzucić tego psa!”.

Następnego dnia Numada nawet w czasie zajęć szkolnych myślał o piesku. Po lekcjach wracał do domu biegiem. Li rąbał drzewo na podwórku, a gdy zobaczył Numadę, położył palec na ustach dając znak, żeby z nim poszedł.

Numada udał się z Li do szopy na węgiel, stojącej pod płotem. Obok stosu lśniącego węgla siedziało szczenię, które na widok Numady zaczęło machać krótkim ogonem, biegać i zraszać ziemię z radości.

– Paniczu, nie mówić pani – poradził Li, uśmiechając się przebiegle i zarazem łagodnie.

– Jasne.

Od tego dnia szopa na węgiel stała się miejscem ich wspólnej tajemnicy. Po powrocie ze szkoły Numada ukradkiem nosił pieskowi resztki z posiłków, zbierane przez Li do puszki. Psa nazwano Kuro, czyli Czarny, a gdy miał już zdrowe oczy i nauczył się samotnie spać, Li przeniósł go na podwórko i powiedział matce Numady:

– Proszę pani, ten pies wrócił. Już nie piszczy, jest w porządku.

– Matka domyślała się, że Li kłamie, ale w końcu uległa prośbom syna i Kuro został.

Minęło pół roku i Li został zwolniony ze służby. Kiedy zdjęto kłódkę z drzwi do szopy z węglem, okazało się, że nie wiadomo kiedy, zniknęła połowa zapasów. Przyszedł policjant japoński i oznajmił, że podejrzewa Li o kradzież. Ktoś doniósł, że widziano, jak Li naradzał się w pobliżu szopy z innymi boyami.

– W każdym razie swobodny dostęp do klucza miał tylko Li – wyjaśnił policjant siorbiąc głośno herbatę na progu domu. – Nie

wolno im ufać. Nawet jeśli wyglądają potulnie, nigdy nie wiadomo, czego się po nich spodziewać.

Gdy ojciec Numady przepytывał Li, ten potrząsał przecząco głową. Zza drzwi dochodziły krzyki ojca, jego gniewnych oskarżeń, a patrząc przez szparę ukradkiem, Numada widział, jak Chińczyk bezradnie się tłumaczy i traci z żalu oddech.

W końcu Li został wyrzucony z domu Numadów. Nie brakowało w Dalianie chłopców i służących, którzy mogli go zastąpić.

W dniu rozstania Li odchodził tylko z maleńkim i brudnym tobołkiem ze swoimi rzeczami.

– Do widzenia, paniczu. Do widzenia, paniczu. – Otworzył drzwi od kuchni i jeszcze raz powtórzył słowa pożegnania. – Do widzenia, paniczu, do widzenia.

Numada jeszcze dziś, po tylu latach, pamięta uśmiech rezygnacji na twarzy odchodzącego chłopca.

Kuro wyrósł na dużego psa. Machał ogonem tak żywo, że zdawało się, iż mu odpadnie. Malutki szczeniak szybko wyrósł na potężnego psa mandzurskiego. Kiedy Numada bawił się z kolegami, zawsze siedział ze smutkiem w oczach i czekał, aż skończy. Kiedy szedł do szkoły lub wracał do domu, wolno podążał za nim. Kiedy Numada mówił do niego: „Nie lubię się uczyć. Chciałbym, żeby zamknęli szkoły”, Kuro patrzył mu w twarz takim wzrokiem, jakby wpatrywał się w coś, hen, w oddali.

Jesienią, kiedy chodził do trzeciej klasy szkoły podstawowej pogorszyły się stosunki między rodzicami Numady, którzy zaczęli nawet mówić o rozwodzie. Było to zaskakujące wydarzenie, z którym nie mógł się pogodzić. Nigdy dotąd nie myślał, że ojciec i matka mogą mieszkać w odrębnych światach. Ojciec wracał późną nocą pijany i długo kłócił się z matką w salonie. Od czasu do czasu

dochodził stamtąd krzyk ojca i płacz matki. Nie chcąc tego słyszeć, Numada chował głowę pod kołdrę, a niekiedy zatykał uszy palcami i starał się usnąć.

W tym okresie niechętnie wracał ze szkoły do domu. Po zachodzie słońca, gdy w pokoju robiło się chłodniej, zawsze dotąd pogodna matka teraz siedziała samotnie, i w zamyśleniu patrzyła w okno. Nie chciał oglądać takiej matki i starał się, by nie tak znów daleka droga do domu trwała jak najdłużej; szedł wolno, przyglądał się odwłokom jesiennych cykad, wiszących w pajęczynie; bazgrał kredą po czerwonym ceglany murze. Starał się opóźnić powrót do domu choćby o godzinę. Na skrzyżowaniach ulic przysłuchiwał się chińskim sprzedawcom pieczonych kasztanów, przyglądał się wozom zaprzężonym w muły, czekającym na klientów na poboczu drogi. Muły opędzały się od much machając ogonami. Gdy Numada zatrzymywał się tam, Kuro też stawał, drapał się łapą po głowie, obwąchiwał pobliski mur i czekał na swego pana.

– Nie chce mi się wracać. – Numada mógł rozmawiać tylko z psem. Nie chciał nikomu wyjawiać prawdy o sytuacji w domu, ani nauczycielom w szkole, ani kolegom, więc pozostał mu tylko Kuro.

– Mam już dość. Nie lubię nocy. Nie chcę już słuchać kłótni ojca i matki.

Kuro uważnie wpatrywał się w twarz Numady i jakby trochę niespokojny, lekko i niepewnie poruszał ogonem.

Nic na to nie można poradzić. Takie jest życie – zdawał się odpowiadać. Kiedy już dorósł i wracał myślami do tamtych spraw, dochodził do wniosku, że pies z nim naprawdę rozmawiał.

– Tata mówi, że wyjedzie i zamieszka gdzie indziej. Co ja mam zrobić?

Nic na to nie można poradzić.

– Jeśli zamieszkać z ojcem, sprawię przykrość mamie, jeśli rozstanę się z ojcem, nie będę w porządku wobec ojca.

Nic na to nie można poradzić. Takie jest życie.

Wydawało mu się wówczas, że Kuro rozumie jego smutki. Był jedyną żywą istotą, która wysłuchiwała jego żalów, jedynym towarzyszem w niedoli.

Minęła jesień, potem zima, a w maju przyszła do Dalian spóźniona wiosna. Matka zdecydowała się wrócić z synem do Japonii. Między liśćmi akacji w alejach zwisały już białe pąki niby dziewczęce kolczyki. Na ulicy czekał wóz, który miał ich zabrać do portu. Ojciec milczał, siedząc w pokoju w głębi mieszkania i nawet nie wyszedł się pożegnać. Tylko Kuro kręcił się obok muła opędzającego się od bąków. Gdy wóz ruszył, Numada obejrzał się i zobaczył biegnącego za nim psa. Starał się nie płakać, ale oczy mu zwilgotniały, odwrócił więc głowę, aby matka tego nie spostrzegła. Skręcili za róg, a pies nie przestawał biec. Jakby zrozumiał, że rozstaje się z Numadą na zawsze. W końcu Kuro się zmęczył, stanął i patrzył z rezygnacją na Numadę, a jego sylwetka coraz bardziej malała w oddali. To właśnie dzięki Li i temu psu Numada po raz pierwszy poznał smak rozstania.

Gdybym nie miał wtedy psa Kuro – myślał później Numada. – Na pewno nie zacząłbym pisać książek dla dzieci. To był pierwszy jego pies, który nauczył go, jak człowiek może rozmawiać ze zwierzęciem. Ale nie tylko rozmawiać – nauczył go też, że zwierzę jest towarzyszem, który rozumie jego smutki. Numada, zdając sobie sprawę z tego, że w obecnych czasach jedynym sposobem na osiągnięcie tego zrozumienia są Märchen, jeszcze na studiach postanowił poświęcić się pisaniu opowiadań dla dzieci. Pisał więc o psach, kozach i konikach i znajdował w tym wielką przyjemność. Pisał też o ptakach, które rozumiały dziecięce smutki – bo przecież różne smutki życia ludzkiego zaczynają się już w dzieciństwie.

Kiedy już został pisarzem dla dzieci, Numada zaczął hodować dziwnego ptaka o nazwie dzioborożec. Szczerze mówiąc, miał go nie z własnej woli, bo ptaka wmusił mu pewien starzec, który pracował w domu towarowym w sąsiednim miasteczku, gdzie sprzedawał rybki słodkowodne i ptactwo śpiewające.

To był dziwny starzec o ptasiej twarzy. Gdy się dowiedział, że Numada pisze opowiadania dla dzieci, zapalał do niego sympatią, natychmiast przygotował mu akwarium z gupikami, po czym nawet odwiedził go w domu i z zapalem opowiadał, jak należy zajmować się ptaszkami.

Pewnego dnia starzec zjawił się w domu Numady z młodzieńcem w roboczym ubraniu, który niósł paczkę owiniętą w dużą chustkę furoshiki.

– Mój przyjaciel ma sklep z rybami i ptakami w Shibuya. Trafił mu się okaz dzioborożca – wyjaśnił. – Powiedziałem mu, że mistrz Numada chciałby mieć takiego ptaka.

Numada nie mógł pojąć, dlaczego starzec wybrał właśnie jego na właściciela dzioborożca, ale ten, nie pytając o zgodę, rozwiązał furoshiki.

Wewnątrz drucianej klatki, siedział na żerdzi czarny ptaszek, mierzący zaledwie około pięciu, może sześciu centymetrów, ale o wielkim dziobie, na którym sterczał czerwony róg jak u nosorożca; przypominał pierrota o dużym nosie.

– Schwymano go w Afryce – starzec zachęcił przyjaciela do objaśnień. – To prawda, co nie?

– Tak, ten ptak żyje w tropikach.

– Może go pan opisać w swoich książkach. Bo ma taki dziwny dziób.

Dlaczego starzec pomyślał, że ten dziwny ptak będzie się nadawał na bohatera opowiadań Numady? W jego zbiorach

opowiadań pojawiały się tylko takie zwierzęta jak psy, koty czy świnki.

– W końcu, co panu szkodzi? Zostawię go tutaj na tydzień, niech pan spróbuje się nim trochę zająć.

Nie przejmując się, że Numada się wahał, starzec i jego towarzyszy zniknęli, zostawiając klatkę w jego gabinecie.

Kiedy wyszli, w pokoju zaległa cisza. W tej wielkiej ciszy ptak o dziobie podobnym do nosa pierrota, siedząc na żerdzi, wpatrywał się w jeden punkt przed siebie. Wyglądał tak komicznie, że wydawał się aż żaloszny.

– Skąd ty pochodzisz? – zapytał Numada. – Czy naprawdę z Afryki?

Numada nigdy nie był w Afryce, w tym niedostępnym mu świecie znacznie bardziej odległym niż Ameryka. Czy ten pierrot, urodzony w dżungli afrykańskiej, kiedykolwiek podejrzewał, że zostanie przywieziony do nie znanej sobie Japonii? Ptaki – jak ludzie – też mają swój los.

Żona Numady nie była uszczęśliwiona faktem, że jej mąż zaczął hodować tak kłopotliwego ptaka, ale dzieci się cieszyły. Nazwały dzioborożca Pierrotem, a właściwie Pierrocikiem, i codziennie zaglądały do klatki. Ale po niespełna dwu tygodniach chyba się nim znudziły, bo przestały nawet podchodzić do klatki. Dzioborożec ani nie śpiewał pięknie jak słowik, ani nie ruszał się szczególnie żywo po klatce. Za to wydzielał dość przykrą woń.

– Pierrot – zwracał się do niego Numada. – Nie jesteś tutaj mile widziany. Może byś jednak wrócił do sklepu zoologicznego.

Ale Pierrot w ogóle nie reagował, nadal wpatrywał się gdzieś w przestrzeń i wyglądał jak martwy, wypchany ptak: wykonywał tylko nikłe ruchy głowy, zmieniając kierunek patrzenia.

Pewnego dnia Numada otworzył klatkę i wypuścił Pierrota. Chciał dać trochę wolności temu ptakowi, który przybył z odległej afrykańskiej dżungli. Pierrot jakby się zawahał, po chwili zrobił parę niepewnych kroków i zamarł przy szybie. Nieruchomy patrzył za okno.

Numada przystąpił do pracy. Dzioborożec, nie wydając żadnego głosu, wciąż patrzył na świat za oknem. Nadszedł zmierzch, za oknem zgasły ostatnie promienie słońca. Słychać było tylko chrobotanie pióra Numady.

I wtedy się stało. Rozległ się głos niewypowiedzianie ponury, przepełniony smutkiem i bólem, i zaraz ucichł, jak płomień świeczki, co zapłonął i zgasł. Dzioborożec po raz pierwszy zaśpiewał. Numadzie zdało się, że Pierrot włożył w ten śpiew wszystkie swoje siły i uczucia, aby zawołać: „Jestem samotny!”. Wtedy po raz pierwszy poczuł jakąś solidarność z tym komicznym ptakiem.

Tego dnia powstała nowa więź między Numadą a Pierrotem. W ciągu dnia, kiedy znużył się pracą, kroił jabłko na plasterki i rzucał je w stronę okna, gdzie siedział Pierrot. Ptak wyciągał szyję i bardzo zwinnie chwycił plasterki wielkim dziobem. Ta zabawa niosła Numadzie pociechę w pisaniu i przypominała też rodzaj gry między bliskimi sobie braćmi, starszym i młodszym.

Nocą, kiedy dom pogrążał się we śnie, a Numada siedział przy biurku, Pierrot nagle rozpościerał skrzydła i nie zważając na dobre obyczaje, wzlatywał na półkę z książkami i z góry przyglądał się pracującemu Numadzie.

- Co ty tu robisz? – pytał Pierrot.
- Piszę książki dla dzieci.
- Jakie książki?

– Opisuję sny i marzenia własnego dzieciństwa. Piszę o dzieciach, które rozmawiają z psami i ptakami takimi jak ty. Pies nazywa się Kuro, czyli Czarny, a jego panem jest chłopiec.

– Nuda! To marzenie dla zaspokojenia własnej przyjemności. Spójrz na mnie. Przywieziono mnie do tego obcego kraju z odległych lasów, gdzie mieszkają moi przyjaciele, żebym był twoją zabawką.

– Możliwe. Ale nie masz pojęcia, jak wielkim pocieszeniem w dzieciństwie były dla mnie psy i ptaki. Nawet dziś... teraz, kiedy mam cię tutaj przy sobie, bardzo mi to pomaga.

Numada nie wiedział, jak wyjaśnić swe pragnienie więzi z każdą żywą istotą. W końcu dojrzało to ziarno, którym była w dzieciństwie obecność przy nim psa Kuro, co pozwoliło stworzyć Numadzie świat idealny i opisać go w bajkach. W tych bajkach chłopiec rozumiał mowę kwiatów i drzew i rozumiał znaczenie sygnałów, które wymieniały między sobą pszczoły lub mrówki. Pies czy dzioborożec dzieli z nim samotność, której nie może w sobie zagłuszyć nawet jako dorosły.

Ale Pierrot nie przejmował się sentymentalnością Numady, rozkładał skrzydła i odlatywał w inny kąt pokoju. Kiedy Numada patrzył w tamtą stronę, Pierrot już spał z jedną nóżką uniesioną w górę i nastroszonymi piórkami na głowie.

– Nie mogę już znieść brudu w tym pokoju. On robi kupki na podłogę. – Żona Numady często skarżyła się i złościła, że jej mąż pozwala dzioborożcowi latać po pokoju. Kłótnie małżeńskie wybuchały tylko z powodu tego ptaka. Żona narzekała, że w pokoju Numady, mimo częstego wietrzenia, stale zalega szczególna woń ptaka, a czarny dywan poplamiony jest białymi kupkami Pierrota. Niewątpliwie, ptak o dziwnym dziobie był bardzo kłopotliwym i przykrym stworzeniem dla żony, która dbała o dom, podobnie jak Jezus dla żydowskich kapłanów.

Z pewnością porównywanie takiego ptaka z Jezusem jest dość osobliwe, ale Numada miał ku temu swoje powody. Lubił obrazy Rouaulta, a wśród wielu klaunów, namalowanych przez tego malarza, jeden miał twarz podobną do tego dzioborożca. Wiedział, że dla Rouaulta klauni byli symbolem Chrystusa. Żona nie mogła wiedzieć o duchowej więzi, która rodzi się późną nocą między Numadą i ptakiem wpatrzonym weń i śledzącym każdy jego ruch podczas pracy. Po latach małżeńskiego życia Numada zrozumiał, że w każdej przyjaźni pozostaje poczucie samotności, niemożliwe do przezwyciężenia. Lecz w ciszy nocy samotność jego i samotność ptaka spotykały się i współgrały ze sobą.

Minęły dwa miesiące, a sprzedawca, który mu przyniósł dzioborożca, nie pojawił się. Możliwe, że on i jego przyjaciel sprowadzili ptaka, a potem w żaden sposób nie mogli go sprzedać. Serce Numady tym bardziej garnęło się do dzioborożca.

Numada często miewał po południu stan podgorączkowy i odczuwał nieopisane znużenie. Poszedł więc do lekarza, który go zbadał i powiedział, że słyszy szmery w klatce piersiowej. Zaprowadził go na prześwietlenie, a następnie oględnie zapytał, czy nie chorował kiedyś na gruźlicę. Prześwietlenie potwierdziło podejrzenia – na zdjęciu widniały czarne plamy. Dzięki znajomościom z wydawnictwa Numada poddał się badaniom w szpitalu uniwersyteckim, gdzie zalecono mu roczne leczenie szpitalne.

Numada i jego żona byli wstrząśnięci tym niespodziewanym wydarzeniem, które spadło na nich jak grom z jasnego nieba. Rzeczywiście, w młodości chorował na gruźlicę. Zastosowano jedyne możliwe wówczas leczenie, a mianowicie odmě i w zasadzie – jak sądził – został wyleczony, ale nie wiadomo kiedy nastąpił nawrót.

Żona, szykując go do szpitala, z powagą w głosie zapytała:

– Ale... co zrobić z ptakiem, gdy będziesz w szpitalu? Ja nie potrafię się nim zająć. Oddaj go do sklepu.

– Tak zrobimy – zgodził się Numada, przyznając jej rację. Poszedł do gabinetu i wypuścił ptaka z klatki. Pierrot, jak zwykle podszedł do okna i zaczął wpatrywać się w szczyty gór Tanzawa, skąpane w wieczornym słońcu barwy wina.

– Do widzenia – Numada włożył ręce do kieszeni i patrzył na ptaka. Nagle przypomniał sobie ten dzień, kiedy będąc dzieckiem żegnał psa Kuro. Rozdzieliły ich sprawy, na które nie miał wpływu. I znów nieprzewidziana sytuacja, jaką jest choroba, zmusza go do rozstania, tym razem z Pierrotem, który był mu pociechą nocami.

Skończyło się na tym, że Numada przeleżał w szpitalu nie rok, lecz dwa lata. W tym czasie wynaleziono nowe antybiotyki, które dały pewien efekt; poddany też został dwóm operacjom, które jednak nie powiodły się, ponieważ w wyniku zrobionej przed laty odmy opłucna była zrośnięta. Zachorował na zapalenie płuc i wysięk opłucnej. Lekarz prowadzący, który go codziennie badał, i profesorowie ze szpitala uniwersyteckiego, którzy co tydzień przychodzili tu z praktykantami, nic mu nie mówili, ale z wyrazu ich twarzy Numada wnioskował, że są bezradni.

Numada nie mógł pogodzić się z myślą, że dziesięć czy piętnaście lat życia, jakie mu zostało, ma spędzić beczynn timer. Wiedział, podobnie jak inni chorzy na tym pięttrze, o pacjencie z wysiękiem naczyniowym, który po nieudanej operacji stał się po prostu żywym trupem.

– Proszę się nie zastanawiać, tylko operować – prosił Numada lekarza prowadzącego, ale ten odpowiedział mętnie: – Tak, myślimy o tym. – Lekarze obawiali się, że po dwóch operacjach zrywając zrośniętą opłucną, mogą wywołać krwotok.

W tym okresie Numada często wchodził samotnie na dach szpitala i patrzył na zorzę wieczorną. Doszedł do wniosku, że zachowuje się jak dzioborożec. Kiedy go wypuścił przez okno

gabinetu, ptak wpatrywał się w czerwieniejącą zorzę wieczorną nad grzbietem Tanzawy lub Oyama. Teraz Numada zrozumiał, aż do bólu, co czuł wtedy ptak.

I zastanawiał się, jak sobie radzi. Chciałby go mieć przy sobie nocami w szpitalnej sali. Był już zmęczony udawaniem, w obecności lekarzy, pielęgniarek lub żony, że się dobrze czuje, pragnął, by towarzyszył mu nie człowiek, lecz jak dawniej ten nędzny komiczny Pierrot, który przypominał postacie z obrazów Rouaulta.

Nie mógł się jednak zdobyć, by powiedzieć o tym żonie. Nie chciał jej obciążać dodatkowo, bo przecież i tak miała ciężkie życie, troszcząc się o chorego męża, zajmując się domem i wychowaniem dzieci.

Lecz pewnego dnia, czytając gazetę, pokazał jej zdjęcie przelotnego ptaka i mimochodem szepnął:

– Ciekawe, gdzie jest teraz dzioborożec?

Żona milczała, ale po trzech czy czterech dniach zjawiała się w szpitalu, niosąc dużą paczkę zawiniętą w furoshiki.

– Patrz, to dla ciebie – powiedziała z udawanym entuzjazmem do męża, który przyglądał się paczce ze zdziwieniem.

– Zobacz, proszę.

Rozwiązał chustę i ujrzał drewnianą klatkę, w której nerwowo trzepotał skrzydełkami szpak azjatycki, tak czarny, jakby go kto pomalował czarną laką.

– Kochana... – Numada był wzruszony czułością żony.

– Już nie ma dzioborożca, musi ci wystarczyć ten szpak.

– Nie mówiłem, żebyś coś takiego robiła.

– Nie szkodzi, chciałeś mieć ptaka, prawda? Tyle to nawet ja wiem.

Numada czuł się winny wobec żony. Od lat chłopięcych tajemnicami serca dzielił się z psem lub ptakami, ale nie z ludźmi. Tym razem, przejęta nieudaną, poważną operacją, żona sama odgadła kryjące się w jego sercu pragnienie wyznania ptakowi, w jak podłym jest nastroju.

Ale czuł, że tak będzie najlepiej. Po co opowiadać żonie o nieznośnych cierpieniach? – przyczyniłby jej tylko nowych zmartwień, przysporzył zupełnie niepotrzebnie nowych trosk i kłopotów. Ale gdyby miał przy sobie ptaka, ten wysłuchałby wszystkiego w milczeniu.

– Czy teraz czujesz się trochę lepiej? – zapytała zadowolona z siebie, – Już dawno nie miałaś tak radosnej twarzy.

Rozległ się głos kuranta ogłaszającego, że skończył się czas wizyt. Żona wzięła torebkę i wychodząc z sali, mrugnęła porozumiewawczo, jakby chciała mu dodać otuchy.

Szpak w klatce skakał z jednej żerdzi na drugą bez wytchnienia, ale ani razu nie zaśpiewał. Chyba sprzedawca nie nauczył go jeszcze mówić, nawet „dzień dobry” czy „dobry wieczór”.

Lecz po kolacji, gdy zbliżała się pora snu, z ptasiej klatki dobiegł dziwny głos podobny do „ha-ha”.

– Ha-ha! – Nie był to jednak naturalny ptasi śpiew. Numada po zastanowieniu doszedł do wniosku, że był to śmiech. Przypuszczałnie ptak przebywał razem z innym szpakiem mówiącym ludzkim głosem, ale zapamiętał tylko śmiech widzów.

W środku nocy Numada przebudził się i lekko uchylił chustkę okrywającą klatkę – szpak stał na żerdzi, mocno trzymając się obu nóżkami, i uważnie wpatrywał się w Numadę. Jego oczy przypominały oczy dzioboroźca, kiedy przyglądał się piszącemu Numadzie.

– Lekarze obawiają się, że przy kolejnej operacji, dostanę krwotoku. Ale ja nie chcę spędzić reszty życia w łóżku. Chcę się poddać tej operacji, nieważne za jaką cenę. Czy rozumiesz, co czuję?

Szpak przechylił głowę i skoczył na drugi drążek. Następnie odezwał się, naśladując ludzki śmiech: „ha-ha-ha-ha”.

Odtąd każdej nocy wyjawiał szpakowi swoje cierpienia i żale. Podobnie jak niegdyś uskarżał się na swą samotność psu Kuro.

– Nie chcę przysparzać dodatkowych zmartwień żonie... Tylko tobie mogę to wszystko wyjawić. Boję się śmierci. Chcę żyć i pisać jeszcze lepsze opowiadania dla dzieci.

– Martwię się tym, jak sobie poradzą żona i dzieci, kiedy umrę... Co mam robić?

Poczuł się zawstydzony tym pytaniem, gdyż zabrzmiało to zbyt teatralnie. Ale naprawdę tak właśnie czuł, ani trochę nie kłamał.

– Ha-ha-ha-ha – roześmiał się szpak. Tym śmiechem jakby drwił z jego słabości, to znów – dodawał mu otuchy. Numada zgasił światło i myślał o tym, że w całym swoim życiu prawdziwie rozmawiał tylko z psem i ptakami. Nic nie wiedział o Bogu, ale jeśli Bogiem jest ktoś, z kim człowiek może naprawdę szczerze rozmawiać, to dla niego Bogiem był pies Kuro, to znów dzioborożec czy szpak.

Trzecia operacja, bardzo ryzykowna, została przeprowadzona w grudniu. Tego ranka, kiedy para w grzejniku w pokoju chorego szumiała głośniejsz niż zwykle, Numadzie wstrzyknięto znieczulenie i pielęgniarka powiozła go przez długi korytarz. *Kiedy mnie będą wieść z powrotem* – zastanawiał się Numada patrząc na lampy bezcieniowe na suficie – *czy będę jeszcze żywy?*

Po trwającej cztery i pół godziny operacji przewieziono go do pokoju, a gdy następnego dnia rano obudził się z narkozy, w nosie miał rurki, a w ręce igłę kroplówki. Od czasu do czasu przychodziła

pielęgniarka, by zmierzyć ciśnienie jeszcze półprzytomnemu Numadzie lub zrobić zastrzyk z morfiny. Wszystko odbywało się tak samo jak przy poprzednich dwu operacjach.

Po kilku dniach, gdy już na dobre odzyskał przytomność, zapytał żonę, która siedziała obok niego: – Co ze szpakiem?

– Ale żona milczała przez dłuższy czas.

– Byłam tak bardzo tobą zajęta, że zapomniałam o nim, a gdy sobie przypomniałam i poszłam do niego, już nie żył – powiedziała.

Nie było sensu winić za to żony. Nie mogła przecież zajmować się szpakiem zostawionym w klatce na dachu, w czasie, kiedy całkowicie i bez reszty troszczyła się o męża, który był na granicy między życiem a śmiercią.

– Wybacz.

Numada skinął głową, ale chciał przynajmniej zobaczyć klatkę.

– A klatka? – zapytał jakby mimochodem, by nie zranić żony.

– Pielęgniarka może się rozgniewać, jeśli będzie tam stała cały czas.

– Wyrzucę ją dziś wieczorem.

– Nie, szkoda wyrzucać. Ta klatka mi się spodobała. Gdy wyzdrowieję, będę może hodować wróbla albo jakiegoś innego ptaka.

Nie mógł dłużej rozmawiać, bo zaczął się dusić i bolała go rana w miejscu rozcięcia klatki piersiowej. Zamilkł.

Wieczorem żona wyszła na dach i przyniosła klatkę do pokoju chorego.

– Jest brudna. W coś ją zawinę.

– Nie, zostaw tak, jak jest.

Żona poszła do dyżurki pielęgniarek. Gdy Numada został sam, mógł przyjrzeć się klatce uważnie. Na drążkach i na dnie klatki przyschło brązowawe i białawe ptasie łajno, do którego przykleiły się dwa czarne piórka. Patrząc nocą na te pióra, z bólem myślał, że szpak, który wysłuchiwał jego skarg i utyskiwań, już nie żyje. Nagle Numada przypomniał sobie, jak pewnej nocy zawołał do ptaka: „Co mam robić?”.

Zastanawiam się, czy on umarł zamiast mnie?

Uczucie bliskie pewności zawrzało w jego piersi rozciętej podczas operacji. Uświadomił sobie, jak bardzo wspierały go w życiu psy, ptaki i inne zwierzęta.

Rekonwalescencja po operacji, której wynik tak bardzo niepokoił lekarzy, postępowała tak szybko, że graniczyło to z cudem. A gdy pozytywnie przeszedł badania na wysięk z oskrzeli – o co najbardziej się martwiono – lekarz prowadzący uścisnął rękę Numady i powiedział:

– Jest pan szczęściarzem. Uspokoilem się. I teraz mogę to panu powiedzieć.

– Wiedziałem – skinał głową Numada. – Miałem w tej grze pięćdziesiąt procent szansy na wygraną. Wysoki stopień ryzyka. Lekarze nie wiedzieli, co robić, prawda?

– Prawdę mówiąc... Kiedy pan był na stole operacyjnym, serce przestało bić na chwilę.

W tym momencie Numada ujrzał pod powiekami szpaka, który się śmieje i dzioborożca na półce z książkami, jak mu się przygląda pokpiwającym wzrokiem.

Rozdział 5

Przypadek Kiguchiego

Kiguchi podziwiał siedzącego obok niego przewodnika Enamię, który potrafił zasnąć, ledwie samolot wystartował z Narity, a poza tym zjadł z apetytem wszystko, co mu przyniesiono. Enami odłożył widelec i spojrzał na Kiguchiego.

– O, nie je pan mięsa?

– Może to z powodu mojego wieku. Mam protezę i nie mogę pogryźć mięsa. Dlatego polubiłem ryby.

Kiguchi odwrócił wzrok od talerza i spojrzał w okno. Oczywiście, stąd nie mógł zobaczyć, czy ziemię w dole pokrywa dziewiczy las.

– Czy na dole jest dżungla?

– Nie wiem. – Enami spojrzał na zegarek. – Sądząc po czasie możemy się teraz znajdować nad Tajlandią, a tu może być dżungla. Czy pan interesuje się dżunglą?

– W czasie wojny walczyłem w dżungli w Birmie.

– Naprawdę? Obawiam się, że moje pokolenie niewiele wie na ten temat, ale podobno ta wojna była okropna.

„Okropna”. Słyszac to słowo Kiguchi uśmiechnął się gorzko. Tamten odwrót, głód, codzienne ulewy, rozpacz i wyczerpanie – tego chyba pokolenie Enamię nie jest w stanie zrozumieć. Kiguchi nie

miał ochoty o tym mówić. Zapytany mógł się tylko gorzko uśmiechnąć, to wszystko.

Morze drzew młóconych przez ulewę. Ich odwrót przez gęstwą tych drzew. Malaria. Głód. Rozpacz.

Szliśmy ku śmierci, szliśmy jak lunatycy we śnie.

Słyszał, że w Indiach też jest pora deszczowa, ale nie wiedział, jak ona wygląda. Porę deszczową przeżył w Birmie leżącej na wschód od Indii – doświadczył jej do szpiku kości jako żołnierz japoński.

Jego oddział uciekający przed wojskiem brytyjskim i indyjskim z gór Popa w stronę Sinzwe w Birmie trafił akurat na porę deszczową.

Nagle – tylko tym słowem można to wyrazić – pewnego majowego poranka spadła gwałtownie temperatura. W powietrzu poczuliśmy wilgoć. Jeszcze wczoraj pogodne niebo pokryło się ołowianymi chmurami. Był to początek pory deszczowej. Odtąd codziennie pojawiała się mglista mżawka, która przeradzała się stopniowo w ulewę.

Ulewne deszcze w Birmie całkowicie różniły się od pory deszczowej w Japonii. Pod granatowoczną pokrywą dżungli rozlegało się echo potężnego dudnienia, a po chwili zaczynała się ulewa jak z wodospadu.

Jednostka, do której należał Kiguchi i Tsukada, szła od wschodniej strony gór Pegu na zachód. Nie, właściwie nie szła, lecz toczyła bój na śmierć i życie, bezsilnie powłócząc nogami.

Prawie wszyscy żołnierze w jednostce cierpieli z powodu niedożywienia. Połowa chorowała na malarię. Ich lekarz Ōhashi ostrzegał, żeby nie pili wody, ponieważ na równinie Bokan panuje epidemia cholery, wielu żołnierzy rozchorowało się nie wiadomo czy na czerwonkę czy na cholere, w każdym razie w ich kale była krew.

Minęły już trzy dni, odkąd nie mieli w ustach niczego, co przypominałoby jedzenie, tylko od czasu do czasu mogli pożywić się owocami mango, gdy trafili na gaj w pobliżu wioski. Twarde zielone mango obierali ze skórki, biały miąższ kroili na plasterki, posypywali solą i jedli; smakiem przypominały japońskie marynaty, które w kraju jadali codziennie. „Trzeba uważać, bo mogą zawierać kwas pruski” – ostrzegął doktor Ōhashi żołnierzy, którzy wymachując rękami i poruszając ustami przypominali głodne demony gaki. Mimo to bez gryzienia połykali kawałki surowych owoców.

W rezultacie u wielu żołnierzy pojawiły się bóle brzucha. Najpierw jeden odłączył się od idącego oddziału, potem drugi – i tak znikali pośród gęstych zarośli, gdzie zmagali się z biegunką. Oddawali stolec czarny i strasznie cuchnący. Niektórzy z nich padali tam, gdzie poszli się wypróżnić, bo już nie mieli sił się podnieść. Kiedy starszy żołnierz na nich krzyczał, skarżyli się żałośnie: „Nie możemy iść. Pozwólcie nam tu umrzeć”. Błagalne głosy rozlegały się z różnych miejsc pośród gęstwy.

Czasami deszcz ustawał i na krótko się przejaśniało. A wtedy nagle rozlegał się śpiew ptaków. Ich promiennym i radosnym świergotom wtórował zewsząd jęk ludzki.

Kolumny japońskich wojsk przypominały raczej oddziały duchów, które wychodzą na nocny obchód, niż przemarsz wycofujących się oddziałów bojowych. Żołnierze nie reagowali nawet wtedy, gdy w drodze spotykali oficera, który opierając się na kijku zrobionym z sosnowej gałęzi, ze wszystkich sił starał się dotrzymać kroku swojemu oddziałowi. Mijali go obojętnie, z pustką w oczach, jakby go w ogóle nie widzieli. Wielu żołnierzy porzucało karabiny i miecze, które należało traktować jak skarby powierzone im przez Cesarza, cenniejsze niż życie; przy pasie pozostawiali tylko menażki i ręczne granaty. Menażki służyły im do siorbania polewki zwanej „zupą świetlika”, przyrządzaną z ziela rosnącego w dżungli i paru ziaren ryżu, pływających na wierzchu. Granaty były dla nich

ostatecznym środkiem odbierania sobie życia, kiedy już całkiem wyczerpani nie będą zdolni iść dalej. I rzeczywiście, w lesie, to tu, to tam coraz to rozlegał się huk wybuchających granatów. Był to odgłos samobójstwa. Ale twarze tych żołnierzy w łachmanach, idących jak lunatycy, w ogóle nie reagowały na odgłos wybuchów.

Kiedy Kiguchi został repatriowany do Japonii, nigdy więcej nie chciał wracać wspomnieniami do tego piekła. I nie chciał nikomu o tym opowiadać. A zresztą nawet gdyby próbował, czy kobiety i dzieci, które mieszkały wtedy w Japonii, mogłyby coś z tego zrozumieć. Nie tylko kobiety czy dzieci, ale nawet mężczyźni wzięci do armii, którzy doczekali końca wojny w bezpiecznym rejonie. Zrozumieć mogli tylko ci, którzy poznali to na własnej skórze: towarzysze walki, którzy przeszli przez leśne morze i zostawili za sobą „drogę śmierci”, jak nazywali przebyty wtedy szlak. Towarzystem, który przeszedł z Kiguchim to piekło, był Tsukada. Włokąc się noga za nogą, w bezgranicznym zmęczeniu, przebywali w takim stanie świadomości, kiedy zatraca się różnica między jawą i snem.

Kiguchi widział siebie samego – dokładną replikę siebie idącego obok.

– Idź, musisz iść! – krzyczał sobowtór, kiedy Kiguchi padał. – Idź! Musisz iść!

Nawet po powrocie do domu ocalały Kiguchi nie mógł uwierzyć, że to wszystko nie było złudzeniem. Był przekonany, że ten drugi Kiguchi rzeczywiście siedł obok niego i krzyczał.

Kiedy weszli na drogę śmierci, Kiguchi i Tsukada ujrzeli widok przejmujący trwogą. Po obu stronach drogi leżały ciała japońskich żołnierzy, często jedno na drugim. Wokół nosów i ust trupów, a także jeszcze oddychających żołnierzy, roiło się robactwo, a z prawa rozlegały się głosy błagające o śmierć: „Dobijcie mnie! Dobijcie!”. Rozlegały się również z lewa, jakby żołnierze chórem, cicho wołali: „Dobijcie!”. Ale nikt nie ruszył w ich stronę z pomocą. Gdy ustał

deszcz i ptaki zaczęły radośnie pośpiewywać, jedyne co Kiguchi mógł zrobić, to odwrócić wzrok od jęczących i prosić o wybaczenie.

– Wybaczcie, wybaczcie.

W tym momencie jeden z żołnierzy, któremu sterczały żebra przez skórę, nagle usiadł i zawył, jakby to miał być jego ostatni krzyk rozpaczny:

– Ty głupi Mutaguchi! – krzyczał.

Mutaguchi był dowódcą wojsk japońskich w Birmie, a więc człowiekiem, który rozkazał wszystkim dywizjom uczestniczyć w tej nie przemyślanej operacji. To on wydał rozkaz oficerom, oświadczając: „Ta bitwa jest najwyższym obowiązkiem naszych żołnierzy. Każdy z was z niezłomną wiarą w zwycięstwo i bezgranicznym poświęceniem musi atakować wroga nawet wówczas, kiedy tylko jeden zostanie przy życiu”.

W końcu dobrnęli do zbocza doliny, gdzie stało kilka domów, z których uciekli wszyscy mieszkańcy. Zdesperowani żołnierze przeszukali dom po domu, ale nie znaleźli nic do jedzenia. Splądrowały je już oddziały, które wcześniej tędy przeszły.

W pobliskim szałasie znaleźli żołnierza pozostawionego przez jeden z tych oddziałów, który czekał na śmierć, ledwie oddychając. Koc, którym był okryty, wskazywał, że cierpiał on na zimnicę malaryczną. Leżał oparty o ścianę i trzęsąc się, patrzył przez chwilę na Kiguchiego i Tsukadę, po czym zamknął oczy. Nie miał już siły cokolwiek powiedzieć.

– Zostawili cię? – zapytał Kiguchi, podchodząc do niego.

Lekko skinął głową. Ale był już gotów na wszystko, nawet na śmierć, więc nie prosił o pomoc. Na pewno dzisiejszej nocy, a najpóźniej do jutra rana, wyczerpią się jego siły i wyda ostatnie tchnienie.

W końcu... ze mną też się tak stanie.

Zamiast litować się nad tym żołnierzem Kiguchi pomyślał o sobie: przecież wkrótce będzie tak samo wyglądać. To uczucie odbierało mu resztki sił.

– Trzymaj się! Pomoc na pewno nadejdzie – zapewnił go Tsukada dla uspokojenia swojego sumienia i uciekł wraz z Kiguchim z szalasu, nie czekając na odpowiedź umierającego.

Już następnego dnia nadeszło to, czego się Kiguchi obawiał, patrząc na umierającego w szalasiu żołnierza. Po południu Kiguchi poczuł, jak plecy zlewa mu lodowaty pot, a wszystkie stawy odmawiają posłuszeństwa, i już nie mógł dotrzymać kroku idącej w szeregu kompanii.

– Tsukada – słabnącym głosem zwrócił się do towarzysza broni, który zbliżył się do niego: już nie myślał o wstydzie.

– Złapała mnie malaria. Nie mogę już iść. Ty idź dalej.

Tsukada coś powiedział, ale Kiguchi nie zrozumiał. Padając na ziemię w resztkach zmałowanej świadomości wyszeptał:

– Ja i tak chyba umrę.

Jakiś czas później poczuł na twarzy spadające z liści krople deszczu. Otworzył oczy i ujrzał zapadnięte policzki Tsukady, jego cienką szyję z wystającym jabłkiem Adama.

– Zostałeś przy mnie? – zapytał ze łzami w oczach. Byli kolegami od czasu, gdy w Akyabie przed rokiem została utworzona kompania karabinów maszynowych.

– Aha.

– A nasza kompania?

– Poszła dalej. Dowódca kompanii rozkazał nam, jak najszybciej zejść nad rzekę Kun.

– Ja... ja nie dam rady.

– Zjedz to. – W menażce było trochę „zupy świetlików” z ziela i garści ryżu.

– Skąd ten ryż?

– Miał żołnierz, który padł po drodze – odpowiedział Tsukada. – To ostatki.

– Nie dasz właścicielowi?

– Nie sędzę, żeby miał siły do jedzenia. Nie myśl o tym. Zjedz to, co znalazłem i śpij.

Kiguchi skinał głową i zamknął zażawione i zaklejone śluzem oczy. W czasie odwrotu żołnierze cierpieli głód i choroby, byli wyczerpani, trudno się więc dziwić, kiedy przyjaciel pozostawia przyjaciela, który nie miał już sił iść dalej. Jeśli z nim zostawał, nie miał żadnej nadziei na własne przeżycie. Ale Tsukada nie porzucił kolegi.

Do zamglonej świadomości Kiguchiego docierał warkot brytyjskich samolotów rozpoznawczych i potężny huk wystrzałów japońskich dział 92-milimetrowych. Miał wrażenie, że gdzieś w oddali walka toczy się nadal, ale może to było tylko złudzenie.

Gdy rankiem w dżungli zaczęły śpiewać rozbudzone ptaki, Kiguchi też się przebudził drżący na całym ciele z gorączki. Tsukady nie było przy nim.

A jednak opuścił mnie.

Gdy później sobie o tym przypomniał, wydało mu się dziwne, ale umysł miał wtedy zaskakująco spokojny, nie czuł nawet żalu czy gniewu, co w takich warunkach było oczywiste. Podobnie jak ranny ptak czy zwykły robak zdycha w tej dżungli w milczeniu, tak i on wyda tu ostatnie tchnienie, zgnije i powróci do wielkiej ziemi. Tak wtedy myślał.

Głos ptaków pełen życia. Słuchał go z przymkniętymi oczyma. W ten sposób wszystko się skończy. Rozległ się szelest suchych liści pod czyimiś stopami. To nadchodził Tsukada. A jednak go nie zostawił.

– Ach! – Kiguchi mimo woli rozplakał się. – Myślałem, że dołączyłeś do kompanii.

– Jedz – Tsukada wyjął z menażki coś czarnego i pałeczkami włożył mu to do ust.

– To mięso.

– Mięso? Udało ci się zdobyć mięso?

– Nocą zszedłem do doliny i trafiłem na wioskę. Była wyludniona, ale znalazłem tam krowę, już nie żyła. Nadaje się jeszcze do jedzenia. Upiekłem, bądź spokojny.

– Dziękuję.

Ale Kiguchi był tak osłabiony, że chociaż przechodziła mu przez gardło „zupa świetlików”, nie dał rady przełknąć zepsutego mięsa.

– Jeśli nie będziesz jeść, to umrzesz. – Rozgniewany Tsukada wepchnął mu kęs do ust. – Musisz postarać się zjeść – krzyknął. Ale Kiguchi, czując przykrą woń mięsa, wymiotował.

Nawet teraz Kiguchi niechętnie wracał wspomnieniami do tamtej koszmarnej drogi. Od przyjazdu do kraju właściwie nikomu nie opowiadał o swych przeżyciach wojennych.

Jednak od czasu do czasu, gdy mieszkał już z żoną i małymi dziećmi, koszmary tamtych dni powracały, doprowadzając go do szału. Szczęśliwie, dom jego rodziców w uzdrowisku z ciepłymi źródłami w pobliżu Nagano nie spłonął w czasie nalotów, a jego rodzina wyjechała z miasta do rodziców. Kiedy dzieci skarżyły się, że w czasie wojny ciągle musiały jeść tylko ryż zmieszany z ziarnem

innych zbóż, albo że nie dostawały słodczy, reagował na to nadmierną, jak na ojca, gwałtownością. Żona, która знаła Kiguchiego jako człowieka łagodnego, patrzyła na niego w osłupieniu, że się tak zmienił. Wtedy odchodził do swego pokoju, chował głowę pod kołdrę i płakał. Pod powiekami ukazywały się tamte obrazy: droga śmierci, zasłana trupami, i ciała jeszcze żywych żołnierzy, z rojami robactwa wokół nosów i uszu. W głębi serca nienawidził japońskiej „demokracji”, „pacyfizmu”, wedle których osądzono wszystko, zupełnie ignorując cierpienia tamtych czasów.

W końcu po trzech latach Kiguchi powrócił do Tokio. Założył małą firmę przewozową, która stale się rozwijała dzięki dużemu zapotrzebowaniu na dostawy wojskowe w czasie wojny koreańskiej.

Pewnego dnia, w tym czasie, kiedy Tokio się odrodziło ze zgliszczy i zaczynało przypominać miasto, Kiguchi zauważył na peronie metra człowieka, który podejrzliwie mu się przyglądał. Był to Tsukada. Kiedy się wreszcie rozpoznali, z niemal zwierzęcymi okrzykami podbiegli do siebie.

Tej nocy chodzili od baru do baru i pili. Przy straganie z szaszłykami z kurczaka Tsukada powiedział, w południowym dialekcie Kiusiu, którego musiał się nauczyć już po wojnie, że zamieszkali z rodziną żony w Uto na Kiusiu, gdzie pracuje na kolei państwowej, a dziś właśnie przyjechał do Tokio służbowo. Rozmawiali o rozmaitych sprawach, ale ani razu nie wspomnieli o tamtej „drodze śmierci”. Kiguchi dobrze wiedział, że Tsukada pragnął uniknąć tego tematu.

– Czy aby nie pijesz za dużo? – Kiguchi zaniepokoił się, widząc jak Tsukada wlewa w siebie sake.

Ale on pił dalej, a jego wzrok stawał się coraz bardziej zamglony. W końcu Tsukada przestał się odzywać i tylko pił w milczeniu kieliszek po kieliszku, jakby chciał coś w sobie stłumić. Kiguchiemu wydawało się, że rozumie, co się w nim dzieje.

– Może cię odprowadzę? – zaproponował, ale Tsukada potrząsnął głową, wyszedł z baru i zniknął na opustoszałym już dworcu Shibuya.

Było to ich pierwsze spotkanie powojenne. Mijał rok po roku i dziesięć lat później przyszedł list od Tsukady, w którym pytał, czy w Tokio nie znajdzie się dla niego jakaś praca. Pisał: „Proszę cię o pomoc jako jeden z tych, którzy dzielili z Tobą cierpienia i radości owej drogi w przeszłości”. Te słowa zabrzmiały Kiguchiemu echem dawnych wydarzeń: przypomniały, jak Tsukada karmił go „zupą świetlików” i jak przyniósł mięso, dlatego list sprawił mu pewną przykrość. Jednak spełnił prośbę przyjaciela i znalazł mu pracę w charakterze gospodarza domu.

Tsukada przyjechał z żoną do Tokio. Kiguchi poszedł go powitać na Dworzec Tokijski. Żona Tsukady na peronie kryła się za plecami męża i wciąż się kłaniała.

– Co ty robisz? To ja pół roku wcześniej od niego poszedłem do wojska, a więc byłem starszym żołnierzem niż Kiguchi. A w wojsku nawet miesiąc różnicy decyduje o statusie żołnierza – wyjaśnił Tsukada żonie.

W tym sztucznie wyniosłym tonie Kiguchi wyczuł kompleks niższości, dlatego uprzejmie wyjaśnił: – Pani mąż na froncie bardzo mi pomógł. – Ale ona nadal wyrażała wdzięczność, kłaniając się nisko.

Ponieważ Tsukada był sumiennym człowiekiem i zawsze wykonywał przydzielone mu obowiązki, podobnie jak za czasów służby wojskowej, Kiguchi nie miał powodu wstydzić się, że go polecił przyjacielowi, który był właścicielem budynku.

– Jedyne problem – powiedział przyjaciel Kiguchiego, uśmiechając się złośliwie – polega na tym, że zbyt ostro krzyczy na dostawców i domokrażców, którzy nieprawidłowo parkują samochody.

Kiguchi wyjaśnił, że to cechy charakteru nabyte w czasach służby wojskowej.

– On traktuje wszystko zbyt poważnie – rzekł przyjaciel ze śmiechem. – A zbyt poważny człowiek łatwo może się załamać.

Zbyt poważny człowiek łatwo może się załamać.

Po roku od przyjazdu do Tokio Tsukada zaczął pluć krwią.

– Naprawdę mi przykro. Wczoraj też wypił za dużo – przepraszała drżącym głosem żona Tsukady, która zadzwoniła do Kiguchiego z wiadomością. – Mąż zabronił mi o tym mówić... ale pogotowie zawiozło go do szpitala.

– Do szpitala? Do którego?

Po przyjeździe Tsukady do Tokio Kiguchi odwiedził go kilka razy i czasem zapraszał do baru. Wtedy przestrzegał go widząc, że pije jak szaleniec.

– Po wojnie nie potrafiłem stanąć o własnych nogach i znaleźć sobie miejsca w społeczeństwie tak jak ty. Kiedy nie piję, podle się czuję. Chyba mnie rozumiesz?

Na te słowa Kiguchi nie mógł nic powiedzieć, dzielił z nim przecież to koszmarne piekło.

Wbiegł do szpitala. Przy windzie czekała na niego żona Tsukady. Powiedziała, że mąż leży na oddziale intensywnej terapii i właśnie śpi. Strasznie zwymiotował krwią i zemdlał w łazience.

– To była krew z żołądka. W przypadku raka nie pluje się tak krwią – powiedział Kiguchi, chcąc uspokoić żonę Tsukady, która wyraźnie najbardziej obawiała się raka żołądka, po czym poszedł porozmawiać z lekarzem zajmującym się Tsukadą. Stali w kącie korytarza, a lekarz, mężczyzna w średnim wieku, cichym głosem wyjaśnił:

– Jest w takim stanie, że nie można mu jeszcze zrobić badań, ale badanie rękami, wykazuje obecność jakiegoś guza w prawej części żołądka. Możliwe, że to marskość wątroby powoduje krwawienie z żyłaków przełyku. Żona mówiła, że dużo pije.

– To prawda. – Kiguchi postanowił być szczery wobec lekarza, który wyglądał na skromnego człowieka. – Być może jest alkoholikiem.

– Czy są jakieś powody natury psychicznej, które zmuszają go do picia?

– Natury psychicznej?

– Na przykład... – lekarz spojrział w kartę, którą trzymał w ręku – niezgoda w domu, problemy w pracy.

– Myślę, że nic takiego nie ma.

– Jeśli picie alkoholu ma podłoże psychiczne, to należałoby poprosić psychologa, by leczył go z uzależnienia alkoholowego, kiedy my będziemy leczyć wątrobę.

– Może ja z nim porozmawiam. Byliśmy najbliższymi sobie kolegami w czasie wojny.

– O? Przyjaciele z wojny?

Kiedy Kiguchi szedł korytarzem, zrozumiał, że przecucie go nie myliło. Ale nie wiedział, co było przyczyną mroku wyzierającego z oczu Tsukady i zmuszało go do pogrążania się w alkoholizmie. Idąc w stronę sali intensywnej terapii, aby porozmawiać z jego żoną, minął się z młodym, niskim obcokrajowcem w okularach. Pchał on w stronę windy starca na wózku inwalidzkim i rozśmieszał go swoją łamaną japońszczyzną. Miał on podłużną twarz, przypominającą twarz aktora komediowego, którego w młodości Kiguchi oglądał w kinie. Tak, nazywał się Fernandel.

Po pięciu dniach znów odwiedził Tsukadę, którego już przeniesiono z intensywnej terapii do zwykłej sali, dużej i słonecznej. Leżał na łóżku pod oknem, w starej piżamie z rozpiętymi guzikami, a żona wycierała mu spocone plecy. To prawda, co słyszał: człowiek chory na marskość wątroby bardzo szybko traci wagę.

– Kiguchi-san, wybacz mi. – Tsukada trzymał ręce na kolanach i pochylał przed nim głowę. – Tak mi pomogłeś, a ja doprowadziłem siebie do tego stanu. Ale za miesiąc będę zdrowy. Co prawda lekarze mówią, że z wątrobą jest niedobrze, ale czuję się już całkiem nieźle.

– Ale odtąd nie wolno ci pić, absolutnie – Kiguchi celowo zrobił groźną minę. – Twoja choroba bierze się z picia. Nie wolno ci wziąć do ust nawet kropli.

– To niemożliwe. Jeśli zabiorą mi sake, stracę chęć do życia.

– Chyba lekarz ci mówił. Jeśli dalej będziesz pić, alkohol cię zabije.

Widział, jak Tsukada traci dobry humor, odepchnął ręce żony, która wycierała mu plecy, i rzekł ze złością:

– Dość tego! – opadł na plecy i przykrył się kocem do połowy twarzy.

– Jesteś niegrzeczny. Kolega przyszedł z wizytą do ciebie, a ty co robisz? – skarciła go żona, ale nie odezwał się nawet słowem.

Do sali wszedł młody obcokrajowiec o końskiej twarzy. Miał na sobie biały fartuch jak lekarze, a na wierzchu niebieski fartuszek.

– O, pan Gaston ma dziś dużo pracy – powiedział jeden z pacjentów, a młodzieniec nazwany dziwnym imieniem odpowiedział:

– Taaak. Zajęte. Praca dużo. Dwa rąk nie starcza. – I rozpostarł z przesadą ramiona.

Do jego obowiązków należało między innymi roznoszenie posiłków z kuchni do sal chorych. A potrawy były różne w zależności od rodzaju choroby.

– Pan Tsuka. Tsukada-san – patrząc na kartkę zapisaną alfabetem łacińskim, leżącą na tacy, Gaston zatrzymał się przy łóżku Tsukady. – To dla pana – i z sympatycznym uśmiechem przekazał jego żonie tacę z grysiem i zupą. – Herbatę przynosi zaraz.

Chciał już wyjść z sali, gdy jeden z pacjentów zawołał.

– Nie przewróć się, Gaston-san! Taki z ciebie niedołęga.

– Słyszałem, że kazałeś żonie przynieść w tajemnicy sake, ale przecież wiesz, co lekarz powiedział.

Tsukada odwrócił twarz, nie chcąc słuchać kazania Kiguchiego. – Jeśli będziesz nadal pić, to żyłaki w przewodzie pokarmowym mogą popękać. Wtedy podobno nie unikniesz śmierci. To przykre, ale obowiązuje cię zakaz picia alkoholu.

Naburmuszony Tsukada nadal milczał. W końcu powiedział ze złością:

– Zostaw mnie... Mogę umierać, nic mnie to nie obchodzi.

– Co ty mówisz? Wobec tego po co przeżyłeś tę wojnę?

– Niczego nie rozumiesz.

– Czego? Czy tego, że nie potrafisz przestać pić? Czy jest jakiś powód, który nie pozwala ci przestać? Jeśli tak, to powiedz.

– Dość już.

Tsukada odwrócił się do ściany i milczał. Zrezygnowany Kiguchi wyszedł z sali i powiedział o wszystkim lekarzowi.

– Jest taki uparty. Widocznie ma jakiś powód, o którym nie chce mówić.

– Więc jednak coś jest.

– A w jakim on jest stanie?

– Tak jak się obawiałem, odkryliśmy żylaki w przewodzie pokarmowym. Istnieje obawa, że może nastąpić kolejny krwotok.

– Czy po tym krwotoku umrze?

– Nie mogę wykluczyć takiej możliwości.

Ponuro patrzył w okno gabinetu, myśląc o tym, jak na „drodze śmierci” umierali towarzysze walki i byli zżerani przez robactwo, Kiguchi nie mógł oprzeć się myśli, że życie jego i Tsukady teraz jest po prostu darem, który wtedy otrzymali. Ale przeżył tylko dlatego, że jego kolega, Tsukada, nie porzucił go, kiedy opadł z sił. Pragnął więc teraz zrobić wszystko, co możliwe, aby uratować Tsukadę.

Odwiedzał go w szpitalu kilka razy na tydzień. Od czasu do czasu zastawał przy łóżku Tsukady ochotnika Gastona, który gawędził z nim łamaną japońszczyzną. Gaston pracował w Szkole Języków Berlitz w Shibuya, a w wolne dni przychodził do szpitala. Było coś pociągającego w tym młodzieńcu, wielu pacjentów darzyło go sympatią, mimo że był dość nieporadny, miał kłopoty z koordynacją ruchów. Nawet Tsukada uśmiechał się do niego, zresztą tylko do niego.

– W tym szpitalu mąż lubi tylko Gastona – powiedziała żona takim tonem, jakby zdradzała wielką tajemnicę. – O pielęgniarkach i lekarzach mówi, że są okropni i nie lubi ich.

– Ten młodzieniec jest naprawdę wspaniały – wyjaśnił Tsukada Kiguchiemu. – Mimo że jest cudzoziemcem, nie krzywi się i nie odwraca twarzy, gdy podaje basen czy kaczkę pacjentowi. Myślałem, że pracuje tu dla pieniędzy, ale pielęgniarki mówią, że nie zarabia tu ani jena.

– Jest wolontariuszem.

– A jaki jest sumienny.

W czasie następnych odwiedzin w szpitalu Kiguchi nagle zdał sobie sprawę z tego, jaką sympatią Tsukada darzy Gastona.

– Zapytałem Gastona, czy przyjechał do Japonii, bo stracił pracę, ale nie potrafił mi odpowiedzieć. A kiedy go częstują słodyczami, robi jakieś dziwne gesty.

– Wcale nie dziwne. To się nazywa przeżegnaniem. Oni kończą tym gestem modlitwę.

– Czuję się znacznie lepiej, już czas wracać do domu.

– Jeśli po powrocie miałbyś pić, to lepiej żebyś tu został. Jeśli nie obiecasz abstynencji, lekarze nie pozwolą ci stąd wyjść.

– O tym będę decydować ja, nikt inny. Wyjdę stąd bez względu na to, co mówicie.

– I będziesz pić sake? Mimo że ja, twój dawny towarzysz wojenny, tak bardzo proszę?

I znów Tsukada odwrócił się do ściany i milczał. Kiguchi długo wpatrywał się w jego wychudłe plecy, następnie szepnął:

– Idę.

Gorzka rezygnacja przepełniła boleśnie jego piersi, poczuł niewysłowny smutek. Wstał i kiedy chciał odejść, usłyszał za sobą wątły, przytłumiony głos:

– Poczekaj, Kiguchi-san, wybacz, nie gniewaj się.

– Nie gniewam się, dokuczałem ci tylko dlatego, że martwię się o twoje zdrowie.

– To, że tak piję... chcę ci powiedzieć dlaczego.

Kiguchi usiadł obok Tsukady i ujrzał łzy na jego wychudłych policzkach.

– Powiedz.

– Wtedy... kiedy uciekaliśmy przed wojskiem angielskim i indyjskim i kiedy już nie mogłeś iść dalej, za wszelką cenę chciałem doprowadzić cię do oddziału.

– Zawsze byłem i jestem ci wdzięczny. Nigdy o tym nie zapomniałem. Właśnie dlatego staram ci się odwdziżyć.

– Chciałem przynieść ci coś do jedzenia, bo byłeś bardzo osłabiony, ale niczego nie mogłem znaleźć. Nie wiedząc co robić, zabrałem z ręki umierającego żołnierza trochę ryżu i ugotowałem zupę.

– O tym też pamiętam. Nie opuściłeś mnie.

– Nazajutrz ja też byłem bardzo głodny i wiedziałem, że skończę jak ty, jeśli nie znajdę czegoś do jedzenia. Chodziłem i przewracałem nogą trupy obsiadłe przez robactwo, w nadziei, że może coś tam znajdę. Ale nie znalazłem. Z daleka rozległ się huk wybuchów, więc szybko skryłem się między drzewa i wtedy obok usłyszałem bzyczenie much, głośnie niby szum potoku. Na ziemi leżało pół ubłoconej nogi, jeszcze w wojskowych owijaczach.

Pewnie pamiętasz, że pozostawieni w drodze chorzy popełniali samobójstwo, rozrywając się granatami. Była to więc noga samobójcy.

Odczuwał przymus, by powiedzieć Kiguchiemu coś ważnego, ale z jakiegoś powodu unikał dotarcia do istoty sprawy, zamiast tego powoli roztaczał obraz dobrze znany, którego Kiguchi nie chciał nigdy sobie przypominać. Z korytarza dobiegł wesoły śmiech pielęgniarki. Tsukada z pustką w oczach patrzył w sufit i poruszał ustami.

– Był tam szalas.

Kiguchi z bólem przypominał sobie chaty Indusów i Birmańczyków, stojące gdzieś przy drodze, którą uciekali. W tych chatach o podwyższonych podłogach i starych schodkach

siedzieli wyczerpani żołnierze japońscy: oparci o ściany, ze zwieszonymi głowami, powaleni kałem czekali na śmierć.

Kiguchi czekał na to, co Tsukada chciał mu powiedzieć. Domyślał się, jak bardzo Tsukada cierpi: to zbliżał się do istoty sprawy, to się znów oddalał w popłochu. Kiguchi zaczął się domyślać, czego Tsukada mimo usilnych starań nie potrafi powiedzieć.

– Tu też słyhać było bzyczenie – na ścianie pokrytej trawą siedziało mnóstwo zielonkawych much. Chyba pamiętasz, że muchy birmańskie są znacznie większe od naszych?

– Dostyc – powiedział Kiguchi, nie mogąc już tego słyhać. – Mam już dostyc. Jeśli trudno ci o tym powiedzieć, to nie mów.

– Powiem.

Kiguchi zmrużył oczy i razem z Tsukadą przeżywał koszmary przeszłości.

– W tej chacie zatrzymałem się na odpoczynek. Zdrzemnąłem się. Przebudziły mnie czyjeś głosy, i wtedy ujrzałem dwu żołnierzy. Nie znałem ich. Zapytałem, czy nie mają czegoś do jedzenia, ze śmiechem odpowiedzieli, że niby skąd. Jeden wspomniał, coś jakby do siebie, że za dziesięć jenów mógłby kupić mięso jaszczurki. Dałem im dziesięć jenów i wyszli z chaty.

Kiguchi przypomniał sobie dokładnie, co działo się potem. Pamiętał, jak Tsukada krzyknął: „Jeśli nie zjesz, to umrzesz!”.

– Byłem tak wyczerpany, że mój żołądek nie przyjął tego.

– Nie mogłeś tego jeść, wymiotowałeś. Ty nie zjadłeś. Ale ja jadłem to mięso. Gdybym nie zjadł, zginęlibyśmy tam obaj.

Nieokreślony niepokój zakłębił się w nim jak czarny dym po wybuchu wulkanu.

– Mięso, które jadłem... to było ciało starszego szeregowca Minamikawy. Pamiętasz Minamikawę?

Z dna pamięci Kiguchiego wyłoniła się twarz żołnierza o nazwisku Minamikawa, który należał do tej samej kompanii służby wewnętrznej. Miał złamane oprawki okularów, nosił je przywiązane sznureczkiem do ucha. Został powołany z uczelni, miał młodą żonę, którą poślubił tuż przed pójściem do wojska, pokazywał im list od niej.

– Ciało Minamikawy? Jak się dowiedziałeś?

– Papier, w który mięso zawinięto, był jednym z listów od żony.

– Ale jadłeś je myśląc, że to jaszczurka.

Kiguchi czuł, jak słabo zabrzmiały słowa pocieszenia. Jednak po chwili zwiędły i zawisły w powietrzu.

– Gdy powróciłem do Japonii, posłałem rodzinie Minamikawy skrawki pobrudzonego listu. Pomyślałem, że tylko w ten sposób mogę przeprosić. Po dwu miesiącach odwiedziła mnie w Uto jego żona z małym dzieckiem.

– Przyjechała do Uto?

– Tak.

– To był chłopiec. Urodził się po śmierci ojca, jak powiedziała matka. Patrzył na mnie takim wzrokiem jak kiedyś jego ojciec.

Kiguchi milczał.

– Pamiętasz? Te przestraszone oczy Minamikawy. Patrzył spoza szkieł przywiązanych sznureczkiem do uszu i zawsze nerwowo śledził miny starszych żołnierzy. Chłopiec patrzył na mnie tym samym wzrokiem.

Kiguchi nadal milczał.

– Tych oczu nie mogę zapomnieć. Zupełnie jakby Minamikawa miał mi swym wzrokiem towarzyszyć do końca życia. Uciec od jego oczu mogę tylko, kiedy się upiję.

Mówiąc, przykładął ręcznik do ust i kasłał. Kiguchi położył rękę na jego ramieniu i wyczuł drżenie.

Sąsiednie łóżko było puste, ale szloch Tsukady doszedł chyba do uszu innych pacjentów. Kiguchi widział przez łyż trzy wrony lecące w kluczu po szarym niebie za oknem szpitalnej sali. Wydało mu się, że symbolizują one jakiś głęboki sens życia.

Tego dnia Tsukada był bardzo wzburzony, a wieczorem wydalil stolec z krwią. Gdzieś w przewodzie pokarmowym na pewno nastąpił wylew.

Po kilku dniach zrobiono endoskopię. Żona Tsukady zadzwoniła do Kiguchiego, by go powiadomić o niezbyt pomyślnych wynikach badania.

– Nie wiedzą, gdzie był krwotok. Są bezradni.

Krwawienie trwało z krótkimi przerwami kilka dni. Kiguchi myślał, że to wyznania tak pogorszyły stan zdrowia Tsukady. Dlatego w przerwach w pracy starał się częściej odwiedzać go w szpitalu.

Ochotnik Gaston często siedział przy łóżku Tsukady.

– Tsukada-san opowiadać mi o kamieniu – powiedział pewnego dnia Gaston, nie kryjąc zadowolenia.

– O kamieniu?

– Tsukada-san idzie nad rzekę szuka kamień jak góra Fuji.

– Opowiadałem mu o bonseki, miniaturowym pejzażu z kamieni. Chociaż nie sądzę, żeby obcokrajowiec rozumiał, co to jest ogród krajobrazowy.

Tsukada mówił, jakby zapomniał o chorobie. W każdym razie chyba zaprzyjaźnił się z tym obcym chłopcem o końskiej twarzy.

– Młodzińcze, masz jedną cechę, której nie lubię. – Tsukada pouczał Gastona we właściwy sobie, nieco pyszałkowaty sposób. – On twierdzi, że Bóg naprawdę istnieje.

– Tak.

– A gdzie jest? Jeśli istnieje, to powiedz gdzie?

– Oczywiście, w sercu pana Tsukady.

– W moim sercu?

– Oczywiście.

– Nie rozumiem. Jak można twierdzić coś tak głupiego, w dzisiejszych czasach. Przecież mamy rakiety, które latają na księżyc.

Gaston wzruszył ramionami i zaśmiał się. Chyba domyślał się, z rodzaju posiłku, który przynosił Tsukadzie, że jego stan nie jest dobry. Widział, że już prawie normalne posiłki Tsukady zamieniono znowu na płynne, dietetyczne. Kiguchi zrozumiał, że brany za głupca i wykpiwany Gaston przynosił pewną pociechę pacjentom. Pociechę, jaką zimą dają słabiutkie promienie słońca, prześwitujące pomiędzy chmur. I tak Gaston codziennie niósł pociechę i chwilowe zapomnienie o cierpieniach wielu pacjentom. Grał w tym szpitalu rolę cyrkowego pierrota.

Krwawienie z odbytu w końcu ustało, i zmartwione twarze osób otaczających Tsukadę nieco się wypogodziły. Kiguchi powiedział ordynatorowi o spowiedzi Tsukady. Nie wspomniał jednak nazwiska Minamikawy, dał tylko do zrozumienia, że Tsukada jadł mięso ludzkie z ciała wrogiego żołnierza.

– Ach, tak? Pan i pan Tsukada byliście w Birmie? To musiało być straszne. Byłem wtedy w grupie dzieci ewakuowanych z miasta na wieś. Też nie mieliśmy co jeść.

– Ale to nie ma porównania z tym, co przeszliśmy w Birnie.

Kiguchi mimo woli powiedział to z gniewem. Wiele słyszał od rodziny o trudnej sytuacji żywnościowej w Japonii, po repatriacji on też doświadczył biedy, ale nie można tego porównywać z przeżyciami japońskich żołnierzy, którzy pod strugami deszczu wlekli się „drogą śmierci” niby lunatycy. Taki głód, kiedy człowiek zjada korę z drzew, robaki z ziemi, taki głód, kiedy dostaje się po parę ziaren ryżu, należy do innego wymiaru, jest czymś zupełnie innym.

Kiguchi, czując boleśnie różnicę między jego pokoleniem i pokoleniem lekarza, pomyślał, że zarówno ten mężczyzna, jak i psychoterapeuta w tym szpitalu, nie potrafią zrozumieć cierpień Tsukady.

– Myślę, że już nie należy denerwować Tsukady.

– Co znaczy denerwować?

– Nakłanianie go do mówienia o skrywanej w sercu tajemnicy nie wychodzi mu chyba na dobre, prawda? Myślę, że ostatni krwotok wywołany został wzburzeniem pacjenta.

– Możliwe. Przez pewien czas należy go tylko obserwować i czekać, co będzie dalej.

– Tak, a dopóki jest w szpitalu, przynajmniej nie pije alkoholu. Dobrze byłoby, żeby do tego przywykł.

Lekarz, obracając długopisem między palcami, kiwnął głową, jakby zrozumiał, o co chodzi. W każdym razie żyłki przewodu pokarmowego należały do chorób, na które nie było wtedy lekarstwa.

To, czego się obawiano, w końcu nadeszło. Była sobota, gdy Tsukada dostał silnego krwotoku z ust. Kiguchi otrzymał tę wiadomość i natychmiast pojechał do szpitala. Lekarze zdążyli już opanować krwotok i chorego przeniesiono do jednoosobowego pokoju. Pielęgniarki biegały w tę i z powrotem nawet na korytarzu

atmosfera była napięta jak cięciwa łuku przed wypuszczeniem strzały.

Chory miał włożoną do gardła rurkę zakończoną na zewnątrz balonikiem i jęczał z bólu. Na podłodze było widać plamy krwi.

– To Gaston go podniósł z łóżka. Fartuch miał cały we krwi. Gaston... – żona Tsukady była tak zdenerwowana, że wciąż powtarzała Kiguchiemu tę mało istotną wiadomość.

– Nastąpiła chwilowa poprawa, ale jest w krytycznym stanie – szepnął od drzwi lekarz o zmęczonej twarzy.

Po pięciu dniach krwawienie całkiem ustało, wyjęto więc Tsukadzie rurkę z gardła. Chyba spodziewał się śmierci.

– Cały czas sprawiam ci tylko kłopoty – powiedział do żony cicho i z większym uczuciem niż zawsze. – Wybacz.

Rozmawiali o czymś szeptem. Stojący na korytarzu Kiguchi usłyszał jej szloch. Przechodzący do toalety pacjenci spoglądali niespokojnie na stojącą przy drzwiach Tsukady kroplówkę i butlę z tlenem.

– Mąż prosi pana, żeby pan zawołał Gastona – powiedziała żona, wychodząc z pokoju zapłakana. – Wciąż dopytuje się o niego.

– O Gastona?

– Tak.

Tego dnia Gaston uczył chyba w Szkole Języków Berlitz, nie przyszedł więc do szpitala.

– A Gaston? – wiele razy pytał Kiguchiego Tsukada. – Chciałem o coś zapytać Gastona.

Zawiadomiono Gastona i po godzinie szóstej, kiedy pacjenci skończyli już kolację, pojawił się w szpitalu. W pokoju chorego i na korytarzu nadal panowało napięcie. Za zgodą pielęgniarek zalękniony Gaston wszedł do Tsukady.

– Tsukada-san, widzisz, ja modłę się. Modłę się.

Gaston złożył dłonie do modlitwy, a na jego końskiej twarzy pojawił się smutek. Chyba wiedział, że temu choremu nic nie da zwykle pocieszenie. Ciekawe, skąd ten niezdarny chłopiec wiedział, że słowna pociecha, w którą pacjenci nie wierzą, napawa tylko smutkiem. Nie zdejmując marynarki, ukląkł na podłodze.

– Kiguchi-san – głos Tsukady zatrzymał Kiguchiego, który chciał wyjść z pokoju. – Może ty też byś mnie wysłuchał? – zapytał, z trudem łapiąc oddech. – Gaston, pański Bóg... czy naprawdę istnieje?

– Taak – odpowiedział, jak zwykle przeciągając, Gaston. – To nie kłamstwo. To prawda.

– Gaston, w czasie wojny zrobiłem straszną rzecz. Gdy o tym myślę, jest mi ciężko. Naprawdę bardzo ciężko.

– To nic, będzie dobrze.

– Nawet jeśli był to czyn najstraszniejszy?

– Taak.

– Gaston, ja w czasie wojny – Tsukada ciężko dyszał i z napięciem mówił dalej – w Birmie, wiesz, jadłem ciało zmarłego żołnierza! Nie było tam nic do jedzenia. Musiałem to zrobić, żeby przeżyć. Czy ktoś, kto upadł tak nisko, do piekieł głodu, może uzyskać przebaczenie twego Boga?

Żona Tsukady słuchająca ze spuszczoną głową tego wyznania, powiedziała cicho:

– Kochany, tak długo musiałeś cierpieć. – Ona też poznała jego tajemnicę.

Gaston zamknął oczy i milczał. Wyglądał jak mnich pogrążony w samotnej modlitwie. Gdy otworzył oczy, na jego zawsze wesolej,

końskiej twarzy pojawił się wyraz powagi, jakiego Kiguchi nigdy przedtem u niego nie widział.

– Tsukada-san, nie tylko pan jadł ciało ludzkie.

Kiguchi i żona Tsukady słuchali w zdumieniu słów wypowiedzianych w kaleczonej japońszczyźnie.

– Czy słyszał pan wiadomość, że cztery czy pięć lat, dawno zepsuł samolot w Andach? Samolot uderzył w górę, wielu było rannych. W górach zimno. Sześć dni skończyło się jedzenie.

Kiguchi przypomniał sobie tę wiadomość z gazety czy telewizji, o tym, jak cztery czy pięć lat wcześniej rozbił się w górach argentyński samolot. Widział zdjęcie, na którym majaczyły, jak obraz odbity w wodzie, sylwetki rozbitków – mężczyzn i kobiet, a także ratowników – na tle kadłuba samolotu.

– W samolocie leciał mężczyzna, lubił pić podobnie jak Tsukada, w samolocie pijany, cały czas spał. Gdy samolot się zepsuł w Andach, pijany pasażer ciężko ranny w nogi i piersi.

Mówiąc z trudem po japońsku Gaston opowiedział historię, która w skrócie była następująca:

Oto ów pijany mężczyzna do tych, którzy przeżyli i opiekowali się nim w chorobie przez trzy dni, powiedział tak: „Już nie macie co jeść. A ponieważ ja i tak umrę, proszę was, żebyście po mojej śmierci nie wahali się jeść mojego ciała. Nawet jeśli nie będziecie mieli ochoty, to i tak musicie jeść”. Powiedział im, że pomoc na pewno przyjdzie.

Również Kiguchi pamiętał – jak przez mgłę – tę historię. Siedemdziesiątego dnia uratowani rozbitkowie szczerze wszystko wyznali. Zdołali przeżyć tylko dlatego, że kiedy już zabrakło żywności, zaczęli jeść ciała zmarłych.

– Umierający zachęcali nas do tego, żebyśmy to uczynili – opowiadał jeden z ocalonych.

To zdarzenie tak bardzo wówczas wstrząsnęło Kiguchim, który niegdyś bląkał się po dżungli Birmy, było mu tak bardzo bliskie, że natychmiast ożyło w zakamarkach pamięci.

– Kiedy ci ludzie wrócili z Andów żywi, wszyscy cieszyli. Nawet rodziny, które straciły swych bliskich, były zadowolone. Nikt nie złościł się, że jedli ludzkie mięso. Żona alkoholika powiedziała: „On po raz pierwszy zrobił coś dobrego”. Mieszkańcy jego miasteczka przedtem zawsze źle o nim mówili, ale teraz już nie. Wierzyli, że poszedł do nieba.

Gaston wykorzystał wszystkie możliwości swojej ułomnej japońszczyzny. Odtąd codziennie przychodził do pokoju Tsukady, trzymał jego rękę w swojej dłoni i rozmawiał z nim, dodając mu w ten sposób otuchy. Kiguchi nie wiedział, czy to przynosi ulgę cierpieniom Tsukady. Widział zgarbioną postać klęczącego przy łóżku, przypominającą zgięty gwóźdź. Na pewno ten zgięty gwóźdź z całych sił starał się przystosować do złamanego serca Tsukady i tak cierpiał razem z nim.

Dwa dni później Tsukada umarł. Jego twarz była spokojna jak nigdy przedtem, ale zmarli zazwyczaj mają tak spokojne twarze.

– Wygląda, jakby spał – szepnęła żona zmarłego, a Kiguchi nie mógł oprzeć się myśli, że tę spokojną maskę pośmiertną Tsukada zawdzięcza Gastonowi, który uwolnił jego serce od cierpienia.

Dodajmy, że przy łożu śmierci Gastona nie było. Gdzie zniknął, nie wiedziały nawet pielęgniarki.

Rozdział 6

Miasto na brzegu rzeki

25 października – przylot do Delhi, zwiedzanie miasta

26 października – po południu odjazd z Delhi, przyjazd do Dżajpur

26 października – wieczór tańców ludowych w hotelu

27 października – przyjazd do Agry, zwiedzanie Tadź Mahal i Agra Fort

28 października – wyjazd z Agry, podróż z Allahabadu do Waranasi

Tego wieczoru, gdy opuścili lotnisko w Allahabadzie, wiał wilgotny ciepły wiatr. Taki wiatr, przesycony intensywnym zapachem ziemi i drzew, był już od dawna w Japonii nie znany, nawet w prowincjonalnych miastach. Kiedy Kiguchi poczuł ten zapach, przypomniał sobie miasteczko, w którym stacjonował w Birnie podczas wojny.

Z cienia drzew wyskoczyło czterech czy pięciu taksówkarzy i podbiegło do japońskich turystów. Nachalnie oblegali Enamię, który mówił w języku hindi, a gdy dowiedzieli się, że turyści mają zamówiony autokar, spluwali na ziemię ze złością, jakby ich ktoś wystrychnął na dudków, i rozproszyli się na wszystkie strony.

Następnie podbiegła do nich grupa wychudłych dzieci, które dotąd z pewnej odległości obserwowały turystów. Wyciągały ręce i krzyczały *Bakszisz!* Japończycy udawali, że ich nie widzą – podczas zakupów w starym Delhi spotkali już podobne grupy chłopców i dziewcząt, a Enami ostrzegał, że ciężki oddech, błagalny wyraz twarzy i gesty były po prostu grą i że jeśli ktoś da pieniądze jednemu dziecku, pozostałe będą iść za nim krok w krok. Dlatego Japończycy woleli udawać, że ich nie widzą, i patrzyli w stronę podjeżdżającego autobusu.

– Okropny kraj – powiedział Sanjō do swojej młodej żony, która z obrzydzenia zakrywała nos chusteczką.

Sanjō był początkującym fotoreporterem i dlatego wybrał się w podróż poślubną na tę wycieczkę.

– Dorośli posyłają dzieci, żeby żebrały, a sami siedzą i przyglądają się temu spokojnie.

Nie zważając na stojących obok nich ludzi, pieścił rękę żony. Przed nimi zatrzymał się stary autobus – w Japonii dawno byłby oddany na złom – wzbijając tumany kurzu na placu przed hotelem.

– Oni chcą, żebyśmy jechali takim autobusem – pani Sanjō spojrzała na męża z niezadowoleniem. – A tak nalegałam, żebyśmy jechali do Europy.

– Do Europy możemy pojechać zawsze, kiedy tylko zechcemy. Chyba pamiętasz, co nam radził Higuchi-san? Mówił, że Indie są najlepsze, że są jedynym miejscem dla fotoreportera.

Słuchając tej rozmowy prowadzonej za jego plecami, Kiguchi był zdegustowany młodą parą, która nie miała pojęcia, co się działo w Japonii wyniszczonej przez wojnę. Także w Japonii zaraz po wojnie takie głodujące dzieci oblegały żołnierzy amerykańskich i namolnie prosiły o gumę do żucia lub czekoladę. To młode małżeństwo, które nie zaznało głodu i biedy, nawet w samolocie nie wstydziło się obejmować i pieścić. Gdyby tu byli jego towarzysze

broni, którzy razem z nim wycofywali się w potwornych warunkach przez dżunglę, na pewno by ich spoliczkowali.

Siedzenia w autobusie były popękane i wyglądały jakby chorowały na słońowaciznę. Klamki w drzwiach były urwane, więc indyjski kierowca przywiązał je sznurkami.

– To dlatego – z głębi autobusu znów rozległ się płaczliwy głos pani Sanjō – mówiłam, żebyśmy podróżowali autostradą Marchen w Niemczech.

Ale inni Japończycy ignorowali jej celowo głośno wypowiedane skargi. Autobus ruszył, podskakując na wybojach.

Była to pora, kiedy chłopci zaganiali swoje wychudłe krowy i stada owiec do zagród. Na straganach stojących przy drodze w świetle gołych żarówek stały różnobarwne słoiki z przyprawami i wisiały suszone strączki pieprzu. W jednym z kramów krawiec poruszał pedałem staromodnej maszyny do szycia. O zmierzchu w tym prowincjonalnym miasteczku, jakże różniącym się od New Delhi, panował trudny do opisanego smutek – wszyscy turyści wpatrywali się w tę scenerię, jak dzieci obserwujące wiejski festyn przy świątyni.

– Proszę państwa – siedzący obok kierowcy Enami podniósł mikrofon do ust – to typowy wieczór na wsi indyjskiej. Wszędzie leżą krowy. Obok nich ludzie popijają herbatę. Mleko, które dolewają do herbaty, pochodzi od tych samych krów.

– Jak tu ładnie. Dawno już tego nie widziałem. – Powiedział jakby do siebie Numada, który siedział za Enamim, nie kryjąc wzruszenia. – W dawnych czasach w Japonii również można było zobaczyć zwierzęta i ludzi żyjących tak blisko siebie.

– Pan przyjechał do Indii, aby zobaczyć zwierzęta i ptaki, prawda? – spytał Enami. – W Indiach jest mnóstwo rezerwatów ptaków i zwierząt. O ile pamiętam, niewielki rezerwat jest gdzieś przy drodze, którą jedziemy.

– Proszę powiedzieć, jak daleko.

– Kiedy dojedziemy do hotelu, na pewno będzie pan mógł dostać mapę rezerwatów zwierząt w biurze turystycznym. Powinny być tam zaznaczone również małe rezerwaty, znajdujące się niedaleko od hotelu. W każdym razie w Indiach jest ich ze czterysta.

– Dlaczego pan zdecydował się studiować w Indiach?

– Myślę, że pokochałem ten kraj. Niektórzy turyści zdecydowanie nie lubią Indii, inni natomiast wielokrotnie tu wracają. Ja należę do tych drugich...

Spojrzał ukradkiem za siebie na miejsce w tyle, gdzie siedziało małżeństwo Sanjō, odsunął mikrofon od ust i wyszpetał:

– Jestem pewien, że państwo Sanjō należą do tych pierwszych.

Wieczne słońce, czerwone jak jakaś diabelska latarnia, pochyliło się nad wioską. Gdy powoli zaczęło żółknąć, przez otwarte okna autobusu wpadał wiatr – nie był już ciepły, lecz przejmujący chłodem i pachnący drzewami i ziemią.

– Proszę państwa, gdy zapada noc o tej porze roku w Indiach bardzo szybko robi się chłodno.

Enami znów podniósł mikrofon do ust. – Jeśli mają państwo marynarki lub swetry, to proszę je włożyć. Wkrótce miniemy miejsce, gdzie spotykają się rzeki Ganges i Jamuna, proszę więc patrzeć uważnie. Takie miejsca w religii hinduskiej uważane są za święte, dlatego każdego roku, podczas święta maghmela na przełomie stycznia i lutego, kilkaset tysięcy pielgrzymów nocuje pod namiotami wzdłuż brzegów tych rzek, a także kąpie się w ich wodach. O, proszę spojrzeć przez okno. Teraz jest tu pusto, ale widoczne w dole brzegi rzeki tego świątecznego dnia zapełnią się tłumem ludzi. Niezliczone masy wiernych hindusów tłoczą się wówczas idąc do kąpieli i wychodząc z wody.

– Czy te rzeki są czyste? – zapytał ktoś. Był to wysoki donośny głos Sanjō, pragnącego pokazać wszystkim, że wciąż jest tu obecny.

– Z punktu widzenia Japończyka nie można powiedzieć, że są czyste, nawet jeśli się chciało zachować bardzo grzecznie. Ganga jest żółtawa, a Jamuna – szara, a gdyby zmieszać ich wody, powstałaby ciecz o barwie herbaty z mlekiem. Jest jednak w tym kraju różnica między tym, co piękne, a tym, co święte. Rzeki dla hindusów są święte. Dlatego kąpią się w nich.

– Czy to samo, co my nazywamy ablucją w religii sinto w Japonii? – znów zapytał donośnym głosem Sanjō.

– Nie. Ablucja jest obrzędowym obmyciem ciała, zbrukanego i skalanego grzechem, a kąpiel w rzece Ganges jest zarówno aktem oczyszczenia, jak też błagania o wyzwolenie z transmigracji.

– Czy oni nadal wierzą w transmigrację i reinkarnację, nawet w dzisiejszych czasach? – pytał Sanjō tak, aby wszyscy go usłyszeli. – Czy sądzi pan, że naprawdę traktują to poważnie?

– Oczywiście, że tak. Czy jest w tym coś złego? – Enami zapomniał, że jest przewodnikiem wycieczki, dając wyraz Nieradowoleniu wobec takiego turysty, jak Sanjō, który drwi z Indii. Mitsuko poczuła sympatię do Enami, który zareagował spontanicznie, jak przystało na byłego studenta tego kraju. Niewątpliwie do jego obowiązków przewodnika wycieczek – a w ten sposób przecież zarabiał na życie – należało wyjaśnianie wszelkich wątpliwości i odpowiadanie na liczne pytania takich turystów, którzy, jak Sanjō, kąpią z hinduizmu.

– Po co setki tysięcy ludzi miałyby się gromadzić na brzegach rzek, gdyby nie traktowano tego poważnie? Kiedy dojedziemy do Waranasi, ujrzą państwo ludzi zanurzających się w wodzie i płuczących usta w Gangesie, a więc w rzece, w której codziennie rozsypywane są prochy spalonych zmarłych.

– Obrzydliwość! – żona Sanjō nie posiadała się ze zdumienia.

– Nie ma w tym nic obrzydliwego – odparł Enami. – Jeśli pani uważa, że hindusi są obrzydliwi, powinna pani wybrać się na wesołą wycieczkę po Europie. Ale skoro już pani przyjechała do Indii, proszę zdobyć się na wysiłek, żeby wejść w ten świat tak odmienny, należący do innego wymiaru niż świata Europy czy Japonii. Nie, niezupełnie tak. Pozwoli pani, że ujmę to jeszcze inaczej. Wkraczamy właśnie w niezwykły świat, znany nam niegdyś, a teraz całkiem zapomniany. Proszę, by pani przeniosła się w ten świat w czasie naszej podróży po Indiach. Oczywiście, to mój prywatny pogląd.

Na twarzy Enamiego, który dotąd zachowywał się z profesjonalną uprzejmością, nagle zapłonął zapal lat spędzonych w tym kraju; wszyscy pasażerowie autobusu zamilkli, włącznie z małżeństwem Sanjō. Enami spostrzegł się i przeprosił.

– Proszę wybaczyć. Powiedziałem coś impertynenckiego, mimo że jestem przewodnikiem.

Jego podopieczni pochłonięci własnymi myślami, w milczeniu wpatrywali się w ciemniejący za oknami zmierzch, podczas gdy autobus przejeżdżał przez las.

W autobusie zapaliły się przyćmione światła. Po obu stronach drogi ciągnęła się dżungla fig laurowych, nie widać było już nawet najmniejszych przebłysków światła. W szybach autobusu widniały niewyraźnie odbicia twarzy pasażerów.

Z uwag Enamiego Isobe wyczuł, że w końcu wkroczył do krainy reinkarnacji. Wcale nie wierzył w coś takiego jak reinkarnacja. Ale w najgłębszych zakamarkach pamięci usłyszał ostatnie słowa żony: „Ja... na pewno... odrodzę się gdzieś na tym świecie. Szukaj mnie... znajdź mnie. Obiecuj, obiecuj...”.

Isobe spojrzał w swoją zmęczoną twarz starego człowieka, odbitą w szybie. Głowa przyprószona siwizną, policzki w plamach. Podobnie jak inni japońscy mężowie, wstydił się odpowiadać czule

na słowa żony. Mimo że się wstydził, to jednak wierzył, że ona zrozumiałaby wszystko dzięki tej podróży do Indii. „To dlatego wybrałem się na tę wycieczkę” – pomyślał w duchu i upewnił się, że w kieszonce na piersi ma wciąż list, który otrzymał z Ameryki.

Co do Mitsuko – nieruchoma, cały czas wpatrywała się intensywnie w gęstą ciemność za oknem. W czarną ciemność, która składała się z wielu warstw ciemności, tworząc wielowarstwowy mrok. Ten mrok w buddyzmie nazywa się światem niewiedzy. Czy kiedykolwiek przedtem widziała taką ciemność? „Wkraczamy właśnie w niezwykle świat” – powiedział Enami. Tak, to prawda. Teresa Desqueyroux szeptała to samo po wielokroć. Ten las w Les Landes, przez który jechała nocą, zostawiwszy męża w Paryżu. Myśląc o Teresie, która podróżowała przez głębokie mroki ludzkiego serca, próbowała zgłębić niepojęte serce kobiety, która podała truciznę dobremu mężowi. Podobnie Mitsuko...

Pomyślała o Ōtsu. Podczas zjazdu koleżeńkiego, gdy wszyscy rozmawiali o swej pracy i dzieciach, ktoś mimochodem powiedział, że Ōtsu mieszka w Waranasi.

Kiguchi, wpatrując się w dżunglę zakrywającą niebo, tak że nie było widać ani księżyca, ani gwiazd, myślał o dżungli w Birmie. O dżungli, przez którą wycofywali się, pokonani, uciekając przed wojskami angielskimi i indyjskimi Gurkami.

– Panie Numada – Enami odwrócił się za siebie. – To właśnie tutaj jest rezerwat ptaków. Jak pan widzi, po obu stronach jest las.

Jechali jeszcze jakiś czas przez mroczny tunel drzew, aż nagle w dali zamajaczył punkt światła. Takie światełko na końcu ciemnego tunelu widzą ludzie na progu śmierci, a podobne jest do migającego daleko w mroku i stopniowo powiększającego się blasku świetlika.

– Proszę państwa, dojeżdżamy – Enami usiadł wygodniej w fotelu i podniósł mikrofon do ust. – Już widać światła Waranasi.

Pasażerowie przysunęli twarze do szyb. Minęły trzy godziny od czasu, kiedy z samolotu przesiedli się do tego rozpadającego się autobusu. Wszyscy pasażerowie wstępowali teraz w obszar niezwykłej krainy, o której mówił Enami. Naruse Mitsuko porównywała swoje przeżycia z podróżą w ciemną noc Teresy Desqueyroux, a Kiguchi przeżywał ucieczkę przez koszmarną dżunglę w Birnie, Isobe wsłuchiwał się w głos żony, który wciąż się w nim odzywał.

Światelka migocące niby świetliki stopniowo rozchyłały swe ramiona. Przestrzeń światła odbijała się na tle nieba. Mitsuko pomyślała, że w jednym z tych punktów świetlnych mieszka Ōtsu, prowadząc życie całkiem inne niż ona. Dlaczego myśli o Ōtsu teraz niepokoją tak samo jak dawniej? Nie mogła tego zrozumieć. Istnienie Ōtsu zawisło gdzieś w sercu Mitsuko jak owad, który wpadł w sieć pajęczą. *Nie ma sensu spotykać się.* – wciąż powtarzała sobie. *Nawet przybywszy do Waranasi, nie będę cię szukać.*

Siedzący za nią Isobe nagle przypomniał sobie pewien wieczór, spędzony z żoną. Wrócił z firmy, wykąpał się, usiadł wygodnie i odpoczywał, pijąc sake i zagryzając gotowanym tōfu.

– Gdy jesz japońskie potrawy, widać, że naprawdę bardzo je lubisz. – Żona postawiła przed nim miseczkę i roześmiała się. – Godne podziwu, że wytrzymałeś życie kawalerskie w Ameryce.

– Na studiach byłem dobry z angielskiego. W młodości smakowała mi whisky. Ale z upływem lat stałem się zwolennikiem japońskiej sake.

– Jesteś Japończykiem do szpiku kości.

– No pewnie. Jeśli pierwszy umrę, polej mój nagrobek japońską sake. I koniecznie wytrawną.

Ta zapomniana rozmowa nagle powróciła, wywołując ukłucie w sercu.

I oto... jestem tu, na stare lata, ja, który nie znoszę obcych potraw, czy widzisz? Przyjechałem aż do Indii. Prawą rękę przyłożył do kieszeni, sprawdzając czy jest tam drugi list z Uniwersytetu Virginia, jakby był rzeczą tak ważną jak paszport. List ten czytał już wielokrotnie, a teraz przechowywał w wewnętrznej kieszeni marynarki. Jego podróż do Indii była wynikiem tego wszystkiego, czego się dowiedział z listu podpisanego przez Johna Osisa, który przysłał mu pierwszą uprzejmą odpowiedź.

„Jeśli mnie pamięć nie myli, prosił mnie Pan, aby Go powiadomić, gdy pojawi się dziecko, które w pierwszym wcieleniu było Japończykiem. Niestety, nasz instytut zanotował tylko przypadek wspomnianej wcześniej dziewczynki z Nathal w centralnej Birmie o nazwisku Ma Tin Aung Myo (ona twierdzi, że w poprzednim życiu była japońskim żołnierzem, który został zastrzelony z broni maszynowej z myśliwca Grumman.) Ale dwa miesiące temu mieliśmy wiadomość o młodej kobiecie ze wsi Kamlodzi w północnych Indiach, która utrzymuje, że poprzednie życie przeżyła jako Japonka. Nie włączyliśmy jej do programu naszych badań nad poprzednim życiem, ponieważ wyznanie to uczyniła wobec swego rodzeństwa, gdy miała już cztery lata, a więc przekroczyła trzyletni limit uznawany przez nas jako warunek. Sądząc jednak, że może to Pana zainteresować, na wszelki wypadek, zgodnie z Pana życzeniem, przesyłam informację na ten temat. Nazywa się Radżini Puniral, a Kamlodzi – wieś, w której się urodziła, znajduje się w pobliżu Waranasi na brzegach Gangesu”.

Droga była kiepska, więc autobus wciąż podskakiwał na wybojach. Tu i ówdzie błyszczały kałuże wody, jakby niedawno padał deszcz. Docierał do nich i stopniowo wzmagał się zgiełk miasta, mijały ich riksze i samochody z prawej i lewej strony. Coraz to pojawiały się też wychudłe krowy, chodzące swobodnie po

ulicach, jak w każdym miasteczku indyjskim. Sklepy w barakach. Gołe żarówki zwisające z drzew, a pod nimi mężczyźni pijący herbatę. Autobus ominął centrum miasta, objeżdżając je na północ od dworca Cantonment. W końcu ukazał się budynek okazałej rezydencji, otoczony dużym, gęsto zarośniętym ogrodem. Był to Hotel de Paris, w którym Japończycy mieli spędzić noc.

Dwaj boye w białych, spranych mundurkach o sztywnych kołnierzykach wybiegli z hotelu. Podróżni, zmęczeni długą jazdą z Delhi, opadli ciężko w fotele stojące w hallu, kręcili głowami dla rozprostowania karku i ziewali, czekając aż Enami wszystkich zamelduje.

– Teraz przekażę państwu klucze do pokoi i paszporty. Bagaze służący dostarczą później do państwa pokoi.

Mitsuko idąc po schodach razem z Isobem dziwiła się, że hotel jest tak staromodny i dość zniszczony, a przecież ma tak wspaniały ogród.

– Ten hotel jest taki staromodny.

Mimo że się znali, ani w Delhi, ani w samolocie nie mieli okazji rozmawiać, być może dlatego, że z jakiegoś powodu Mitsuko starała się go unikać.

– Gdy Brytyjczycy tu rządzą – odpowiedział Isobe – w tym budynku na pewno mieścił się Klub Brytyjski. Tak podaje przewodnik. W każdym razie to nie jest czwarto- czy pięciorzędny hotel. Ale nie należy też do klasy A. – Zatrzymał się i popatrzył na Mitsuko uważnie.

– Czy pani od razu uda się na spoczynek? Ja wezmę prysznic, a potem zamierzam trochę się ochłodzić w ogrodzie. Ten ogród, zdaje się, jest najlepszą stroną tego hotelu.

– Może przyłączę się do pana. Ale najpierw też chciałabym się odświeżyć.

Ich pokoje były na tym samym piętrze, ale dość oddalone od siebie. Gdy otworzyła drzwi do pokoju, przyznała rację Isobemu: hotel należał raczej do klasy B. Szerniała wanna, łańcuszek zatyczki urwany, przy łóżku nie było lampki. Biorąc prysznic, czuła, jak zmęczenie uchodzi z niej i spływa z wodą. Z walizki wyjęła koniak, który kupiła na lotnisku Narita i pociągnęła spory łyk z butelki.

Wzięła butelkę koniaku i papierowe kubki i zeszła schodami do ogrodu, gdzie wciąż bzyczały owady. Stało tam kilka plecionych krzeseł, a wokół rozchodził się zapach drzew. Mistuko pełną piersią wdychała tę woń, przekonana, że jest to aromat Indii. Nagle usłyszała skrzypienie huśtawki, odwróciła się w tamtą stronę i ujrzała huśtającego się Isobego. Jakoś smętnie wyglądała sylwetka dużego mężczyzny, samotnie kołyszącego się to w jedną, to w drugą stronę.

– Napije się pan? – pokazała mu butelkę napoleona.

Isobe zwrócił się w jej stronę uradowany.

– Ach, co my tu mamy?

– Wiem, że pan wolałby sake?

– Kto pani powiedział?

– Pańska żona. Pielęgniarki plotkowały, że czuła się najlepiej w te dni, kiedy o panu opowiadała.

– Wysłuchiwanie bezsensownej paplaniny było kłopotliwe zarówno dla pani, jak i pielęgniarek. Dobrze, napije się, skoro pani przyniosła. W autobusie miałem ochotę na alkohol, ale kiedy w recepcji zapytałem, powiedzieli, że restauracja i bar są już zamknięte o tej porze.

Zmrużył oczy smakując płyn, który mu wlała do papierowego kubka.

– Jednak co dobre to dobre, nie musi być sake. To znakomite – szepnął Isobe. – Muszę przyznać, że nigdy nawet nie podejrzewałem, kiedy żona żyła, że znów panią spotkam, a w dodatku w Indiach. Naprawdę, życie jest pełne niespodzianek.

W słowach Isobego wyczuła głęboką prawdę. Tak wielu rzeczy w życiu nie można przewidzieć ani zrozumieć. Przecież sama dobrze nie wiedziała, dlaczego zapragnęła jechać do Indii. Od czasu do czasu wydawało jej się, że życiem kieruje jakaś siła, niewidoczna dla oczu, nie własna wola.

– Dlaczego pani przyjechała do Indii?

– Dziwi to pana?

– Nie o to chodzi, po prostu kobiety raczej wybierają Włochy albo Portugalię.

– Nie jestem tak młoda, żeby pociągały mnie Via Appia czy fados. A pan, dlaczego pan wybrał się na tę wycieczkę?

Isobe oderwał wargi od kubeczka i zrobił minę tak zawstydzoną, jakby był małym chłopcem.

– Czy odbywa pan pielgrzymkę do świętych miejsc buddyzmu?

Mitsuko zapytała w ten sposób, bo większość uczestników wycieczki miała zamiar podążać śladami buddyzmu w Indiach, wśród uczestników byli też kapłani z żonami.

– Nie, nie o to chodzi. – Isobe zawahał się, a następnie jakby podjął decyzję: – Może jednak wyznam to pani, która do końca pielęgnowała żonę w chorobie. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej dwie koperty, które były tak pogniecione, że dowodziły iż Isobe czytał już wielokrotnie te listy. – Proszę przeczytać.

– Naprawdę mam przeczytać?

W świetle latarni ogrodowej Mitsuko przebiegła wzrokiem listy. Oboje milczeli – tym głośniejsz rozbrzmiewało bzyczenie owadów.

– Wtedy pańska żona o coś mnie spytała.

– O co?

– Czy kiedy człowiek umrze, pytała, może znów się odrodzić?

– Pytała o to, naprawdę?

– Był sobotni wieczór i właśnie sprzątałam po kolacji.

– Ale... co pani odpowiedziała?

– Udałam, że nie słyszę. Nie wiedziałam, co mam jej odpowiedzieć.

To było kłamstwo. Jeszcze dziś pamięta, co się działo w sali chorej tego wieczoru. Zrozumiała od razu, aż do bólu, dlaczego żona Isobego zadała jej to pytanie. W jej głosie kryło się pragnienie ponownego spotkania z mężem, nawet po śmierci.

Mitsuko zbierała talerze po posiłku i składała je na tacę. To pytanie Keiko rozbudziło w niej coś, co jak drzazga boleśnie utkwilo w sercu Mitsuko. Czula niechęć do sentymentalnych uczuć, jakimi żona darzyła męża.

– Odrodzić się? Ja nie wiem – powoli powiedziała do siebie oddzielając słowo od słowa. – Łatwiej jest sądzić, że po śmierci wszystko się kończy, aniżeli uważać, że można z całym bagażem przeszłości iść w nowe życie pośmiertne.

Pamięta, jak twarz żony Isobego skrzywiła się z bólu.

– Czy mogę jeszcze prosić? – Isobe podał papierowy kubeczek, jakby chcąc otrząsnąć się z uczuć, jakie wezbrały w jego piersi. Mitsuko podała mu butelkę z koniakiem.

– Więc pan pojedzie szukać jej do tej wioski?

– Tak.

– Czy pan wierzy w reinkarnację, tak jak hindusi?

– Nie wiem. Do śmierci żony nigdy mnie nie obchodziło, co będzie po śmierci. A dzień przed ostatnim tchnieniem, powiedziała coś... co tak zapadło mi w serce, że mnie nie opuszcza. To określiło sposób mego życia. Pewnie jestem głupcem, ale są sprawy w życiu, których nie rozumiem.

Huśtawka nadal kołysała się ze skrzypieniem, choć Isobe z niej zsiadł. Tak samo słowa żony poruszały jego serce, choć umarła. Nawet gdy coś się kończy w naszym życiu, nie oznacza to, że wszystko całkowicie wygasa.

– To śmieszne, prawda, że taki stary mężczyzna przyjechał do Indii w poszukiwaniu skarbu.

– Wcale nie jest śmieszne, możliwe że ja również przyjechałam do Indii w poszukiwaniu czegoś.

– A czego pani tu poszukuje?

– Jeszcze sama tego nie wiem. Ale mój przyjaciel z okresu studiów mieszka w Waranasi. Dokładnie nie wiem, w której części miasta. Możliwe, że chęć odszukania go jest jednym z powodów mojego przyjazdu.

Isobe chyba uwierzył w słowa Mitsuko.

– Dziękuję za poczęstunek. Bardzo mi pomogło. Przede mną następny dzień, stary człowiek musi wcześniej kłaść się spać.

Isobe wrócił do hotelu, a Mitsuko pozostała w ogrodzie, w którym nadal hałasowały owady i nadal skrzypiała huśtawka. Noce w Indiach są chłodniejsze niż się spodziewała, może nie tyle chłodniejsze, co bardziej samotne.

Wzięła dwie pigułki nasenne, położyła się na twardym łóżku i zirytowana ciemnym światłem, czytała książkę *Student w Indiach* – czekała na sen.

W książce było sporo zdjęć, ale ją najbardziej zainteresowały fotografie bogiń związanych z Śiwą. Te boginie całkowicie różnią się od europejskich wizerunków Matki Boskiej – jedne jechały na bawole i przebijały demony, podczas gdy inne wyrażały okrucieństwo bogini Kali, która z wysuniętym, długim jak u węża językiem deptała swego męża, Śiwę.

Dwa dni wcześniej w Delhi Mitsuko uważnie przyjrzała się obrazom bogini Kali w Muzeum Narodowym. Inni turyści z Japonii na pewno spali, ponieważ ogród i korytarze w hotelu pogrążone były w ciszy. Z jednej ze stron wpatrywała się w Mitsuko, wzrokiem miękkim i łagodnym, boginka Kali z rozpostartymi rękoma. Jej wargi – może to tylko złudzenie – były zaokrąglone w uśmiechu. Na kolejnej fotografii ta uśmiechająca się Kali wypijała gorącą krew zakrwawionego demona Raktavidźa. Trzymała w górze świeżo uciętą głowę, a krew skąpy wała na jej usta, z których wystawał długi język.

Mitsuko porównywała te dwa zdjęcia z obrazami, które widziała w muzeum i czuła, że to ją przedstawiają oba wizerunki. Wcześniej tego wieczora powiedziała do Isobego: „Możliwe, że ja również przyjechałam do Indii w poszukiwaniu czegoś”. Czyżby tym, którego szukała, był ów nieudacznik Ōtsu? Czy też, jak Teresa Desqueyroux, szukała czegoś w głębi swego serca?

Pigułki nasenne powoli mąciły jej umysł. Podniosła się z łóżka, podeszła do drzwi, zgasiła światło i wróciła do łóżka. Wpatrywała się w wielowarstwową ciemność. W szpitalu, w którym pracowała społecznie, zawsze paliło się jakieś światelko, choćby latarka pielęgniarki, służąca do oświetlania twarzy pacjentów. A ciemność w tym kraju, to ciemność bez żadnego światła – to ciemność ducha. Mitsuko potrafi zrozumieć początek duchowego mroku. Jako

kobieta, w której wygasł płomień namiętności. Jako kobieta pokroju Teresy Desqueyroux.

Spała prawie dwie godziny. W ciemności słyszała głos podobny do trzepotania ptasich skrzydeł. Sięgnęła ręką i zaczęła szukać na stoliku przy łóżku lampki, i wtedy oprzytomniała. W tym starym hotelu nie ma lampek przy łóżkach.

Nagle poczuła strach. Skończyła lekturę *Studenta w Indiach* na scenie, jak autor, ucząc się w pokoju, usłyszał syczący odgłos za oknem, jakby ktoś zamiatał ogród, a po chwili usłyszał ten sam głos w kącie swego pokoju, odwrócił się i zobaczył czarną jak noc kobrę, gotową do ataku.

Od strony ściany nadal dochodziło natarczywe trzepotanie ptasich skrzydeł. Żeby zapalić światło, musi podejść do drzwi. A jeśli po drodze zaatakuje ją kobra?

Mitsuko zerwała się z łóżka. Niezdecydowanie nie leżało w jej naturze. Dotykając ręką ściany po przeciwnej stronie, szukała włącznika światła. W końcu go odnalazła. Gdy zapaliła światło, ujrzała wielką dziurę w ścianie. Oderwany kawałek tapety, zakrywający dotąd dziurę, łopotał na wietrze. Roześmiała się przyznając, że jest to sytuacja typowa dla hoteli indyjskich.

Nadal z grymasem uśmiechu na twarzy Mitsuko usiadła na niewygodnym krześle barwy persimony i wyciągnęła rękę po torebkę. Po przebudzeniu upływa zwykle trochę czasu, nim przyjdzie znów senność. Z torby wyjęła brązową papierową torebkę i postawiła ją na stole. W tej torebce trzymała listy od Ōtsu. Dlaczego zabrała je ze sobą, sama się dziwiła i nie mogła tego zrozumieć. Ōtsu nie miał żadnego uroku jako mężczyzna, nie miał w sobie niczego, co mogłoby poruszyć jej serce; raczej budził jej niechęć i lekceważenie. Ale był też człowiekiem żyjącym w odrębnym świecie, dalekim od

świata Mitsuko i jej znajomych, kimś całkowicie oddanym swojej Cebuli.

Chociaż w głębi serca Mitsuko odrzuciła wszystko, co reprezentował Ōtsu, nie potrafiła zachować całkowitej obojętności wobec niego. Nie wiadomo dlaczego trwał w jej pamięci, mimo że starała się go stamtąd usunąć, jak gumką ściera się ołówek z papieru.

A teraz te jego listy pisane nieporadnymi znakami, zupełnie jakby przez ucznia szkoły podstawowej. Przyznaje, że z obowiązku odpowiedziała na jeden, czy dwa, ale dlaczego przechowywała je tak pieczołowicie – nie wiedziała, zmuszało ją do tego coś, co wykraczało poza jej rozum. Można rzec, że to coś bez udziału jej woli przywiodło ją tu, do Waranasi, gdzie mieszkał teraz Ōtsu. Wlewając resztkę brązowego płynu do ust, przypominała go sobie jak przez mgłę i wyszeptwała do siebie: „Jesteś głupia. To głupota. Jaki to ma sens?”.

Tekst napisanego naprędce listu Mitsuko

Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku. Te życzenia wysyłam pod adresem, który mi dałeś, kiedy przed czterema laty spotkaliśmy się w Lyonie, ale czy nadal mieszkasz w Fourviere? Ja z pewnych powodów rozwiodłam się. Teraz mieszkam w domu rodziców. Powód rozwodu? W końcu roku przypadkowo przeczytałam *Dziennik horacjański* Fukudy Tsuneariego i znalazłam tam słowa, wyrażające istotę mojej natury: „Nie potrafię nikogo szczerze pokochać. Nigdy nikogo nie kochałem. Jak taki człowiek ma potwierdzić swoje istnienie na tym świecie?”. To było, ostatecznie, powodem mojego rozwodu. A Ty, czy nadal wierzysz, że Twoja Cebula wykorzystuje dla dobra każdą okazję, nawet grzeszne czyny?

Odpowiedź Ōtsu do Mitsuko

Właśnie dostałem Twój list, który szedł okreśną drogą przez Lyon. Jak widzisz z adresu na kopercie, nie mieszkam już w Lyonie, lecz w Ardeche w południowej Francji, gdzie codziennie z zapamiętaniem pracuję we wspólnocie religijnej. Są to dzikie tereny, otoczone skalnymi górami. Ostatnio wykonuję ciężkie prace fizyczne, między innymi w polu.

Dlaczego się tu znalazłem? Zapewne przyczyna była podobna do przyczyny Twojego rozvodu, o czym pisałaś. Po prostu zakonnicy w Lyonie uznali, że nie byłem jeszcze odpowiednio przygotowany na to, by zostać księdzem, i odłożyli na później ceremonię wyświęcenia. Jest coś heretyckiego w mojej naturze. Kiedyś w Lyonie zażartowałaś, mówiąc, że i tak mam szczęście, że mnie nie ekskomunikowano. Po prawie pięciu latach życia w obcym kraju wciąż się nie mogę nadziwić, jak bardzo klasyczne i logiczne jest myślenie w Europie, a mnie, człowiekowi Orientu, wydaje się, że przez tę nadmierną klarowność i logiczność tracą oni z pola widzenia coś istotnego, i w żaden sposób nie mogę za nimi nadażyć. Ta przejrzysta logika i ten sposób wyjaśniania wszystkiego za pomocą konkretnych terminów nierzadko sprawiały mi nawet ból.

Dzieje się tak, bo nie jestem dość bystry i dość wykształcony, aby zrozumieć ich niezwykłą umiejętność porządkowania rzeczy i świata, ale przede wszystkim dlatego, że moja japońska wrażliwość uniemożliwia mi poczucie harmonii w kontakcie z europejskim chrześcijaństwem. W każdym razie wiara Europejczyków jest racjonalna, ponieważ oni odrzucają wszystko, czego nie mogą uporządkować za pomocą rozumu i świadomego umysłu. Przez pięć lat zarówno w moim codziennym życiu, jak i podczas studiowania teologii, a nawet pielgrzymek do Ziemi Świętej w towarzystwie starszych duchownych, wciąż się bałem, że coś robię źle i czułem się samotny. To między innymi dlatego tak nędznie wyglądałem nad Saoną w Lyonie. Przepraszam za to.

W seminarium duchownym najbardziej krytycznie odnoszono się do uczuć panteistycznych, jakie nieświadomie – jak twierdzono – przejawiam. Jako Japończyk nie mogłem znieść lekceważenia wszelkiej siły życiowej istniejącej w naturze. Jakkolwiek przejrzyste i logiczne – jest w europejskim chrześcijaństwie przyporządkowanie miejscu i randze wszystkich istot żywych. Oni nigdy chyba nie zdołają zrozumieć takiego oto wiersza Bashō:

Patrzę uważnie -
pod płotem już zakwitły
kwiaty tasznika

Niekiedy oczywiście mówią tak, jakby uważali, że siła, która sprawia że tasznik zakwita, jest tą samą siłą, która daje człowiekowi życie, ale w istocie wcale nie myślą, że są one identyczne.

„Co więc jest Bogiem dla ciebie?” – pytali mnie trzej przełożeni w nowicjacie, a ja bezmyślnie odpowiedziałem: „Nie sądzę, że Bóg jest istotą, na którą trzeba patrzeć, podnosząc głowę w górę, że istnieje poza światem ludzi, tak jak wy sądzicie. On po prostu jest w człowieku i jest wielką siłą, która przepelnia człowieka, drzewa, trawy i kwiaty”.

„Czyż nie jest to pogląd panteistyczny?”.

Następnie, posługując się aż nazbyt klarowną logiką scholastyczną, we trzech rzucili się z pazurami na wady mojego niechlujnego myślenia. To tylko jeden przykład. A przecież dla mnie, człowieka Wschodu, jest czymś niemożliwym tak ostre klasyfikowanie i osądzanie rzeczy w taki sposób, jak to oni czynią.

”Bóg dla naszego zbawienia wykorzystuje nie tylko nasze dobre czyny, lecz także grzechy”.

Tego dnia, kiedy staliśmy oparci o balustradę nad rzeką Saoną, a wieczorne słońce oświetlało barki płynące w dół i w górę rzeki,

odkryłem przed tobą te same szczere uczucia, które wywołały mój komentarz w odpowiedzi na pytania przełożonych. A Ty wtedy odpowiedziałaś tak wspaniale: „Czy to naprawdę chrześcijański sposób myślenia?”.

Skrytykowano mnie za ten sposób myślenia i powiedziano, że moje poglądy są niebezpiecznie jansenistyczne lub manichejskie (krótko mówiąc, heretyckie).

I tak, z tych czy innych powodów, wyświęcenie na kapłana zostało odłożone. Mimo to nie utraciłem wiary.

Od wczesnej młodości, dzięki mojej mamie, mogłem wierzyć tylko w jedno, a mianowicie w ciepło matki. Ciepło matczynej ręki, ciepło jej ciała. Gdy mnie tuliła, czułem ciepło miłości, ciepło, które broniło mnie przed odrzuceniem, mimo że byłem naiwny czy wręcz głupi w porównaniu z rodzeństwem. Matka zawsze mi opowiadała o tym, którego Ty nazywasz teraz Cebulą i nauczyła mnie, że to On jest siłą sprawczą tego ciepła, innymi słowy jest samą miłością. Podrosłem i straciłem matkę. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to, co było źródłem ciepła mojej matki, było też częścią miłości mojej Cebuli. W rezultacie to, czego szukałem, nie było niczym innym jak miłością Boga, nie jedną z wielu doktryn głoszonych przez różne Kościoły. (To oczywiście było jeszcze jedną z przyczyn potraktowania mnie jako heretyka). Miłość, jak myślę, jest istotą tego świata, i myślę, że w trakcie długiej historii ludzkości Bóg przekazał nam jedynie miłość. To właśnie miłości najbardziej nam brakuje we współczesnym świecie, to w miłość nikt już nie wierzy, to z miłości wszyscy się dziś naśmiewają. I dlatego taki człowiek jak ja pragnie podążać za Bogiem z naiwną szczerością.

Wierzę w istnienie Boga, który dla miłości znosił prawdziwe cierpienia i objawiał człowiekowi miłość. Wydaje mi się, że z upływem czasu ta wiara umacniała się we mnie. Nie potrafiłem więc dostosować się do myślenia właściwego teologii chrześcijańskiej, ale gdy cierpię w samotności, wyczuwam obecność mojej Cebuli, która

się uśmiecha, która zna wszystkie moje cierpienia. I tak jak powiedział uczniom wędrującym do Emmaus, idąc obok nich, tak samo rzekł do mnie: „Idź tedy ze mną, jestem z tobą”.

Niekiedy nocą, po skończonej pracy, patrzę na gwiazdy błyszczące ponad winnicami i odczuwam przerażenie na myśl o tym, dokąd On mnie prowadzi.

Mitsuko pamięta, gdzie czytała ten list nabazgrany pismem ucznia szkoły podstawowej. Była wtedy w szpitalnej sali. Po rozwodzie otrzymała pieniądze od ojca i założyła butik w Harajuku. Pomógł jej również mąż, z którym się rozstała, i dzięki temu mogła zaopatrzyć sklep w ubrania i galanterię ze słynnej paryskiej firmy. Kilka razy w tygodniu pracowała społecznie w wielkim prywatnym szpitalu, znajdującym się na tyłach Świątyni Togo. Była to spontaniczna decyzja. Wówczas myślała, że stan jej ducha najlepiej wyrażają takie oto słowa, zapisane w *Dzienniku horacjańskim* Fukudy Tsuneariego: „Nie potrafię szczerze kochać nikogo. Nigdy nikogo nie kochałem. Jak taki człowiek ma potwierdzić swoje istnienie na tym świecie?”. W rezultacie takich przewrotnych uczuć rozpoczęła pracę społeczną w szpitalu. Nie dlatego, by miłość się w niej wypaliła. Należała do kobiet, w których iskra miłości nigdy nie zapłonęła. Wielokrotnie dawała pokaz imitacji miłości w kontaktach z mężczyznami, ale prawdziwy ogień nigdy się w niej nie rozpałił. Kiedy myła baseny pacjentów, kiedy podawała posiłki, Mitsuko zastanawiała się nad swoją śmieszną sytuacją. Właśnie w tym okresie dostała list od Ōtsu, Lecz wcale mu nie zazdrościła. Raczej czuła się zraniona jego słowami. Wysłała mu odpowiedź na kartce pocztowej. Pamięta, że było to zdjęcie obrazu Muncha. Przedstawiało twarz samotnego mężczyzny. Co mu napisała, nie pamięta, lecz nie ma wątpliwości, że celowo wybrała tę pocztówkę, aby zranić Ōtsu.

List Ōtsu do Mitsuko

Dziękuję bardzo za wiadomości. Kiedy przyglądałem się pocztówce, którą mi przysłałaś, wyczułem, jak jesteś samotna. Ale moja Cebula, która jest obok mnie, jest także przy Tobie. Tylko Cebula może zrozumieć Twoje cierpienia i Twoją samotność. Pewnego dnia zaprowadzi Cię do innego świata. Kiedy to będzie i jak się dokona, tego my nie wiemy. Wykorzysta wszystkie środki. Jak czarownik przekształci Twoje „imitacje miłości” i Twoje „noce, o których nie możesz nawet mówić” (choć nie mam pojęcia, co rozumiesz przez te słowa).

Chinina wywołuje wysoką gorączkę, jeśli zażyje ją ktoś zdrowy, ale staje się nieodzownym lekiem dla chorych na malarię. Myślę, że grzech jest czymś takim jak chinina.

Na pewno Cię zaskoczyłem, pisząc ni stąd, ni zowąd o chininie. Dowiedziałem się o niej od żydowskiego lekarza tutaj, w Izraelu, w kibucu nad Jeziorem Galilejskim. Jezioro Galilejskie jest piękniejsze niż to sobie wyobrażałem, ale powiedziano mi, że w dawnych czasach był to rejon epidemiczny, gdzie dużo ludzi chorowało na malarię. W Biblii są opowieści o cudach, jakich On dokonywał, lecząc chorych na wysoką gorączkę, i wydaje się, że chodzi tu o chorych na malarię.

Jeszcze nie mogę zostać kapłanem. W opinii eklezjastycznych wychowawców w seminarium jeszcze brakuje mi cechy posłuszeństwa, niezbędnej, żeby zostać kapłanem, a ponadto, że straciłem z oczu konieczne zasady wiodące do prawdziwej wiary. Twierdzą, że brak mi posłuszeństwa i nie ma we mnie prawdziwej wiary, dlatego że w dalszym ciągu powtarzam, w tym, co piszę i mówię, że nie sądzę, by tylko europejskie chrześcijaństwo było wiarą absolutną.

Teraz trochę żałuję, że tak głupio wypowiadałem się przed braćmi Kościoła. Ale to chyba całkowicie naturalne, iż wielu wybiera Boga, w którego wierzy, na podstawie kultury i tradycji, a także

klimatu kraju ich narodzin. Myślę też, że Europejczycy wybrali chrześcijaństwo dlatego, że było ono wiarą ich przodków i że kultura chrześcijańska miała duże wpływy w ich kraju. Nie można jednak powiedzieć, że ludzie Bliskiego i Środkowego Wschodu przyjęli islam, a wielu mieszkańców Indii zostało hinduistami wskutek przeprowadzenia rygorystycznego porównania tych religii z wierzeniami innych ludów. W moim przypadku był to wpływ wyjątkowych warunków, w jakich dzięki mojej matce wyrosłem.

Przed laty nie dawałaś mi spokoju, pytając: „Dlaczego wierzysz w Boga?”, ale ja nie potrafiłem odpowiedzieć, ponieważ nie z własnej woli wybrałem tę religię. Ale teraz tego rodzaju pytania, wciąż mi przychodzą do głowy.

„Czyż nie sądzisz, że to łaska i miłość Boża sprawiły, iż urodziłeś się w takiej rodzinie?” – spytał mój duchowy nauczyciel w seminarium.

A ja odpowiedziałem:

„Tak myślę! Ale czy to oznacza, że ludzie, którzy nie urodzili się w takich domach, przyjmują inną religię, ponieważ nie otrzymują łaski Bożej?”.

Powiedziałem to bez złych intencji, lecz moja odpowiedź zraniła tego człowieka, który był ukształtowany według wzorców myślenia chrześcijańskiego. Wystawiłem się na surową krytykę podczas egzaminu ustnego, gdy powiedziałem: „Bóg ma wiele twarzy. Nie sądzę, że Bóg istnieje tylko w kościołach i kaplicach Europy. Myślę, że jest on również pośród żydów, buddystów i hinduistów”. Było to szczerze wyznanie tego, w co zacząłem powoli wierzyć po przyjeździe do Europy, ale dla moich nauczycieli zabrzmiało to jak całkowita negacja kościoła chrześcijańskiego.

„To błędne myślenie, wypływające z panteistycznych złudzeń” – otrzymałem surową reprimendę, więc odpowiedziałem pytaniem: „Czy w chrześcijaństwie nie ma elementów panteistycznych? W

seminarium duchownym uczono mnie, że monoteizm chrześcijaństwa jest w bezpośredniej opozycji do panteizmu, lecz jako Japończyk wierzę, iż chrześcijaństwo mogło się tak rozpowszechnić dlatego, że zawiera w sobie tak wiele różnorodnych elementów”.

„Powiedz nam, co to są za elementy”.

„Kiedy byliśmy z pielgrzymką w katedrze w Chartres, czytałem w książkach, że ludność tego okręgu podniosła wiarę w swe lokalne bóstwo Matki Ziemi do rangi kultu Matki Boskiej. To znaczy... myślę, że ich chrześcijaństwo rozwinęło się na korzeniach wiary lokalnej w Matkę Ziemię. W XVI i XVII wieku wielu Japończyków przeszło na chrześcijaństwo, ale ich wiara różniła się od europejskiej”.

„Na czym polegała różnica?”.

„W ich wierze kryły się elementy buddyjskie oraz takie, które są teraz krytykowane jako panteistyczne”.

Nauczyciele zamilkli, ale w ich milczeniu wyraźnie czułem dezaprobatę.

„Wobec tego gdzie stawiasz granicę między ortodoksją a herezją?”.

„Nie żyjemy w średniowieczu, lecz w czasach, które zmuszają nas do dialogu z innymi religiami”.

„Naturalnie, Watykan uznaje tę potrzebę”.

„Ale chrześcijaństwo nie uznaje innych religii jako równych sobie”.

W tym momencie, doprowadzony do ostateczności, zdecydowałem się wyrzucić z siebie wszystko.

„Pewien uczony europejski kiedyś zauważył, że szlachetni ludzie innych religii są właściwie chrześcijanami prowadzącymi

pojazdy bez prawa jazdy, ale przecież trudno to nazwać dialogiem między równymi sobie partnerami. Myślę, że prawdziwy dialog można prowadzić wtedy, kiedy wierzymy, że Bóg ma wiele twarzy, i że istnieje we wszystkich religiach”.

Ich milczenie i chłodne oblicza mówiły mi, że wypowiedziałem coś strasznie głupiego. Było oczywiste, że moi nauczyciele uznali mnie za wyznawcę wysoce niebezpiecznych myśli.

„Wobec tego – pytał rektor seminarium, chcąc mi raczej wskazać drogę ratunku – dlaczego nie wrócisz do buddyzmu? Czy nie byłoby to dla ciebie naturalne nawrócenie?”.

„Nie, chociaż wychowałem się w Japonii, to jednak nie w rodzinie buddyjskiej, lecz podobnie jak tutejsi nauczyciele, w rodzinie chrześcijańskiej. Więc naturalne było dla mnie wybrać spośród wielu twarzy Boga tę samą, którą wy, moi bracia, wybraliście”.

„Wobec tego, co sądzisz o procesie konwersji? Powiedzmy, o buddyście, który staje się chrześcijaninem?”.

„Myślę, że to jest możliwe. W ten sam sposób, w jaki każdy człowiek wybiera odpowiednią osobę płci przeciwnej w celu poślubienia”.

Niech się dzieje, co chce, pomyślałem, ale miałem zarazem nadzieję, że jeśli mój pogląd jest od podstaw fałszywy, to nauczyciele – ludzie, którym ufałem – pomogą mi i wyprowadzą mnie z błędu. Nie uważałem, by hipokryzja i kłamstwo mogły służyć jakimkolwiek celom w moim życiu.

W rezultacie – tego należało się spodziewać – znów nie spełniłem warunków, by zostać księdzem. Mimo to niektórzy z wyższego kleru okazali mi trochę serca i zrobili, co było możliwe, abym mógł pracować i kontynuować naukę w Galilei.

Dobrze wiem, że ta historia dla Ciebie, jako Japonki, jest czymś bardzo nudnym i odległym. Proszę, wybaczyć, że wiedząc o tym, pisałem o tym wszystkim od wieczora do późnej nocy. Jednak bardzo potrzebowałem komuś to opowiedzieć. Podobnie jak ów Mężczyzna w Galilei pragnął własne uczucia opowiedzieć samotnym, chorym i cierpiącym.

Przypuszczam, w swej samotności, że pragnąłem opowiedzieć Ci o tym, bo Ty też jesteś samotna. To żalosne, ale naprawdę czuję się samotny.

Przed klasztorem roztacza się Jezioro Galilejskie. Nazywane ono bywa także Jeziorem Harfy, czyli Kinnaretem; tu Jezus przemawiał do ludu; tu rybak imieniem Piotr z wioski Kafarnaum łowił ryby, a dzisiaj światło księżyca odbija się w tej wodzie. Ten Mężczyzna... nie, ponieważ jesteś Japonką, Naruse-san, na dźwięk Jego imienia na pewno przyjmujesz postawę respektu, ale i dystansu. Jeśli tak, to raczej nazywaj Jezusa imieniem Miłości. Jeśli słowo Miłość budzi w Tobie dreszcz obcości, nazwij Go Ciepłym Życia. Jeśli i tego nie zechcesz uczynić, możesz pozostać przy swojej Cebuli.

Nad Jeziorem Galilejskim najwięcej jest wyznawców judaizmu. Są także chrześcijanie i mahometanie. Ludzie tutaj interesują się mną, ponieważ jestem Japończykiem. Czasem odwiedzam ich kibuce, zapraszają mnie również do domu mahometanie. Odnalazłem tu swoją Cebulę pośród nich. Dlaczego, mimo to, moi bracia pogardzają wyznawcami innych religii, dlaczego noszą w sercach poczucie wyższości wobec innych? Istnienie Cebuli czuję pośród wyznawców judaizmu, jak i islamu. „Cebula” jest wszędzie.

Wszystkie słowa w liście rozbrzmiewały słodkawym głosem Ōtsu. Ta na wskroś osobista historia, a także ignorowanie jej uczuć, mało obchodziły Mitsuko. Religia dla niej była czymś odległym, a poza tym nie interesowało ją życie Ōtsu. Miała dostatecznie dużo

kłopotów z własną samotnością, niewiele więc obchodziła ją jego samotność. Najdotkliwiej odczuwała wyczerpanie się własnej miłości, dlatego też aby wypełnić pustkę po rozwodzie, odnowiła kontakty z dawnymi kolegami ze studiów, a niekiedy z pijącymi po sąsiedzku w barze hotelowym przedsiębiorcami. Ale za każdym razem trafiała na mężczyzn, którzy pazernie szukali przyjemności, chcąc dać upust swemu pożądaniu. I nadal z pustką w oczach, przyglądała się ich ruchom.

Mitsuko rozpoczęła pracę wolontariuszki w szpitalu z pragnienia miłości, ale jednocześnie kultywowała w sobie masochistyczne pragnienie pogrążania się w grę symulowanej miłości. Nie sprawiało jej trudności wysłuchiwanie skarg pacjentów, kierowanie do nich słów pocieszenia, wlewanie łyżką zupy do ust sparaliżowanych, mycie ich basenów i wysłuchiwanie słów wdzięczności. Mitsuko wiedziała, że to, co robi, nie jest podyktowane miłością płynącą z serca, lecz tylko grą.

Oto dlaczego, kiedy Mitsuko obserwowała sylwetkę śpiącej bezbronnej starej kobiety, nagle rodził się w niej jakiś impuls i wtedy zdarzało jej się udawać, że zapomniała zmienić jej pieluchę; to znów nie podawała leków, które powinna była podać. Słyszała wówczas głos tej drugiej Mitsuko. *Przecież ta stara kobieta i tak nie wyzdrowieje, nawet jeśli otrzyma leki. jest już bezużyteczna i jest ciężarem dla rodziny, więc lepiej byłoby skrócić jej cierpienie i pozwolić jak najszybciej umrzeć.*

Ani pielęgniarki ani lekarze nie znali jej dwu twarzy. Widząc Mitsuko, pochłoniętą swą grą, przełożona pielęgniarek rzekła kiedyś: „Jesteś wspaniała!”. Mitsuko przybrała wyraz wielkiej skromności i uśmiechając się, odpowiedziała: „Nic podobnego”. Jej uśmiech przeszedł w chłodny grymas, gdy wyobrazila sobie zdumioną minę pielęgniarki, gdyby ta dowiedziała się, że poprzedniej nocy po wyjściu ze szpitala Mitsuko udała się do pokoju z młodym

przedsiębiorcą, który zaczepił ją na jedenastym piętrze hotelu Imperial.

Ōtsu napisał, że Bóg ma wiele twarzy – nagle pomyślała, gdy kładła się do łóżka z owym mężczyzną. – *Ja też mam wiele twarzy.*

Pewnego wieczoru brała udział w dorocznym spotkaniu kolegów i koleżanek ze studiów. Nie uczestniczyła w poprzednim spotkaniu i po upływie roku zobaczyła, że Kondō i inni koledzy, z którymi bawiła się w czasach studenckich, przyszli w wieczorowych granatowych garniturach, jakie noszą biznesmeni, a jej koleżanki znalazły już sobie odpowiednich mężów.

Rozmawiali – podobnie jak jej mąż, z którym się rozwiodła, i jego przyjaciele – tylko o golfie i samochodach, o niczym więcej. Kobiety natomiast z zapałem opowiadały o pielęgnowaniu niemowląt i przeżyciach związanym z posłaniem dziecka do szkoły podstawowej.

– A ja się rozwiodłam – nagle ogłosiła Mitsuko.

Wszyscy naraz zamilkli, jakby przestraszeni, ale po chwili jedna z koleżanek zapytała:

– Dlaczego? A co się stało?

– W odróżnieniu od was nie potrafiłam być dobrą żoną.

– Ale chyba chciałabyś mieć dziecko.

– Nie, nie chciałabym. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła wydać na świat człowieka takiego jak ja.

Wszyscy myśleli, że Mitsuko żartuje, więc się roześmiali, a Kondō, jakby biorąc jej stronę, powiedział nostalgicznie:

– Ach tak, w tamtych czasach nazywaliśmy ją Mojrą. W Allo-Allo wykpiwaliśmy studenta o nazwisku Ōtsu.

– Podobno został księdzem – wtrącił ktoś dobrze poinformowany. – Pomagam przygotować listę adresową absolwentów. Gdy

zapytałem rodzinę o adres, jego starszy brat wyjaśnił, że Ōtsu jest księdzem i przebywa teraz w klasztorze w Indiach.

– Gdzie w Indiach?

– Jak się to nazywa? Często pojawia się na zdjęciach z Indii. To tam, gdzie wszyscy myją się w Gangesie.

Nikt jednak – włącznie z Mitsuko – nie znał nazwy tej miejscowości, ale też nikt się tym naprawdę nie interesował, z wyjątkiem Mitsuko. Po chwili zmieniono temat i zaczęto rozmawiać o profesjonalnym zawodniku baseballa i o wystroju restauracji w Roppongi, którą jeden z kolegów otworzył.

Gdy Mitsuko wróciła do domu rodziców, od razu sięgnęła do encyklopedii, znajdującej się w bibliotece ojca, i dowiedziała się, że takich miejscowości jest w Indiach kilka, a najsłynniejsza nazywa się Waranasi. W encyklopedii było też zdjęcie hindusów, mężczyzn i kobiet, zanurzonych w wodzie, których ciała osłaniały przepaski biodrowe lub sari.

Rozdział 7

Boginie

Isobe nigdy nie podejrzewał, że będzie kiedyś wspominał przeżyte z żoną lata w pokoju hotelowym w tak egzotycznym kraju. Planując swoje życie zakładał, że to raczej on umrze pierwszy, ale nie zastanawiał się, jak ona potem będzie żyć bez niego. Przypuszczał, że jakoś sobie poradzi, mając pieniądze z ubezpieczenia i własne oszczędności. Wyobrażał sobie podświadomie, że gdy nadejdzie ten czas, wszystko się jakoś samo ułoży. Był tradycjonalistą – dochodził teraz do wniosku – więc nie widział w małżeństwie jakiegoś głębszego sensu, czy wartości.

Czy ja kochałem żonę?

Musiał sobie zadawać to pytanie za każdym razem, kiedy – dręczony straszliwą samotnością i bólem w tej pustce po jej śmierci – oglądał przedmioty, których używała: pałeczki, pościel, ubrania wiszące w szafie. Ale jak większość mężczyzn w Japonii, nigdy poważnie nie zastanawiał się nad tym, co w życiu małżeńskim znaczy „kochać”.

Życie małżeńskie było dla niego podziałem zajęć między dwoje ludzi, którzy troszczą się o siebie i pomagają sobie w kłopotach. Żyli pod jednym dachem i kiedy ulotniło się romantyczne uczucie, pozostał im tylko problem ustalenia, w jaki sposób każde z nich może być pożyteczne i pomocne drugiemu. Nie było szczególnie ważne, jak to się dzieje w wielu innych krajach, by żona była aktywna towarzyszko i atrakcyjna jako kobieta, wspomagając w ten

sposób męża w jego karierze. Uważał, że najważniejszym zadaniem żony jest znosić złe humory męża, który wraca z pracy zdenerwowany i rozdrażniony, i stworzyć mu warunki do odpoczynku.

Pod tym względem Keiko była wzorową żoną. Nigdy nie wtrącała się do jego spraw, zarówno w domu jak i poza domem, i chociaż fizycznie nie była pociągająca, знаła swoje miejsce i nigdy mu w niczym nie przeszkadzała.

– Żona powinna być dla męża jak powietrze dla istot żywych – zauważył kiedyś w przemówieniu, jakie wygłosił podczas bankietu weselnego jednego z młodszych współpracowników. – Jeśli zabraknie ci powietrza, źle z tobą. Jednak powietrze jest niewidoczne. Nigdy nie ingeruje w twoje życie. Jeśli żona będzie takim powietrzem, małżeństwo nigdy się nie rozpadnie. – Rozległ się śmiech od stołu, przy którym siedzieli mężczyźni. Ktoś nawet zaklaskał. – Nic nie szkodzi, jeśli życie małżeńskie przebiega spokojnie, a nawet monotonnie.

Isobe nie mógł wiedzieć, jak żona przyjęła jego wypowiedź, ponieważ siedziała przy stoliku za jego plecami. Ale ponieważ nic nie powiedziała na ten temat, ani w taksówce, gdy nocą wracali do domu, ani po powrocie do domu, Isobe sądził, że jego słowa przyjęła ze zrozumieniem i aprobatą.

Jednak w tym przemówieniu Isobe nie wspomniał o pewnej bardzo ważnej sprawie, a mianowicie, że ta wzorowa, jak mówił, żona wraz z upływem czasu odczuwa coraz większe znużenie. I faktycznie, mniej więcej w okresie wspomnianego wesela, Isobe i jego żona przeżywali pewnego rodzaju znudzenie sobą. Jedną z przyczyn było to, że wiedli oni pospolite, nazbyt monotonne życie. Stali się dla siebie powietrzem, o którym mówił w czasie przyjęcia, żona była już tylko żoną i przestała być dla niego kobietą.

W żadnym wypadku nie myślał, że Keiko jest złą żoną. Ale w tym okresie jego życia, gdy był akurat w kwiecie wieku, jego egoistyczna natura nie domagała się „wzorowej żony” lecz „kobiety”.

Oczywiście, nie miał najmniejszej ochoty na rozwód. Nie był już taki młody i dobrze wiedział, że żony i kobiety niekoniecznie są tym samym. Szczerze mówiąc, kilkakrotnie igrał z ogniem, ale nie doszło do pożaru.

Miał romanse, między innymi z właścicielką włoskiej restauracji na Ginzy, w której jadał służbowe kolacje. Ten lokal naprawdę znakomicie się nadawał do podejmowania klientów, ponieważ oferował zarówno potrawy rodzime, odpowiadające smakowi Japończyków, jak i potrawy włoskie.

Ażeby przyciągnąć gości, właścicielka zawsze starała się wyglądać na młodszą niż była, dzięki odpowiedniemu makijażowi i strojom. Nosiła śmiałe czerwone suknie, związywała włosy czarną wstążką, jak dziewczynka, a jej ręce, kiedy stawiała talerze na bielutkich obrusach przyciągały uwagę wyszukany manikiurem. Zawsze bardzo starannie obsługiwała również nowych gości chcąc, żeby byli z niej zadowoleni.

Ta kobieta interesu, która pod każdym względem była przeciwieństwem Keiko, dawała Isobemu coś, czego nie mógł w tym czasie mieć od żony. Isobe uważał się jej, że ich adoptowana córka, wówczas uczennica szkoły średniej, nie lubi go, nie wiadomo dlaczego.

– Moja córka zachowywała się podobnie – powiedziała śmiejąc się. – W pewnym okresie nie znosiła mojego męża, prawie nie rozmawiała z nim, a nawet starała się go unikać.

– Dlaczego?

– Ponieważ ojciec pije napoje wzmacniające. W tym wieku dzieci mają przed oczyma obraz idealnego ojca, a kiedy bardzo różni się od rzeczywistego, zaczynają go nie lubić.

– A jaki jest idealny ojciec?

– Wysportowany, wysoki i szczupły, a przede wszystkim czuły – roześmiała się głośno. – Po prostu jest papą z amerykańskich filmów. A jej ojciec ma zmęczoną twarz i stojąc na peronie, popija napoje wzmacniające. Ojciec, który w niedzielę nic nie robi, tylko ogląda telewizję, wydaje się młodej dziewczynie zdrajcą.

Jej śmiech był podobny do śmiechu aktorki Tajji Kiwako, często wówczas występującej w telewizji. Nawet z twarzy i figury przypominała tę słynną aktorkę.

– A więc niedobrze jeśli ojciec zażywa środki wzmacniające?

Isobe porównywał swą żonę z tą kobietą, która rzucała mu inteligentne uwagi jak piłkę tenisową. Żona odpowiadałaby na jego pytanie mówiąc: „To dlatego, że jesteś dla niej zbyt oschły. Rozmawiasz z nią jak z chłopcem”.

Isobe bywał w wielu barach z tą kobietą, aż pewnego dnia rozstali się bez żadnych wzajemnych zobowiązań. Mądra kobieta wiedziała, że Isobe nie jest tak lekkomyślny, ażeby porzucić dla niej rodzinę, Isobe zaś, zbliżając się do pięćdziesiątki, doskonale rozumiał, jaki zamęt mógłby wywołać w jego życiu rozwód.

Isobe nie wiedział, czy żona domyślała się jego zdrady. Ani razu o tym nie wspomniała. Nawet jeśli spostrzegła coś, to pewnie udawała, że nie wie o niczym. Po tej przygodzie miłosnej Isobe czuł się trochę winny, ale wcale nie uważał, że naprawdę zdradził żonę. Jeden czy dwa romanse nie mają żadnego znaczenia w małżeństwie. Po prostu żona przestała być dla niego kobietą, podobnie jak nie jest nią siostra. W zamian za to, z upływem lat, powstawały między nimi więzy, powoli i niedostrzegalnie, jak gromadzi się kurz.

Czyżby miłość małżeńska oznaczała istnienie takiej właśnie więzi? Isobe nie myślał wówczas o tym, lecz kiedy żona zachorowała na raka, a lekarz powiedział, jak niewiele zostało jej życia, doznał wielkiego wstrząsu na myśl o utracie towarzyszkę życia. Za oknem

widział szare niebo, z ulicy dobiegał go głos sprzedawcy pieczonych patatów.

A potem te jej słowa, wypowiedziane wśród majaczeń, ostatnie słowa – jej testament. Do tego czasu Isobe nigdy nie widział, by żona wyrażała tak silne uczucia. Mimo że przeżyli z sobą tyle lat, nigdy nie myślał, że głęboko w sercu Keiko chowa jakieś szczególne pragnienia. I wtedy obiecał jej, a ta obietnica stopniowo nabierała poważnego i głębokiego sensu... i tak przybył do tego egzotycznego kraju.

Numada umył się w rdzawej wodzie z prysznicą, włożył świeżą koszulę sportową i beżowe spodnie i zszedł na dół. Było przed siódmą, więc w jadalni siedział tylko jeden gość – Enami, przewodnik wycieczki, który jadł śniadanie, czytając angielskie wydanie gazety.

– Dzień dobry. Są jakieś ciekawe wiadomości?

Numada zupełnie nie orientował się w sytuacji politycznej Indii, ani też się nią nie interesował; czuł, że powinien o to zapytać, ponieważ w leżącej na stole gazecie było zdjęcie premier Indiry Gandhi na całą stronę.

– Jest chyba niespokojnie – odpowiedział Enami, wycierając usta serwetką. – Sikhowie czegoś żądają. Tylko dzięki charyzmie Indiry Gandhi panuje w tym kraju jako taki porządek, a jednak...

– Czy sikhowie to są ci Indusi, którzy mają brody i noszą turbany na głowie? – zapytał Numada, ale właściwie wcale go to nie interesowało. Spojrzał na czerwone kulki leżące na talerzu Enamiego i zapytał: – Co to jest?

– Cebula marynowana w occie.

– Same jarzyny, prawda? Czy pan jest wegetarianinem, Enami-san?

– Na śniadanie jem tylko to i piję rodzaj jogurtu zwany lassi. Lecz kiedy podróżuję z grupą, nie mogąc tego uniknąć, jem mięso jak wszyscy. Mam skłonność do tycia, niestety. Zmieniając temat, proszę mi powiedzieć, czy podobają się panu Indie?

– Z przyjemnością oglądam przyrodę. Wszędzie są tu drzewa baniany, i nietrudno wypatrzeć święte drzewa pipal i udumbara. A dzisiaj rano, gdy się przebudziłem, z ogrodu dobiegał głośny śpiew ptaków. Nie mam więc na co się uskarżać.

– Hindusi sadzą drzewa w miejscach kremacji ciał.

– W Japonii również w tym celu sadzą drzewa wiśni. Wszystkie wiśnie w Yoshino są właściwie nagrobkami. Jest więc głęboki związek między śmiercią a roślinami.

– Naprawdę? Tego nie wiedziałem. Co pan zamówi na śniadanie?

– Wystarczy mi gorąca kawa.

– Lepiej niech pan coś przekąsi, bo przed nami cały dzień zwiedzania. A może te marynowane cebule?

– Hindusi wierzą, że w drzewach tkwi siła życiowa, która powoduje odrodzenie, prawda?

– Tak.

– Bardzo lubię takie poglądy – wyznał Numada, popijając podaną mu właśnie kawę i dodał rozpromieniony: – Piszę opowiadania dla dzieci. Prawie wszystko, o czym piszę, dotyczy więzi łączących dzieci i zwierzęta. Gdy przyjechałem do Indii i zobaczyłem ogromne baniany, zdecydowałem, że następne opowiadanie napiszę o drzewach i dzieciach.

– Naprawdę?

– Przejeżdżaliśmy przez ten gęsty las w drodze z Allahabadu. Ten las, o którym pan mówił, że jest rezerwatem ptaków. Nigdy

takiego lasu nie widziałem. Jadąc przez ten las, miałem uczucie, jakbym słyszał głosy poszczególnych drzew. Zdawało mi się, że coś do mnie mówi.

– Kiedy Indusi wznieśli powstanie przeciw Brytyjczykom w 1857 roku, drzewa w lesie w pobliżu Allahabadu były wykorzystywane jako szubienice – wieszano na nich Indusów. Nie wspominałem o tym w autobusie – Enami mówił tak, jakby chciał ostudzić entuzjazm Numady.

Cztery lata studiował filozofię indyjską w Indiach, ale po powrocie do kraju nikt nie chciał wykorzystać jego wiedzy zdobytej ciężką pracą, nie znalazł zatrudnienia na żadnym wydziale uniwersyteckim i niezadowolony z dorywczej pracy jako przewodnik wycieczek krył głęboko w sercu rosnącą frustrację. Szczerze mówiąc, pogardzał japońskimi turystami, których musiał oprowadzać na zamówienie Agencji Kosmos tylko po to, żeby zapewnić sobie środki do życia. Nie lubił tych, głęboko mu wdzięcznych, starych mężczyzn i kobiet, którzy zwiedzali zabytki buddyjskie, studentek rozkoszujących się włóczęgą hippisowską i takich ludzi jak Numada, usiłujących w przyrodzie indyjskiej znaleźć coś, co kiedyś utracili. Wszyscy oni zabierali do kraju takie same pamiątki: jedwabne sari, naszyjniki z drzewa sandałowego, ozdoby z kości słoniowej, gwiazdne rubiny, szmaragdy lub srebrne pierścionki. Enami zostawał przy wejściu do sklepów, w których kiedyś amerykańscy i europejscy turyści kupowali wszystko co popadło, i patrzył pogardliwie na kręcących się w środku Japończyków.

Oczywiście Enami nigdy nie pokazywał swych prawdziwych uczuć. Przyjął życiową zasadę „biernego oporu”. Wciąż powtarzał sobie: *Jesteś przewodnikiem i zawsze musisz być sympatyczny i uprzejmy.*

– Pan zamierzał odwiedzić rezerwat dzikich zwierząt, prawda, panie Numada?

– Miałem taką nadzieję. Chciałbym zobaczyć na własne oczy ojczyznę takiego ptaka jak dzioborożec czy też szpak azjatycki, które pochodzą z krajów tropikalnych.

– Dlaczego?

– To osobista tajemnica – Numada się roześmiał. – Pan też na pewno ma jakieś tajemnice, prawda?

– Oczywiście, że mam. To jednak dziwne, wie pan. Zazwyczaj japońscy turyści, mężczyźni, kiedy ze mną rozmawiają na osobności, zachowują się, jakby chcieli zdradzić mi jakąś mroczną tajemnicę, a następnie cicho proszą, żebym znalazł im dom, gdzie są kobiety. A pan, panie Numada, jest zupełnie inny.

– Nie lubię tego, a przynajmniej tu w Indiach nie interesuję się takimi rzeczami.

– Proszę mi wybaczyć, że to powiem, ale przyroda w Indiach jest bardziej wulgarna, niż pan myśli.

– Przypuszczam, że ma pan na myśli sprzeczności istniejące w przyrodzie, te dwie jej siły: tworzenia i destrukcji, prawda? Prawie w każdej książce na temat Indii, jaką czytałem, do znudzenia się powtarza taką opinię.

– Jutro wcześniej rano pójdziemy obejrzeć ludzi kąpiących się w Gangesie. Na prawym brzegu stoi wiele rozmaitych, dużych i małych, ghat i budynków, natomiast lewy brzeg, po drugiej stronie szerokiej rzeki jest pokryty lasem. Jak mi się wydaje, lewy brzeg kojarzy się hindusom z nieczystością. A ja byłem na tamtym lewym brzegu.

– I co?

– Nigdzie nie widziałem miejsca, w którym równie mocno daje się odczuć tak niesamowitą wulgarność przyrody.

– Pan mnie chyba nabiera?

– Oczywiście. Pan jest tak niewinnym człowiekiem, to dlatego. Ach, wszyscy już chyba wstali, przepraszam pana.

Turyści, w lekkich strojach, zaopatrzeni w aparaty fotograficzne, jeden za drugim schodzili do jadalni. Enami zerwał się z miejsca i zaczął tłumaczyć kelnerowi ich zamówienia. Numada patrzył na przewodnika, w którym dokonała się jakaś gwałtowna przemiana, jakby był zupełnie kimś innym niż przed chwilą, kiedy rozmawiali, i rozmyślał nad określeniem „wulgarność przyrody”, jakiego użył Enami. Instynktownie wyczuwał, co miał na myśli, lecz w świecie pisarza, autora opowiadań dla dzieci, przyroda nie była ani okrutna, ani szkaradna. Przyroda ma być medium, które ułatwia łączność między człowiekiem i siłami życia.

Numada zszedł do ogrodu, wyciągnął ramiona i wziął głęboki oddech. Słyszał o tym, że w Indiach może być gorąco nawet pod koniec października, ale – może dlatego, że było jeszcze przed ósmą – w rześkim powietrzu przetrwała woń ziemi i światła, jakiej od dawna już nie czuł na ulicach betonowego Tokio. Numada zaczerpnął tyle powietrza, ile zdołał, a następnie gwałtownym wydechem usunął szkodliwe opary, zalegające w jego płucach.

– O, widzę, że ćwiczy pan sztukę oddychania – zwrócił się poufale do Numady Kiguchi, wychodząc z hotelu i przeżuwając jeszcze resztki śniadania.

– To tylko mój sposób na głęboki oddech.

– To wspaniale. Ja też nigdy nie zaniedbywałem gimnastyki i ćwiczyłem rano callisthenics. Nawet teraz, tu w Indiach, kiedy się budzę, siadam na podłodze i ćwiczę.

– Przepraszam – za ich plecami rozległy się donośne głosy młodych Sanjō – czy można prosić o pstryknięcie?

– Pstryknięcie?

– O tutaj, wystarczy tylko przycisnąć.

Wcisnęli Numadzie aparat i ustawili się w miejscu, gdzie złocienie kwitły jak szalone. Mąż bezwstydnie objął żonę ramieniem, ona położyła głowę na jego barku.

– I oni mają być Japończykami? Wstydu nie mają – powiedział z oburzeniem Kiguchi, stojący obok Numady, który trzymał aparat przy twarzy.

– To nic strasznego, przecież są młodym małżeństwem.

– W naszych czasach coś takiego było nie do pomyślenia.

– W naszych czasach nie mogliśmy jeździć za granicę w podróż poślubną. Teraz Japonia kwitnie, a nasza młodzież niczym się nie różni od zagranicznej.

– Czy mógłby pan zrobić jeszcze trzy lub cztery zdjęcia? – spytał śmiało Sanjō, nie zwracając uwagi na ich szepty.

Do rozległego ogrodu wszedł starzec niosący podartą torbę i koszyk. Towarzyszył mu młody mężczyzna oraz chłopiec. Był chudy jak zapalka, a jego nogi w krótkich spodenkach wyglądały jak druty.

– *Namaste?* – zapytał chłopiec, uśmiechając się służalczo.

– *Japani, Japani?*

– *Han* – odpowiedział Numada słowem hindi, którego dopiero co się nauczył, ale nic więcej z tego, co mówili, nie zrozumiał.

Z grupy Japończyków stojącej przy bramie wyszedł Enami i zaczął rozmawiać ze starcem.

– Proszę państwa – zwrócił się do zebranych Enami – ten człowiek chce wam pokazać walkę mangusty z wężem. Oni są zaklinaczami węży, czyli sapers. Należą do kasty niedotykalnych. W ich wsi mieszkają sami zaklinacze węży i ich rodziny – wyjaśnił Enami.

Wyschnięty jak martwe drzewo starzec usiadł na ziemi i kiedy zaczął grać dziwną melodię na flecie, z koszyka spadła pokrywka i zgięta jak uchwyt parasola kobra ukazała głowę. Pani Sanjō krzyknęła i przywarła do męża.

– Nie bój się – powiedział do żony. – Oni usunęli jej ząb jadowy, prawda, panie Enami?

– Tak. Ma pan rację.

– Kiedyś widziałem to w telewizji. – Manguście też usuwają zęby, żeby nie zabiła węża.

– Co za nieznośny człowiek! Zepsuł pan całą zabawę – Enami przyglądał się twarzom zawiedzionych gości. – Kiedy ujawnia się wszystkie tajemnice, nasza podróż do Indii traci czar.

Pod bramę ogrodu podjechał autobus turystyczny, wzbijając tuman białego kurzu. Otoczona przez Japończyków mangusta zwinnie podskoczyła i zaatakowała węża. Rozległy się oklaski, starzec włożył do torby rękę podobną do suchej gałęzi i wyciągnął z niej niesamowitego, szarego węża. Niektóre kobiety krzyknęły ze strachu.

– Podobno ten wąż ma dwie głowy – wyjaśnił z obowiązku Enami i nagle poczuł wstręt na myśl o tym, ileż to razy mówił turystom o tym dwugłowym wężu. Nie po to studiował w Indiach, żeby opowiadać takie głupstwa. I nie po to, by prowadzić ich do Tadź Mahalu i setki razy powtarzać tym samym głosem te same teksty o tym, że budowa tego gmachu zajęła budowniczym dwadzieścia dwa lata i że kazał go wznieść Szach dżahan, władca z dynastii Mogołów, dla upamiętnienia swej pięknej żony, księżniczki Mumtaz.

Nie ma sensu oczekiwać, by ktoś z nich naprawdę zrozumiał Indie. A mimo to ci duchowni i ludzie kultury po powrocie do kraju opowiadają o Indiach tak, jakby je rozumieli.

Uśmiechnął się z przymusem, aby odpędzić nastrój zniechęcenia i pogodnym głosem powiedział:

– No dobrze, proszę wsiadać do autobusu. Temperatura będzie wzrastać, ale w autobusie w zasadzie jest klimatyzacja i powinno być chłodno.

Nawet w autobusie czuli nieznośną woń miasta. Woń potu, woń kanałów, zapach potraw smażonych pod gołym niebem. I wszędzie te niezwykle barwy; naczynia mosiężne i miedziane połyskujące w mroku sklepów, tłumy kobiet owiniętych w sari: żółte, czerwone, o barwie śliwy daktylowej i czarne. Po ulicach chodziły popielate krowy o potwornie wychudłych grzbietach i kościstych kończynach.

Wzbijając tumany kurzu, słoń dźwigał na grzbiecie drzewo na opał.

– Jesteśmy w mieście Waranasi, które z powodzeniem można by nazwać Indiami w Indiach. – Z mikrofonem przy ustach Enami płynnie recytował swą kwestię. – Miasto leży na brzegach dwu rzek, Warana i Asi i nad głównym nurtem Gangesu. Jak wyjaśniłem państwu wczoraj, zbieg dwu rzek wyznawcy hinduizmu uznają za miejsce święte. Bogaci jadą pociągami i samochodami, biedni idą na piechotę – wszyscy podążają z pielgrzymką w tę stronę. Zgodnie z ich wiarą kąpiel w wodach Gangesu oczyszcza ich z wszystkich grzechów, a jeśli po śmierci ich prochy zostaną wrzucone do tej rzeki, będą wyzwoleni z cyklu transmigracji.

Autobus wycieczkowy zawsze jeździł tą samą trasą: od świątyni Bharatmata, przez Uniwersytet Hindu do miejsc kąpeli w Gangesie.

Ale zdarzało się, że Enami prowadził turystów również do specjalnie przez siebie wybranej świątyni hinduistycznej. Traktował to jako wyróżnienie, a zarazem – okazję dokonania zemsty.

*

Rzeńskie powietrze poranka ustąpiło po południu dotkliwemu żarowi nasycenemu wilgocią.

Enami celowo unikał chodzenia do ghat nad Gangesem w godzinach przedpołudniowych. Nie chciał, by japońscy turyści jedynie ze zwykłej ciekawości oglądali świętą rzekę, święty rytuał i święte miejsca śmierci. Kiedy z łodzi patrzyli na kąpiących się hindusów, zawsze mówili to samo:

– Aż trudno uwierzyć, że rozsypują prochy zmarłych w rzece. I nawet nie chorują.

– Nie do zniesienia... ten zapach... Czy hindusom to nie przeszkadza?

I wciąż na nowo Enami musiał wysłuchiwać turystów wyrażających pogardę i uprzedzenia, ale wieczorem nie przejmował się tym tak bardzo.

I dlatego rano prowadził ich wąskimi alejkami do bramy świątyni Wiśwanatha, która wyglądała szczególnie „indyjsko”. Stłoczone po obu stronach uliczek sklepiki, podobne do czarnorynkowych, były pełne przedziwnych różności. Były tam sklepy, w których myto trzcinę cukrową w kubłach, po czym wyciskano z niej sok za pomocą wałka; sklepy, w których wielkimi nożami cięto na pół owoce kokosowe, wkładano do nich słomki i tak podawano klientom. W kioskach tytoniowych proponowano betel i inne przyprawy zawinięte w liście drzew.

– To jest tytoń do żucia. Raczej gorzki, ale może być dobrą pamiątką.

Sklepy, do których Enami zabierał swych podopiecznych, były zawsze te same. objaśnienia przed sklepem, gdzie drzemały psy, również się nie zmieniały. Uśmiechając się, mówił miłym głosem:

– Nazywa się pan i barwi usta na czerwono. Niektórzy turyści z zaciekawieniem wkładają tytoń do ust, zaczynają żuć i krzywią się, stwierdzając, że jest rzeczywiście gorzki. Kobiety przyglądają się im ze śmiechem. Odgłos migawek aparatów fotograficznych. Półnagi mężczyzna niesie kosze zawieszane na drażku, przerzuconym przez ramię.

– To sprzedawca jogurtu.

– Chciałbym kupić jedwab indyjski. Czy jest tu taki sklep?

Słońce świeciło coraz mocniej. Spośród turystów Enami pewnym zainteresowaniem wyróżniał Mitsuko. Pociągał go jej profil pod kapeluszem o dużym rondzie i czarne okulary przeciwsłoneczne. Była inna niż wszystkie turystki – nie zachowywała się samowolnie ani impertynencko i zawsze miała na twarzy uśmiech.

Ciekawe, jaki miałyby wyraz twarzy – zastanawiał się, patrząc na jej profil – gdybym się z nią przespał?

Od kiedy był przewodnikiem, spał z dwiema turystkami z powierzonej mu grupy. Obie były zwyczajnymi gospodyniami domowymi w średnim wieku. Jest coś w parnej duchocie Indii, co podnieca zmysły człowieka. I to coś jest również w tajemniczej aurze hinduizmu. Przyglądając się Mitsuko od czasu do czasu, zastanawiał się, jak się jej układało z mężczyznami.

Wczesny obiad. Skończyli przed pierwszą. Później wsiedli do autobusu i ruszyli w stronę świątyni Nakśar Bhagavati. Dla większości Japończyków to nudna świątynia, wzbudzała zainteresowanie tylko nielicznych, dlatego nie włączano jej do normalnego programu wycieczkowego; tylko Enami prowadził tu swoje grupy.

– Nazwa tej świątyni znaczy: „kobieta, która obsypuje łaską”. – Enami zebrał swą grupę w podziemnej sali pachnącej wapniem. W chwili, gdy do niej weszli, opadł ich lepki żar. Tam też panowała zmysłowa atmosfera typowa dla Indii.

– Słowo „bhaga” w Bhagavati odnosi się do żeńskich genitaliów
– wyjaśnił Enami, rozmyślnie robiąc niewinną minę.

– Bhaga? – powtórzyli jak echo mężczyźni. – Ale w tej „bhaga” gorąco, jak w łaźni parowej.

Kilka osób roześmiało się z tego żartu, ale twarz Mitsuko nawet nie drgnęła.

– Przyprowadziłem was tutaj, byście mogli doświadczyć choćby części religii hinduistycznej. Więcej niż moje objaśnienia da państwu obejrzenie tych płaskorzeźb kobiet na murach, pomogą one zrozumieć wszelkie udreki, nieszczęścia i obawy Indii. Proszę śmiało pytać, jeśli potrzebne będą wyjaśnienia.

Kilkoro mężczyzn i kobiet, nie wytrzymując parnego powietrza, nie zamierzało wchodzić głębiej. Nie było tu rzeźb buddyjskich, a Japończycy nie przejawiali szczególnego zainteresowania bóstwami hinduistycznymi, które wydawały się im bardzo odległe i nieczyste.

Duchota. Mroczne wnętrza podziemi. Przed ich oczyma unosiły się niesamowite rzeźby. Koszmar tych wizerunków nasuwał uczucie odrazy, jakiego człowiek doznaje na widok splecionych motywów jego natury, kryjących się w podświadomości. Schodzili w dół wytartymi, nierównymi schodami. Mitsuko zdało się na chwilę, że oto zstępuje w najgłębsze zakamarki swojego serca. Odczuwała zarazem niepokój i rozkosz, zupełnie jakby miała sposobność oglądania wnętrza swego serca za pomocą mikroskopu.

Usłyszała za sobą ciężki oddech Isobego. Było wyjątkowo gorąco. Dalej szli Numada i reszta.

– Proszę patrzeć pod nogi.

Wątle światło elektryczne sprawiało, że pomieszczenie o brudnych ścianach wyglądało jak pieczara. Ich oczom ukazały się poczerńiałe postacie nieprzyzwoicie splecione ze sobą na podo-

bieństwo korzeni drzew. Japończycy zamilkli, widząc zamarłe w bezruchu sylwetki.

Ich oczy przywykły do ciemności i wtedy pojęli, że to, co uważali za splecione ciała kobiet i mężczyzn, było w rzeczywistości płataniną rąk i nóg. Pomału zaczęli też widzieć, że te ręce trzymają ludzkie czaszki i głowy. Wreszcie ujrzeli, że to boginie w dziwnych koronach, jadące na tygrysach, lwach, dzikach i bawołach.

– Czy to są wizerunki tej samej bogini? – Kiedy Enami, ubrany w koszulę z krótkimi rękawami podszedł bliżej, aby odpowiedzieć Mitsuko, poczuła silną woń potu bijącą od jego krępych ramion.

– Nie, każda jest inna. Czy chce pani znać imiona?

– I tak nie zapamiętam. Dla mnie wszystkie wyglądają tak samo.

– Boginie indyjskie nie zawsze przybierają łagodną i subtelną postać, często są przerażające. Chyba dlatego, że symbolizują wszelkie działania życia – śmierć na równi z narodzinami.

– Bardzo się różnią od Matki Boskiej, która przecież też jest boginią.

– Tak, różnią się. Maria jest symbolem matki, a indyjskie boginie są też symbolami sił natury, które upajają się do szaleństwa śmiercią i krwią.

Mężczyźni w milczeniu słuchali rozmowy Enamiego z Mitsuko. W tych irracjonalnych i koszmarnie brzydkich boginiach nie widzieli niczego, co poruszałoby ich wyobraźnię. A przecież na dźwięk słowa „boginie” oczekiwali czegoś czulego i delikatnego, czegoś macierzyńskiego.

W gorącym, jakby wrzącym powietrzu podziemia ich twarze i szyje pokryły się lepkiem potem.

– Tutaj można stracić radość życia i wszelką nadzieję – szepnął Numada do siebie zmęczonym głosem.

Przyroda, jaką od lat przedstawiał w opowiadaniach dla dzieci, nigdy nie była tak brutalna i przerażająca. Dla niego przyroda była siłą, która czule tuli i wspomaga człowieka.

Również Isobe na próżno szukał choćby śladu współczucia na twarzach bogiń pokrywających ściany. I chociaż ich ciała chełpiły się zmysłowymi piersiami i obfitymi biodrami, symbolizującymi żyzną ziemię, żadna z nich nie uśmiechała się tak jak jego żona.

Kiguchiemu zaś na wizerunek tego kłębowiska brzydkich i brudnych bogiń nałożył się obraz sylwetek duchów japońskich żołnierzy, którzy wędrowali „drogą śmierci” w Birmie; przesuwając paciorki różańca buddyjskiego, który nosił zawieszony na przegubie dłoni, recytował ustęp z Sutry Amidy: „I cały świat, wraz z bogami i złemi duchami, i wszelka istota usłyszały nauki Buddy, przyjęły je z radością i uwierzyły”.

– Ależ tu gorąco. Może wyjdziemy na zewnątrz? – zapytał Numada, nie mogąc już wytrzymać.

– Jeszcze tylko jedna – rzekł Enami, zatrzymując go. – Proszę spojrzeć na moją ulubioną boginię. – I wskazał na postać wysokości jednego metra przypominającą elfa. – Jest ciemno, więc proszę się zbliżyć. Ta bogini nazywa się Ćamunda. Ćamunda mieszka na cmentarzu, dlatego u jej stóp leżą ciała ludzkie, które rozdziobują ptaki i rozszarpują szakale.

Duża kropla potu stoczyła się po ciele Enamiego i spadła jak łza na podłogę poplamioną woskiem skapującym ze świec.

– Piersi ma obwisłe jak stara kobieta. A mimo to z tych zwiotczałych piersi płynie mleko, którym karmi dzieci stojące w kolejce. Czy widzicie, jak jej prawa noga gnije z powodu trądu? Jej brzuch jest zapadnięty z głodu, a na nim siedzą skorpiony.

Cierpiąca, schorowana znosi piekielne katusze, a jednocześnie karmi rodzaj ludzki mlekiem ze zwiotczałych piersi.

Enami, który jeszcze przed godziną żartował z turystami, teraz nagle wykrzywił twarz. Spływający mu po policzkach pot wyglądał jak łzy. Zaskoczył Mitsuko, Numadę, Kiguchiego i Isobego, którzy nie mogli oprzeć się myśli, że ten mężczyzna darzy uczuciem tę boginię, kształtem przypominające splecione korzenie drzew.

– Kocham tę rzeźbę Ćamundy, Jeszcze nie zdarzyło się, bym będąc w tym mieście nie stanął przed nią.

– Mnie też się podoba – oświadczył nieoczekiwanie Kiguchi z głębokim uczuciem. – Na froncie birmańskim wciąż myślałem, że zginę, a kiedy patrzę na tę wychudłą postać, przypominam sobie żołnierzy, którzy pomarli w czasie deszczu. Tamta wojna... była straszna. A wszyscy żołnierze... właśnie tak wyglądali.

– Ona... ona wyraża wszystkie cierpienia ludu indyjskiego. Cierpienia, śmierć i głód, które musiał znosić lud Indii przez długie lata, widoczne są w tej postaci. Ta bogini zapadła na wszystkie choroby, jakie przechodzili tu ludzie przez wieki. Wytrzymała truciznę kobry i ukąszenia skorpionów. Mimo to... dysząc ciężko... ze swych wyschniętych piersi daje ludziom mleko. To są Indie. Takie Indie chciałem wam pokazać.

Jakby zażenowany z powodu odkrycia własnych uczuć Enami brudną wielką chustą energicznie wytarł twarz mokrą od potu. Mówił o cierpiącej bogini pod pretekstem, że tłumaczy im Indie, ale faktycznie wspominał zdarzenia z własnego życia, myślał o matce, która po odejściu męża wychowała go, przewyciężając własne nieszczęścia.

– Czyżby w odróżnieniu od tamtych bogiń... ta bardziej przypominała Marię, Matkę Boską Indii?

– Możecie państwo tak uważać. Jednak nie jest ona tak czysta i szlachetna jak Maria, nie ma też na sobie pięknego stroju.

Przeciwnie, jest brzydka i bardzo stara, jęczy pod brzemieniem cierpienia. Proszę popatrzeć na jej oczy skierowane w górę, wypełnione udręką. Ona cierpi razem z ludem Indii. Ta rzeźba została wykonana w XII wieku. Ale jej cierpienia do dziś nie ustały. Ta Ćamunda, Matka Indii, jest całkiem inna niż Maria, Matka Boska Europy.

Wszyscy słuchali w milczeniu słów Enamięgo; zamyśleni głęboko nad własnymi sprawami.

– Może wyjdziemy? – Enami zaczął ich ponaglać. – Na pewno ci, którzy pozostali na zewnątrz, zmęczeni się już czekaniem.

Kiedy ruszył, zbliżyli się do niego Isobe i Kiguchi.

– Dziękujemy. Warto było zobaczyć – powiedział Isobe.

A Kiguchi dodał:

– Schodząc do tej podziemnej sali... zrozumiałem po raz pierwszy, dlaczego Budda pojawił się w tym kraju.

– Naprawdę? – Enami wyglądał na szczerze uradowanego. – Jeśli rzeczywiście tak to panowie rozumiecie, to jest sens pokazać wam jutro miejsce, w którym Budda objawił się pierwszemu uczniowi po zakończeniu duchowego treningu.

Jeszcze jeden krok i w twarz buchnęły im silne promienie słońca. W klimatyzowanym autobusie wycieczkowym małżeństwo Sanjō i kobiety, którzy nie zeszli do podziemi pieczary, popijali chłodzoną Coca-Colę i mleko kokosowe.

– Jak było? – zapytał Sanjō.

– Jak widać, spociliśmy się – odpowiedział uprzejmie Enami, który tymczasem ochłonał.

– To dlatego nie wchodziłem. W końcu to i tak pewnie były zakurzone posągi Buddy.

– Nie posągi Buddy, to były boginie.

– Wszystko jedno. A teraz dokąd jedziemy?

– Nad świętą rzekę Ganges.

– A ja tak chciałam zobaczyć Ren – szczerze powiedziała młoda żona Sanjō. – Po pierwsze tam nie byłoby tak gorąco.

– I oto jesteśmy nad rzeką-matką, nad Gangesem – powiedział Enami, który w końcu złapał oddech w klimatyzowanym autobusie i wziął mikrofon do ręki.

Tym, którzy zeszli na dół do jaskini, słowa „rzeka-matka” przypomniały boginię, która, mimo że kąsana przez jadowite węże i skorpiony, cierpiąca na trąd, wygłodzona dawała dzieciom mleko. Matka Indii. Wizerunek starej kobiety, z której zostały skóra i kości z resztką tłącego się w nich życia; kobiety, która nie miała w sobie nic z obfitości ciała i czułości właściwej matkom. Mimo to nadal jest matką.

– Dzisiaj zobaczymy coś, co będzie tylko prologiem dnia jutrzejszego. Chciałbym, żebyśmy jutro wyruszyli, kiedy promienie słońca ledwie zaczną przezierać przez chmury, a dziś prowadzę was tutaj ze względu na tych, którzy wolą spać i nie wybiorą się na tę wycieczkę.

– Czy to będzie ciekawsze z rana? – zapytał głośno Sanjō.

– Nie chodzi o to, że ciekawsze. Po prostu świt, to czas święty. Wraz ze złotymi promieniami słońca, które rozdzierają ciemność jak na sygnał, zjedną się do licznych tutaj ghat pielgrzymi, którzy zgromadzili się w mieście. Każdy z nich pragnie jako pierwszy zanurzyć się w rzece. Ta rzeka-matka przyjmuje zarówno żywych, jak i zmarłych. Na tym polega istota świętości.

– Czy to prawda, że oni pływają nawet w pobliżu miejsca, gdzie wrzucono prochy zmarłych?

– To prawda.

– Ja nie chcę – młoda żona Sanjō powiedziała do męża – nie chcę oglądać takich brudów.

– Ależ oczywiście, możecie państwo pozostać w autobusie. Nie chciałbym, żeby pani źle się poczuła – powiedział Enami, jakby jej reakcja była czymś oczywistym i z uśmiechem kiwnął głową.

Sanjō wystąpił w obronie żony:

– Czy hindusi nie myślą o tym, że to nieczyste?

– Oczywiście, że nie. Jak już kilkakrotnie wyjaśniałem, rzeka Ganges jest dla hindusów święta, a poza tym jest ich matką. Właśnie dlatego odbywają długą podróż pociągami lub na piechotę, żeby dotrzeć do tego miasta i pewnego dnia, choćby na chwilę, połączyć się z jej nurtem. O, proszę wyjrzyć przez okno. Stary asceta, podpierając się suchą długą gałęzią, przechodzi przez skrzyżowanie.

Wychudły starzec, przypominający białowłosego demona, został natychmiast porwany przez tłum ludzi.

– To jest miasto, w którym ludzie gromadzą się po to, by umrzeć. Jest wiele dróg, którymi tu docierają, na przykład Panch Koshi Road, Raja Motichand Road, Raja Bazar Road. Z wszystkich stron świata ciągną tu pielgrzymi po to, aby tu umrzeć. Zobaczcie, to są wiozące ich autobusy i samochody. Ci, których nie stać na taką podróż, idą wiele dni na piechotę, tak jak ten pustelnik. Takich dróg jak te nie ma w Japonii. – Enami powtórzył z naciskiem: – Absolutnie nie ma. Nie ma.

Drogi, którymi się idzie, aby umrzeć. Te słowa znów przypominały Kiguchiemu birmańską „drogę śmierci”. Zapadłe policzki martwych żołnierzy, jęczący w przydrożnym błocie ranni żołnierze. Droga, którą szedł jak lunatyk. Idąc tą drogą, trzymał się kurczowo nikłej nadziei, że jeśli ją przejdzie do końca, może ocaleje. Czy ten asceta ma nadzieję, że się odrodzi, jeśli dotrze do rzeki Ganges?

W kłębiącym się tłumie ludzi Isobe ujrzał bosc dziewczęta. Jedna z nich przemknęła między krowami i owcami i zniknęła mu z oczu. Inna dziewczynka stała przed smażalnią i wpatrywała się głodnymi oczyma we właściciela, który podnosi pałeczkami ciastko.

„Szukaj mnie – znów usłyszał słowa bredzącej żony. – Obiecuj... obiecuj!”.

Postanowił powiedzieć Enamiemu, że zamierza pozostać w Waranasi. Zgodnie z programem grupa miała wyruszyć jutro w drogę, aby zwiedzać święte miejsca związane z Budda, poczynając od Sarnath, gdzie Siakjamuni wygłosił swoje pierwsze kazanie.

Znajdę cię. Czekaj cierpliwie,

Isobe powtórzył w duchu słowa, które szeptał już niezliczone mnóstwo razy.

– Pójdziemy zobaczyć, czy wolisz zostać? – usłyszał za sobą szept dwu kobiet.

– Oczywiście, że chcę to zobaczyć. Przecież zapłaciłam tyle pieniędzy, żeby tu przyjechać. Trzeba zobaczyć, żeby przynajmniej było o czym opowiadać. Szkoda tracić okazji.

Japończycy wysiedli z autobusu, gdy dotarli do Dashashvamedha Ghat, gdzie były schody prowadzące ku rzece. Na miejscu pozostała tylko pani Sanjō.

Natychmiast otoczyły ich żebrzące dziewczęta. Lamentowały i pokazywały na usta. Trędowata dziewczynka pełzała po ziemi i wyciągała ręce pozbawione palców, wywołując litość Japończyków. Sanjō dał jej monetę i krzyknął, żeby wszyscy słyszeli: – Dlaczego tych dzieci nie umieszczają w przytułku?

– Wszyscy Japończycy przyjeżdżający do Indii zadają to samo pytanie – odpowiedział Enami, uśmiechając się do Sanjō. – Gdyby je umieszczono w przytułkach, ich rodziny pomarłyby z głodu. One są ważnym źródłem dochodu dla swych rodzin. Kalekie dzieci,

dziewczęta chore na trąd, wykorzystując swą chorobę, stają się wartościową siłą roboczą.

– Co za straszny kraj. Kto nim kieruje?

– Znaczy, pan tego nie wie? Tutaj premierem jest Indira Gandhi, a jej nazwisko przywołuje na myśl wielką matkę Ganges. Jest córką Nehru. Nazywana jest matką Indii.

Stojące bez żadnego ładu budynki o różnych kształtach i kolorach były kwaterami dla pielgrzymów, pawilonami dla książąt i świątyniami. Pomiedzy nimi stały kioski, w których sprzedawano kwiaty genda, ofiarowywane rzece.

Przeszli między budynkami. Nagle ukazała się przed nimi rzeka w całej okazałości.

Szeroka rzeka, połyskująca światłem popołudniowego słońca, przepływała przed nimi łagodnym łukiem. Jej powierzchnia była zmacona i szara, a poziom wody tak wysoki, że dno było niewidoczne. Pielgrzymi i sprzedawcy jeszcze stali na ghat. Mogli ocenić szybkość prądu po ruchu jakiegoś szarego przedmiotu, unoszącego się daleko na powierzchni. Gdy ten mały przedmiot powoli podpłynął, okazało się, że było to wzdęte ciało burego psa. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi. Święta rzeka brała w objęcia i unosiła z sobą nie tylko ludzi, lecz wszelkie istoty.

Na mieliznach kilku mężczyzn i kobiet robiło pranie. Uderzali ubranie o kamienie, a następnie wieszali je na sznurku rozciągniętym na brzegu. Była to grupa wykluczonych z kasty zwana dhobhi, zawodowo trudniąca się praniem przez całe życie. Na kamiennych schodach, które prowadziły do rzeki, pod wielkim parasolem czekał na gości starzec – łysy bramin w okularach. Obok niego siedział mężczyzna, sprzedawał cynobrowy puder przypominający barwą krew. Kapłan bramiński malował cynobrem kółka na czołach wyznawców hinduizmu i błogosławił ich.

Sanjō chyba całkowicie zapomniał o tym, że jeszcze niedawno złościł się i gardził Indiami, bo teraz biegał wciąż z aparatem, z którego był tak dumny, i robił zdjęcia.

– Sanjō-san – Enami z pośpiechem krzyknął do niego.

– Kiedy się zbliżymy do miejsc kremacji, w stronę ghat będą znosić coraz więcej zmarłych. Proszę absolutnie nie fotografować zwłok ludzkich. Rozgniewa pan rodziny zmarłych.

– Nie pozwalają robić zdjęć umarłym? Wiem o tym. Dlatego chcę je fotografować. Jestem przecież fotografem.

– To nie są żarty. Absolutnie proszę tego nie robić. Wszyscy będziemy mieli kłopoty.

Po chwili – jak mówił Enami – na ghat pojawili się mężczyźni w strojach żałobników. Postawili na brzegu nosze z trzymetrowych drażków, owiniętych jasnoczerwonym płótnem i cierpliwie czekali na swą kolej. Ciało zmarłego było przywiązane do noszy złotą taśmą. Natychmiast zaroilo się tu od much, które wyczuły trupią woń, potem nadleciało stado wron. Żałobnicy, siedząc w kucki, nawet nie próbowali ich odpędzać.

Rzeka płynęła spokojnie jak zawsze. Była obojętna zarówno na ludzkie ciała, które miały być spalone na proch i pył i rozproszone w jej toni, jak i na żałobników, którzy stali bez ruchu, trzymając się za głowy. Tutaj można zrozumieć, że śmierć w rzeczywistości jest częścią przyrody.

Przy pobliskim ghat kąpało się pięć czy sześć osób. Mężczyźni dolną część ciała osłaniali białym płótnem, a kobiety miały na sobie różnobarwne sari; nurzali się w wodzie i łączyli dłonie w modlitwie, płukali usta, myli włosy, a potem wracali do ghat. Niektórzy po kąpieli odpoczywali na stopniach schodów, po czym wracali do wody.

Niebo trochę pociemniało. Słońce, które jeszcze przed chwilą mocno prażyło na schodach, zaczęło się cofać. Ale rzeka nic się nie zmieniała, płynęła jak poprzednio.

– Tutaj odbywa się palenie zwłok – Enami pokazał palcem Manikarnika Ghat, gdzie wznosił się dym w żółtym odcieniu jakby z palonej siarki. Te piętrowe i dwupiętrowe budynki z lewej strony są kwaterami, w których przebywają starzy ludzie czekający na śmierć lub nieuleczalnie chorzy. Mogą tam leżeć bezpłatnie. Kiedy umierają, są przenoszeni na plac kremacji. Biedni, którzy nie mieli czym zapłacić za palenie, są po prostu wrzucani do wody.

– Czy nie wolno robić zdjęć na placu kremacji? Nie będę fotografował ciał. Panie Enami, proszę ich zapytać. – Sanjō zachowywał się, jakby interesowało go tylko robienie zdjęć, i bardzo nalegał, ale Enami stanowczo potrząsnął głową.

– Nie, nie wolno. Absolutnie nie.

– A gdybym im zapłacił?

– Proszę spróbować postawić się w położeniu rodziny zmarłego, którego fotografowanie jest obrażą dla wierzących hinduistów.

Mitsuko i Isobe usiedli na schodach i słuchali gniewnych słów Enamięgo.

– Przyjechał tu w podróż poślubną, ale zostawił żonę w autobusie i o niczym innym nie myśli jak tylko o fotografowaniu. To nie do pomyślenia – powiedział Isobe, patrząc na mleczną powierzchnię wody.

Mitsuko przypomniała sobie, jak to w czasie podróży poślubnej zostawiła męża w hotelu w Paryżu i wyjechała, żeby chodzić po lesie w Les Landes w poszukiwaniu swego własnego świata.

– Rzadko dzisiaj zdarzają się takie małżeństwa, jakim było pańskie. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś dzisiaj przyjeżdżał do tego kraju w poszukiwaniu swej zmarłej żony.

– Ale w końcu każdy hindus, kąpiący się w tej rzece, wierzy w reinkarnację. Przecież pani również czegoś szuka w tym mieście.

– W moim przypadku chodzi o przyjaciela, który nadal żyje. To nie takie ważne, czy go tu spotkam, czy nie.

– Ach, rozumiem. A czym się on zajmuje?

– Słyszałam, że został księdzem.

– Księdzem? I ksiądz mieszka w mieście hinduistów? – zdziwił się Isobe.

W tym momencie, usłyszeli dochodzącą zza ich pleców rozmowę między Enamim i Numadą.

– Ci, którzy nie są paleni, to tylko biedacy, którzy nie mają pieniędzy na zapłacenie za opał, oraz dzieci poniżej siedmiu lat. Ciała zmarłych dzieci są umieszczane na łódkach z trzciny, a biednych wrzuca się do wody.

– Widzę, że tu łowią ryby.

– Tak, te ryby podawane są w restauracjach hotelowych w mieście. Oczywiście, z zachowaniem tajemnicy przed turystami. Może już wrócimy? Jutro o świcie znów tu przyjdziemy.

Dokoła zapadły ciemności i tylko Ganges się nie zmieniał – płynął powoli jak przedtem, obojętny na wszystko. Numadzie wydał się tym drugim światem przeznaczonym dla zmarłych. W jego umyśle odżyła opowieść dla dzieci, którą kiedyś napisał.

Babcia i dziadek Shinkichiego mieszkali we wsi położonej nad Morzem Yatsushiro. Jego dziadek zmarł przed ośmiu laty, ale kiedy był jeszcze zdrowy, uważano go za mistrza w połowach kałamarnic, cieszył się więc we wsi sławą znakomitego rybaka. Niestety bardzo lubił *sake* i – jak mówił z wyrzutem ojciec Shinkichiego – to ona go zabiła.

Shinkichi mieszkał w Tokio i rzadko odwiedzał dom dziadka. Przed trzema laty wrócił nad Zatokę Ariake z okazji święta zmarłych Obon. W ciągu dnia starszy od niego kuzyn uczył go pływać w Morzu Yatsushiro, połyskującym w promieniach słońca, a nocą zabierano go na ryby. Naprawdę bawił się tam doskonale. Patrząc z plaży, widział światła łodzi rybaków łowiących kałamarnice, które ciągnęły się na wodzie jak most ognia. W noc Święta Lampionów babka i inni krewni zapalali światła w lampionach i z łodzi spuszczały je na morze.

Wszędzie dokoła unosiły się lampiony z płonącymi świecami.

– Twój dziadek stał się rybą i żyje w morzu – powiedziała babcia Shinkichiemu z całą powagą. – To morze jest światem, w którym żyjemy po śmierci. Kiedy twoja babka umrze, wrzucą ją do morza i stanie się rybą, i będzie mogła spotkać się z twoim dziadkiem.

Babcia chyba naprawdę w to wierzyła. Kiedy Shinkichi zapytał kuzyna, czy to prawda, starszy od niego chłopiec spokojnie i rzeczowo powiedział:

– Oczywiście, że to prawda. Wszyscy w naszej wiosce w to wierzą. Moja młodsza siostra umarła, kiedy była w szkole podstawowej, a teraz jest rybą i pływa po dnie morza.

Numada napisał tę bajkę jako ćwiczenie podczas studiów, ale nadal należy ona do jego ulubionych opowiadań. Kończyła się tak, że w pobliżu wioski zbudowali dużą fabrykę, której odpady zanieczyszczały morze, zatruwały ryby i wywoływały choroby wśród mieszkańców rybackiej wioski. Ale Numada usunął tę część czując, że to zbyt przykre zakończenie jak na bajkę dla dzieci. Wieśniacy skarżyli się na fabrykę nie tylko dlatego, że jej odpady stały się przyczyną chorób, ale też, że zniszczyła ten drugi pośmiertny świat, w którym jako ryby żyli ich przodkowie, a także zmarli rodzice, krewni i potomkowie, i gdzie oni sami kiedyś mieli się odrodzić.

Jednak dziennikarze nie wierzący w życie po śmierci, w swoich doniesieniach kładli nacisk na zniszczenie środowiska i choroby, dlatego początkowo Numada chciał włączyć ten wątek w opowieść.

Rozdział 8

W poszukiwaniu tego, co stracone

Słyszała dźwięk, jakby ktoś pocierał metalem o metal, ale to dzwonił telefon przy jej łóżku. Ten przenikliwy dzwonek wydawał się zapowiadać jakieś nieszczęście. Mitsuko wyciągnęła białą dłoń i podniosła słuchawkę.

– Czy pani Naruse? Przepraszam. O tej porze nie powinienem dzwonić, ale... – usłyszała głos przewodnika Enamiego – pan Kiguchi ma temperaturę. Wielu turystów dostaje biegunki w Indiach, więc podałem mu antybiotyk, ale nie wydaje się, by zadziałał.

– Ja nie jestem lekarzem.

– Tak, wiem. Ale pracowała pani w szpitalu, prawda? Czy nie mogłaby mi pani pomóc?

– Czy porozumiał się pan z recepcją?

– Ludzie w recepcji są tutaj całkowicie bezużyteczni. Na nocnej zmianie jest dziewczyna, która nie ma o niczym pojęcia i mówi, że zadzwoni do lekarza dopiero jutro rano. Dlatego sam zadzwonię do szpitala uniwersyteckiego i poproszę o przysłanie lekarza. Chciałbym, żeby pani pobyła z Kiguchim przez ten czas.

Ubrała się szybko i wyszła na korytarz. Dochodziła trzecia, ale było jeszcze bardzo ciemno. Na ścianie siedziała jaszczurka, wyglądała jakby ktoś ją tam przykleił. Na dworze hałasowały owady – ich zgiełk przypominał szum wezbranej wody. Na zniszczonej przez użytkowników sofie przy recepcji siedział Enami – z wyciągniętymi

nogami, otwartymi ustami i zamkniętymi oczyma, a na jego twarzy widniało wyczerpanie. Wielkie ómy, tu i ówdzie na ścianach, wyglądały, jak przypięte szpilkami. Kobieta w recepcji, obojętna na wszystko i wszystkich, czytała wyświechtane czasopismo i coraz to ziewała.

– Ach – Enami otworzył oczy i zerwał się z miejsca jak kukielka na sprężynie.

– Niełatwo być przewodnikiem, prawda?

– Czasem zdarzają się trudne sytuacje. Ale większość turystów zdrowieje po zażyciu antybiotyku.

– Jakie są objawy?

– Przede wszystkim wysoka gorączka. Myślałem, że to może zatrucie pokarmowe. Wiele osób choruje po zjedzeniu pstrągów z Gangesu.

Kłapiąc hałaśliwie kapciami włożonymi na bosc stopy, Enami poprowadził Mitsuko na górę. Pokój Kiguchiego znajdował się na drugim piętrze w tym samym korytarzu co Mitsuko, lecz po przeciwnej stronie.

– Kiguchi-san, już biegnę po lekarza – powiedział Enami otworzywszy drzwi i zapaliwszy światło. – W tym czasie pani Naruse będzie tak dobra i zostanie z panem. Proszę być spokojnym, pani Naruse pracowała jako ochotniczka w szpitalu.

Kiguchi trzymał koc z obu stron, przykrywając nim twarz do połowy i pojękując: – Przepraszam, przepraszam za kłopot.

Miał chyba wysoką gorączkę, bo drżał na całym ciele. W wątym świetle widać było jego twarz zlaną potem.

Kroki Enamiego ucichły w korytarzu, a w pokoju pozostali tylko Kiguchi i Mitsuko. Ręczniki w łazience wyglądały na brudne, więc Mitsuko poszła po swój własny i wodę kolońską. Kiedy wróciła, Kiguchi nadal drżał.

– Wytrę panu pot.

Rozgrzane powietrze i woń potu uderzyły w jej nozdrza. Mitsuko od razu przypomniała sobie woń ciał pacjentów z okresu, kiedy pracowała jako ochotniczka. Dobrze wiedziała, jak obrócić ciało i jak je wytrzeć. Zapach wody kolońskiej przytłumił trochę woń jego potu i gorącego powietrza.

– Bardzo panią przepraszam.

– Proszę się tym nie przejmować.

– Kiedy byłem żołnierzem, zachorowałem na malarię i wyleczyłem się za pomocą chininy, możliwe, że to nawrót.

Wycierając jego kościste ciało, Mitsuko myślała o chorobie, o której wspominał Kiguchi. Dreszcze i drżenie znów go zaatakowały, więc owinał się kocem, ale nadal szcząkał zębami.

– Dziś nie używa się już chininy. Teraz leczy się malarię znacznie bardziej skutecznym lekiem, zwanym primaquine. Na pewno lekarz indyjski będzie znał ten lek.

– Proszę pani... – gdy Kiguchi otworzył usta, Mitsuko zobaczyła, że ma wyjętą protezę – Czy sądzi pani, że lekarz przyjdzie?

Mitsuko uśmiechnęła się i kiwnęła głową na potwierdzenie. Wieloznaczny uśmiech był wyrazem „imitacji miłości”, którą uprawiała w szpitalu. – Proszę zamknąć oczy i spać. Wszystko będzie dobrze. Jestem obok.

Wzięła w dłoń rękę chorego i pogładziła ją. To również należało do tej gry, którą uprawiała w szpitalu, zwanej „imitacją miłości”. Kiguchi poddał się jej sugestiom. Minęło pół godziny, od strony ogrodu rozległ się warkot samochodu. Mitsuko słuchała uważnie.

– To samochód. Chyba Enami-san z lekarzem. Są szybciej, niż myślałam.

Zmęczony Kiguchi zamknął oczy. Przednie światła samochodu oświetliły okno jak obrotowa latarnia.

Mitsuko otworzyła drzwi do pokoju i czekała. Lekarz, który wkroczył do pokoju, był młodym Indusem około trzydziestki, miał okulary bez oprawek, takie jakie nosił Gandhi. Przycisnął stetoskop do piersi Kiguchiego. Wziął widocznie Mitsuko za żonę chorego, ponieważ zwrócił się do niej per *Mistress* i zapytał, czy pobranie krwi i robienie zastrzyku nie jest sprzeczne z jego religijnymi wierzeniami. Posługiwał się wytworną angielszczyzną, więc Mitsuko pomyślała, że studiował w Londynie.

– Czy to malaria? – zapytał Enami, a lekarz wzruszył ramionami, zrobił zastrzyk na obniżenie temperatury, a następnie pobrał krew do probówki. Dał oczyma znak Enamiemu i wyszedł na korytarz.

Wreszcie, mrugając przekrwionymi ze zmęczenia oczyma, Enami zawołał Mitsuko do siebie na korytarz.

– Mamy kłopot. Jeśli to jedna z tych złośliwych, zaraźliwych chorób lub malaria, musimy go oddać do szpitala. A przecież dziś wieczorem powinienem wszystkich zabrać do Bodh Gaja. Oczywiście nie mogę tak zostawić pana Kiguchiego, a jeśli skończy się szpitalem, będę mógł poprosić o pomoc Japończyka z jednej z firm, z którą jesteśmy w kontakcie, ale przecież z Kalkuty nie zdąży przyjechać do wieczora.

– Ale chyba miał pan już takie niespodziewane przypadki?

– Miałem. Ale były to biegunki, na które skutecznie działały antybiotyki, albo zwykły ból brzucha. Z malarią mam do czynienia po raz pierwszy.

Po chwili wahania Mitsuko zapytała:

– A może ja z nim zostanę?

– Naprawdę? – Enami szeroko otworzył oczy, było jasne, że w duchu oczekiwał tego od niej. – Bardzo by mi to pomogło. I zna pani angielski.

– Mój angielski jest wątpliwy. Ale chyba jakoś sobie poradzę do przyjazdu tego Japończyka z Kalkuty.

– Bardzo byłbym pani wdzięczny. Naprawdę dziękuję. Pojutrze będę z powrotem. Wystarczy, że pani wytrwa te dwa dni. Naturalnie, skontaktuję się z moją firmą i będę prosił, żeby pani obniżyli koszty pobytu w Indiach.

– Proszę się tym nie przejmować. Te czyste, starodawne miejsca jak Bodh Gaja, gdzie Siakjamuni doznał olśnienia i dostał oświecenia, nie odpowiadają mi. Czuję się bardziej swojsko pośród nieznośnej woni tego miasta. Będę nawet wdzięczna za to, że pan pozwoli mi zostać tutaj.

– Trzymam panią za słowo.

Mitsuko znów przywołała swój charakterystyczny uśmiezek. Ale tym razem nie służył on ukryciu prawdziwych uczuć. Od przyjazdu do Indii stopniowo zaczęły ją interesować nie tyle Indie jako kraj, w którym narodził się Budda, ile świat hinduizmu, w którym współistnieją czystość i brud, boska świętość i nieprzyzwoitość, litość i okrucieństwo. Była wdzięczna choćby za jeden dodatkowy dzień przebywania nad tą rzeką, gdzie wszystko mieszało się ze sobą, niż jechać gdzieś i oglądać miejsca uświęcone przez Buddę.

– Wracam do pana Kiguchiego – rzekła. – A pan chyba musi o świcie jechać z grupą nad Ganges? Proszę więc trochę odpocząć.

– Pani z nami nie pojedzie?

– Nie mogę zostawić Kiguchiego w takim stanie bez opieki...

Usiadła obok łóżka chorego, który spał jak zabity, i patrzyła na jego bezżebną, jakby ogłupiałą twarz. To dziwne, czuwa przy łóżku

starca, którego dwa tygodnie temu jeszcze w ogóle nie знаła. W tę indyjską noc śmierci, w buddyzmie nazywaną ciemnością ducha. Taka ciemność, jakby pociągnięta warstwą czarnej farby, w Japonii jest niewyobrażalna.

Nagle przypomniała sobie scenę z *Teresy Desqueyroux*. Jest noc, a Teresa pielęgnuje chorego Bernarda. Noc taka sama jak teraz, bez najmniejszego promyka światła, najdrobniejszego nawet dźwięku – czarna jak smoła noc w Argelouse. Patrząc na twarz śpiącego męża, Teresa nagle poczuła w sobie jakiś mroczny impuls.

Mitsuko lubiła tę scenę. Zdarzyło się jej odczuć coś podobnego nie tylko dzisiejszej nocy, ale także w czasie podróży poślubnej, kiedy patrzyła na twarz śpiącego męża. Wyraz dobroci na twarzy mężczyzny, który poza pracą nie interesował się niczym innym jak tylko samochodami i golfem. Uważnie się jej przypatrując, zawsze przypominała sobie ową scenę z *Teresy Desqueyroux*. Wielokrotnie czytała ten fragment, który odkrywał cień czegoś mrocznego tkwiącego w niej samej.

W ogóle nie wiedziała, kim jest właściwie ten starzec Kiguchi. Ani tego, czy ma żonę, ani, co robił w młodości. I dlaczego sam się wybrał na wycieczkę do Indii? W drodze z New Delhi aż do Waranasi nie interesowała się nim. A gdy teraz patrzyła na twarz śpiącego starca, który był dla niej obcym człowiekiem, na mgnienie jej serce musnęło takie samo uczucie, jakiego doznała Teresa. Poczowała, że jakaś niszcząca siła kryje się w głębi jej serca, coś takiego, co miała w sobie hinduska bogini Kali...

– Gaston-san – jęknął przez sen Kiguchi – Gaston! Gaston!

Mitsuko nie wiedziała, o czym mówił. Wytarła mu ręcznikiem pot z czoła i spostrzegła, że gorączka znacznie mu spadła. Nagle poczuła głębokie znużenie, oparła się plecami o krzesło i zamknęła oczy.

Mitsuko nie wiedziała, jak długo spała. Obudził ją hałas ludzi przechodzących korytarzem. Słońce już wzeszło, przez okno wpadały promienie zapowiadające popołudniowy upał. Usłyszała śpiew ptaków w ogrodzie. Chory spał nadal z otwartymi jakby przez roztargnienie ustami. Gdy dotknęła ręką czoła, poczuła, że gorączka prawie całkiem minęła, pozostała po niej tylko woń potu.

Stąpając cicho, wyszła z pokoju i ujrzała Enamię w towarzystwie dwóch kobiet śpieszących w jej stronę.

– Właśnie wróciliśmy znanad Gangesu. Dziękuję pani bardzo. Kiedy dwie godziny temu przed wyjściem zajrzałem do pokoju, pani chyba spała, więc nie proponowałem wyjścia z nami. Naprawdę bardzo mi pani pomogła.

Oczy Enamię były wciąż zmacone zmęczeniem, ale obie kobiety czuły się znakomicie.

– To musiało być straszne, prawda, pani Naruse? – zauważyła jedna z nich podnieconym głosem. – Ale może i lepiej, że pani z nami nie pojechała. Na brzegu rzeki było pełno psiego i krowiego łajna, w powietrzu cuchnęło spalenizną, nie czułam tam niczego uroczystego, przeciwnie, robiło mi się niedobrze. Hindusi naprawdę płuczą usta i myją głowy tuż obok miejsca, gdzie wyrzuca się prochy zmarłych.

– Już wiele razy o tym mówiłem, ale powtórzę jeszcze raz, że niektórzy ludzie widząc to, czują się tym bardziej oczarowani Indiami, a inni zdecydowanie nienawidzą Indii. – Enami jak zwykle bronił Indii. – Panowie Numada i Isobe byli bardzo poruszeni.

– Spotkaliśmy tam Japończyka hinduistę! – zawołały naraz obie kobiety. – Miał na sobie kawałek białego płótna, podobnie jak miejscowi wyznawcy hinduizmu, panie Enami.

– To nazywa się dhoti. A kobiety noszą sari.

– Pomagał nosić ciała zmarłych hindusów na miejsce kremacji. Bardzo mnie to zaskoczyło.

– Mnie też. Początkowo myślałam, że to hippis, który ma manię na punkcie Indii, ale powiedział, że nie jest turystą.

– Czy pan z nim rozmawiał?

– Tak, trochę. Powiedział, że jest księdzem katolickim, co mnie jeszcze bardziej zdziwiło. Zapytałem, dlaczego ksiądz katolicki ubrany jest jak hindus, a on odpowiedział, że ponieważ mieszka w Indiach, uznał za naturalne ubierać się tak jak miejscowi. Podobno zwozi ciała biedaków, którzy pomarli na drodze.

Mitsuko odwróciła wzrok od trójki rozmawiających i milczała chwilę. Potem zapytała ochryplym głosem:

– Jak się ten człowiek nazywa?

– Hm, nie powiedział nam. Ale wspomniał, że mieszka w aśramie, tu w mieście. Byłem tutaj wiele razy, ale po raz pierwszy spotkałem takiego Japończyka.

– W aśramie? – głos Mitsuko był wciąż ochryply.

– To słowo w hindi oznacza klasztor.

To Ōtsu. To musiał być Ōtsu. Mitsuko z trudem kryła wzruszenie.

– Czy może pani go zna, Naruse-san?

Mitsuko odwróciła twarz i potwierdziła:

– Myślę, że to kolega ze studiów.

Enami milczał przez chwilę, wyczuwając coś niezwykłego, po czym zapytał, czy Mitsuko jadła śniadanie.

– Nie, zaraz zejść. Muszę tylko jeszcze zajrzeć do Kiguchiego.

Wracając do jego pokoju, zastanawiała się nad uczuciami, które poruszały jej serce.

Ten Ōtsu, gdzie się tylko pojawi, nic mu się nie udaje i wciąż przegrywa, a teraz wozi ciała zmarłych na stosy pogrzebowe. „Jeśli nie lubisz słowa «Bóg», możesz nazywać go «Cebulą», jeśli chcesz” – powiedział Ōtsu ochryplym, zbolalym głosem nad rzeką Saoną, a teraz jego słowa iskrzyły się w głębi jej serca, jak żar ogniska. Ten mężczyzna nadal żył zapamiętałe dla chwały swojej Cebuli. Dla czegoś, czego Mitsuko wciąż nie mogła w swym życiu znaleźć.

Zajrzała do pokoju Kiguchiego, po czym wróciła do siebie, umyła twarz i zeszła do jadalni. Japońscy turyści skończyli już śniadanie; do południa mieli wolny czas, więc spacerowali po ogrodzie lub wychodzili na miasto. W jadalni, w której Indus zbierał brudne talerze i poganiał pomagającego mu chłopca, siedział tylko jeden gość i paląc papierosa, patrzył przez okno na drzewa o spletanym na wzór koronek gałęzi.

– Dzień dobry – pozdrowiła go.

– Pani Naruse, prawda? Nazywam się Numada. Podobno pani zostaje, żeby opiekować się chorym panem Kiguchim?

– Tak, ale nie tylko dlatego, po prostu spodobało mi się tutaj.

– Naprawdę? Szczerze mówiąc, otrzymałem zgodę pana Enamięgo i też zostaję. Dzisiaj rano byłem nad Gangesem i utwierdziłem się w swej decyzji. Nie będę się pani naprzykrzał. – Numada uśmiechnął się dobrotliwie. – Piszę opowiadania dla dzieci. W jednym z nich pojawia się Morze Yatsushiro na Kiusiu. Ludzie z tamtych okolic wierzą, że po śmierci stają się rybami i nadal żyją w morzu. Morze jest ich drugim światem. Dla nich morze jest właśnie takim Gangesem.

Mitsuko pomyślała, że nie musi się martwić, zostając tu z człowiekiem zaabsorbowanym takimi historiami.

– Będzie mi rażniej, jeśli pan też zostanie – odpowiedziała, pijąc herbatę Darjeeling przyniesioną przez boya.

*

Na szczęście w krwi Kiguchiego nie wykryto pierwotniaków malarii. Młody lekarz zatelefonował do Enamiego tuż przed południem i powiedział, że wysoka gorączka była prawdopodobnie wynikiem wyczerpania i jakichś bakterii, nie ma więc potrzeby hospitalizacji – po kilku dniach odpoczynku będzie zdrowy. Ale Mitsuko nadal była niespokojna:

– Czy to na pewno właściwa diagnoza?

– Na pewno. Zrobiłem wszystko, żeby sprowadzili lekarza dyżurnego ze szpitala uniwersyteckiego w Waranasi. A to oznacza, że może pani dołączyć do wycieczki.

– Nie, jednak zostanę. Myślę, że pan Kiguchi będzie spokojniejszy, jeśli zostanę z nim.

– To mnie niepokoi. Panowie Isobe, Numada i państwo Sanjō mówią dokładnie to samo. Pani Sanjō wręcz twierdzi, że zobaczyła już wszystko, co chciała zobaczyć w Indiach.

Lecz w końcu Enami doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli Mitsuko na wszelki wypadek zostanie. W tej sytuacji nie będzie musiał wzywać nikogo z Kalkuty.

O drugiej przyjechał autobus, aby zabrać turystów do Budh Gaja. Isobe, Numada i Mitsuko zeszli do hallu odprowadzić wyjeżdżających. Po odjeździe autobusu w ogrodzie hotelowym nagle zrobiło się pusto – tylko huśtawka poruszała się jak zwykle, z odgłosem skrzypienia unoszonym przez wilgotny wiatr.

– Nieoczekiwanie powiało smutkiem, prawda? – wyszeptał Isobe, słuchając skrzypienia huśtawki.

W opustoszałym ogrodzie nawet owady zamilkły, tylko z daleka, od dworca Cantonment, dochodził cichy szum miasta. Wtem Numada, jakby o czymś sobie przypomniał, odezwał się przerywając milczenie:

– A co z państwem Sanjō?

– Hm, nie wiem.

– Co pan zamierza robić?

– Ja... – bąknął Isobe – ja... wyjdę na trochę.

– Nad Ganges? – Numada zapytał niewinnie. – Czy mógłbym z panem pójść?

– Nie, prawdę mówiąc... mam pewną drobną sprawę osobistą do załatwienia, więc chciałbym pójść sam.

Mitsuko domyśliła się, o co chodzi, i mrugnęła do Numady.

– Panie Numada, czy jeśli pan Kiguchi będzie się czuł dobrze, pójdzie pan ze mną nad Ganges?

– Z przyjemnością. Mnie również spodobała się ta rzeka. Mógłbym ją oglądać wiele razy.

We troje weszli na górę. Mitsuko i Numada poszli do Kiguchiego, a Isobe do siebie.

Otworzył drzwi, położył się na jeszcze nie zasłanym twardym łóżku i patrzył w okno, skąd biły silne promienie słońca. Młoda kobieta, która nazywa się Radżini Punirał, we wsi Kamłodzi. Dziewczyna, o której dowiedział się od profesora z Uniwersytetu Virginia.

Od przyjazdu do Indii Isobe częściej wspominał swą żonę niż w Japonii. Pamiętał nawet błahę chwilę z ich codziennego, wspólnego życia.

Na przykład przypomniał sobie chwilę, gdy wkładał buty przed wyjściem do pracy, a żona stojąc za nim powiedziała:

– Czy późno dziś wrócisz?

– Nie, będę w domu na kolację.

– Myślałam, że może przygotuję ryby z jarzynami.

– Zrób jak chcesz, wszystko mi jedno.

Taka niby nic nie znacząca poranna rozmowa małżonków.

Albo inny obrazek: żona zreżnie robi koronkę na drutach, on popatrując w magazyn dla graczy w go, układa kamienie na planszy, a wreszcie mówi z westchnieniem:

– Nic z tego nie będzie.

– Z czego nic nie będzie?

– Gram już w go od pięciu lat, ale wciąż nie mogę zdobyć świadectwa pierwszego stopnia. Dzisiaj w przerwie obiadowej grałem z kolegą Ishikawą, a on mnie ograł, mimo że gra dopiero trzeci rok. Chyba na starość niczego nie można się już nauczyć.

– Ale sprawia ci to przyjemność, prawda? – Przerwała robótkę i starała się go pocieszyć. – Nieważne, czy jesteś dobry, czy nie. Ważne, że się dobrze bawisz.

Banalne rozmowy między małżonkami, których nigdy nie wspominał za życia żony. Wspólne chwile, ani szczęśliwe, ani nieszczęśliwe. Dlaczego takie zdarzenia powracały teraz nagle, ściskając serce aż do bólu, gdy po południu siedział w pokoju hotelowym w tym dalekim kraju?

Żona była zwykłą gospodynią domową, a on był przeciętnym mężem. Za życia tłumila w sobie uczucia, ale tuż przed śmiercią odkryła przed nim nie znaną mu stronę swojej natury.

Isobe zmienił buty na sportowe, wziął klucz, mapę i aparat fotograficzny i wyszedł z pokoju.

Czekając na taksówkę, poprosił dyrektora hotelu o wyjaśnienie, gdzie leży wieś Kamlodzi. Ciemnoskóry brodaty kierownik, był wyraźnie uprzedzony o sprawie przez Enamię, bo uspokoił Isobego, pokazując mu kółko palcami, i powiedział:

– Powiem kierowcy, jak ma jechać.

Przyjechała taksówka. Usiadł na gorącym fotelu i poczuł niemal bolesną palpację serca. Za życia żony nigdy nawet nie myślał o reinkarnacji. Dopiero w odpowiedzi na jej krzyk pojawiły się nagle słowa „odrodzenie” i „reinkarnacja” i przemknęły mu przed oczyma, jak wielkie samochody, zmieniając kierunek i cel jego życia.

Mimo to Isobe pozostał sceptyczny. Nawet po nawiązaniu kontaktu z Uniwersytetem Virginia i po otrzymaniu listu od profesora nie pozbył się wątpliwości, był pewny tylko jednego – głosu żony. Wszystko, w co wierzył – to trwające w jego sercu przywiązanie do żony. Gdyby go ktoś teraz zapytał, z kim chciałby się znów ożenić, gdyby istniało życie na tamtym świecie, bez chwili wahania wypowiedziałby imię swej żony.

Mitsuko zatelefonowała do pokoju chorego.

– Słucham – szybko odpowiedział słabym głosem Kiguchi.

– Jak się pan czuje?

– Ach, to pani. Dziękuję pani, gorączka spadła i czuję się znacznie lepiej. Naprawdę bardzo mi pani pomogła.

– To wspaniale. Ma pan apetyt?

– Tak, w południe pan Enami kazał obsłudze przynieść do pokoju zupę i kanapki. Kanapek jeszcze nie ruszyłem. Podobno lekarz przyjdzie jeszcze raz wieczorem.

– Czy sądzi pan, że mogłabym wyjść na trochę? Oczywiście zadzwonię z miasta.

– Cały czas sprawiam pani kłopot. Ze mną naprawdę już wszystko w porządku, więc może pani być spokojna.

Szybko się ubrała i zeszła do hallu, Numada już czekał ze szkicownikiem na kolanach.

– Kiguchi czuje się już chyba zupełnie nieźle.

– To dobra wiadomość.

– Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że jeszcze zadzwonię?

Mitsuko poprosiła w recepcji o wykręcenie numeru kościoła katolickiego w Waranasi. Przyłożyła słuchawkę do ucha. Przez dłuższy czas rozlegał się sygnał i nikt nie odbierał, w końcu szorstki głos starej kobiety odpowiedział w hindi. Mitsuko oddała słuchawkę pracownikowi recepcji, który się dowiedział, że nie ma tam żadnego Ōtsu ani też innego Japończyka, a mówiący po angielsku misjonarze wyszli. Udało się jej tylko uzyskać adres kościoła.

Gdy wsiedli do taksówki, Numada, który słyszał jej rozmowę, zapytał:

– Czy pani kogoś szuka w tym mieście?

– Czy dziś rano, będąc nad rzeką, widział pan Japończyka?

– Turystę?

– Nie, człowieka, który pracuje przy kremacji zwłok.

– Ach, chodzi o tego Japończyka ubranego jak hindusi?

– Myślę, że jest to ktoś, kogo znam z czasów uniwersyteckich. Mówił, że chce zostać księdzem.

– Więc chce pani iść nad rzekę w poszukiwaniu przyjaciela?

– Pomyślałam, że może jeszcze tam jest.

– Musiał być kimś bardzo bliskim pani, prawda?

Niewinne pytanie Numady sprawiło, że mimo woli się zarumieniła. Przypomniała sobie bardzo żywo, jak głowa Ōtsu poruszała się między jej piersiami. Szybko zmieniła temat:

– Cuchnie tu.

– Co to takiego?

– Coś, co w innych krajach nie wydaje woni. To zapach człowieczeństwa.

– Ta woń wydaje się pani przykra?

– Nie, nie jest przykra. Przeciwnie, podoba mi się. Ten zapach nie męczy. Na przykład będąc w Europie, co prawda nie znam jej za dobrze, ale choćby we Francji... Po trzech, czterech dniach byłam całkiem wykończona.

– Naprawdę? Ciekawe dlaczego? – Numada przypatrywał się Mitsuko z uczuciem ciekawości i zarazem zachwytu.

– A przecież we Francji wszystko jest tak poukładane, nie ma nigdzie bałaganu. Tam po prostu brakuje chaosu. Chodząc po placu de la Concorde czy po ogrodach Wersalu poczułam się wyczerpana, zanim zdążyłam pomyśleć, że ten systematyczny ład jest piękny. Mojej naturze bardziej odpowiada zamieszanie panujące w tym kraju, gdzie tyle różnych elementów spotyka się w jednej scenerii, a hinduistyczna bogini łączy dobro ze złem.

– Ludzie Zachodu nie lubią chaosu. Więc pani woli raczej chaos, pani Naruse?

– Nie ma się nad czym rozwodzić. To tylko kwestia tego, co kto lubi. – Chłodny wiatr wpadający przez okno i szczerłość w oczach Numady zachęciły Mitsuko do żartu: – Ja też jestem kobietą chaotyczną, która nie rozumie samej siebie.

– Hm – zareagował wieloznacznie Numada.

Podobnie jak w dniu poprzednim, wjechali do hałaśliwego miasta w świetle zmierzchu. Promienie zachodzącego słońca odbijały się od pozłaczanych talerzy i dzbanów wystawionych przed sklepami; a pod wielkim szyldem indyjskiego kina stała kolejka ludzi i riksze, na kablach telefonicznych siedziało stado wron wyglądających jak

nuty na pięciolinii, owce i krowy, podzwaniając dzwonkami uwieszonymi u szyi, tamowały ruch uliczny.

To, co w końcu zrozumiał po śmierci żony – to istnienie więzi łączącej małżonków. Więzi, która przyciąga ku sobie i łączy na całe życie dwoje ludzi spośród niezliczonej liczby mężczyzn i kobiet. Na pewno spotkanie tych dwojga jest przypadkowe, lecz Isobemu teraz wydawało się, że jego związek z żoną istniał już przed ich narodzeniem.

Przez okno taksówki widać było aleję fig laurowych, ciągnącą się wzdłuż jednej strony drogi, białej i wyschniętej. Jadący samochód wzbijał tuman kurzu. Po drugiej stronie alei rozciągało się pole pszeniczne. Para sępów przysiadła na parkanie walącej się chłopskiej chaty, a po polu kroczył powoli czarny, wielki bawół poganiany przez rolnika. Był to wiejski pejzaż, jaki można ujrzyć wszędzie w Indiach.

Isobe pograżył się we wspomnieniach o żonie.

Wspominał pierwszą wspólną podróż na Hokkaido z okazji dwudziestolecia małżeństwa. Zdecydowali się nie lecieć samolotem, lecz jechać wagonem sypialnym w pociągu przejeżdżającym przez region Tohoku. Był letni wieczór, wyjechali ze stacji Ueno, za oknem skrzyły się liście mijanych drzew, a w oddali na tle żółtawoczerwonego nieba rysowały się sylwetki gór. Nagle zauważył, że żona uśmiecha się, patrząc na grzbiety odległych szczytów. Nie odzywała się, ale wyraźnie czuła się szczęśliwa, że wyjeżdżają we dwoje po raz pierwszy od podróży poślubnej. Isobe przeciwnie, czuł się bardzo zakłopotany, więc wstał z miejsca i poszedł do bufetu kupić jakiś napój. Gdy wrócił do żony, wciąż się uśmiechała. Powiedział z wyrzutem: „Hej, może pójdziesz się czegoś napić!”. Takie błahe wspomnienia coraz to wyłaniały się, po czym znikwały.

Taksówka, podskakując na wyboistej drodze, minęła kilka wiosek. W każdej z nich była wspólna studnia, wokół której kobiety ustawiły swoje dzbany i wiadra, myły włosy i nogi, a nie opodal, w walącym się szalasy mężczyzna zajmował się strzyżeniem. Nagie dzieci biegały wokół studni.

W jednej z takich wiosek, pod rażącymi promieniami słońca odrodziła się jego żona – na samą myśl o tym czuł się tak, jakby ktoś miażdżył mu pierś szczypcami. Wśród nagich dzieci biegnących w brudzie wokół studni znajduje się jego żona. Nie mógł w to uwierzyć. Chyba śnił – ścisnął w dłoni chusteczkę, zastanawiając się, dlaczego angażuje się w coś tak głupiego.

„Wracamy” – miał zamiar powiedzieć do kierowcy, który w milczeniu patrzył na drogę, ale poczuł dławienie w gardle i nie mógł z siebie wydobyć ani słowa.

Kierowca – jakby poruszony uczuciami Isobego – odwrócił się i wskazał w dal na chmurę kurzu: – Kamłodzi! Kamłodzi! – W ten sposób informował, że wkrótce dotrą do celu.

Pejzaż przed nimi, jak w każdej wiosce, przez którą przejeżdżali: rzędy drzew figi laurowej, wrony krążące nad poletkami pszenicy, a na nich rolnicy idący za bawołami. Zachodzące słońce nadal ostro paliło, sprawując władzę nad ziemią.

Zamknął oczy, w nadziei, że usłyszy głos żony. Nie wiadomo dlaczego jej ostatnie słowa, które tak wyraźnie odzywały się w nim jeszcze dzisiejszego ranka, tym razem się nie rozległy.

Taksówka zatrzymała się przed studnią, wzbijając tumany kurzu. Zaraz zbiegły się nagie dzieci, a matki i ich starsze córki w zmoczonych sari polewały sobie głowy wodą z dzbanów. Na widok kierowcy i Isobego wysiadających z taksówki, która zatrzymała się nagle przed nimi, podniosły głowy i patrzyły na nich niespokojnie, a dzieci wyciągały ręce i prosiły o pieniądze.

Jedna z dziewczynek z wyjątkowo czarnymi oczyma i włosami stanęła przed Isobem i pokazywała ręką na usta.

– Radżini? – Isobe wyjął kartkę i przeczytał słowo w hindi, które mu napisał Enami. – Radżini? – Dziewczynka zdecydowanie potrząsnęła głową i nadal wyciągała do niego rękę.

– Radżini! Radżini! Radżini! – wołały dzieci przedrzeźniając go. Chyba nie zrozumiały. Serce ścisnął mu smutek, poczuł się tak, jakby przegrał bitwę o życie.

– Co się pani najbardziej podobało w czasie tej podróży?

– Mnie? – Mitsuko chwilę milczała. – Przede wszystkim rzeka Ganges, a poza tym rzeźba bogini Ćamunda, którą widzieliśmy w tej mrocznej i dusznej jak łaźnia parowa jaskini. I podobało mi się również to, co wtedy powiedział o niej Enami. Pamięta pan, jak się wtedy spocił? Pot spływał mu po twarzy i skapywał na podłogę.

Myślała o zakurzonej rzeźbie bogini, której ciało wijące się w agonii przypominało splątane korzenie drzew. W New Delhi poruszyła ją bogini Kali, która łączyła w sobie pojęcie łaski i okrucieństwa, ale największym przeżyciem w tym mieście było dwadzieścia minut spędzonych w upale i duchocie jaskini.

Dziś również w pobliżu ghat oprócz dzieci siedzieli chorzy na trąd, którzy wyciągali ręce bez palców i żebrali. Mężczyźni i kobiety z kikutami rąk, okrywający gnijącą skórę brudnymi szmatami, krzyczeli do Numady i Mitsuko błagalnym głosem.

– Przecież to są ludzie! – Numada nie mógł dłużej wytrzymać, omal się nie rozplakał – Oni... są ludźmi, jak my.

Mitsuko nie chciała odpowiadać. W sercu słyszała głos, który jej mówił: *I co, my, turyści, możemy dla nich zrobić?* Tanie współczucie Numady i małżeństwa Sanjō irytowały Mitsuko. Nie

chciała już więcej mieć do czynienia z imitacją miłości. Pragnęła miłości prawdziwej.

Sceneria wokół ghat była taka sama jak wczoraj. Długowłosey hindus w ociekającym wodą dhoti przyjmował błogosławieństwo od kapłana siedzącego pod wielkim parasolem. Gdy zbliżyli się do stosu pogrzebowego, zobaczyli leżące na ziemi ciało zmarłego, owinięte w czarne płótno od głowy do stóp. W tym czasie płomienie trawiły inne zwłoki. Tę scenerię z daleka obserwowały bezpańskie psy o rudej sierści i złowieszcze stado sępów, czyhające na resztki nie spalonego mięsa.

– To ciało starej kobiety, prawda? – szepnął Numada, widząc wychudzone stopy i kostki. Jej twarz objęły już płomienie. Mitsuko porównywała w duchu życie tej starej kobiety z życiem bogini Ćamundy. Ona również cierpiała jak ta bogini, a w końcu umarła, wykarmiwszy dzieci swą zwiotczalą piersią. A Ōtsu takich właśnie ludzi brał na plecy jak krzyże i przynosił nad rzekę...

– Czy widzi go pan?

– Kogo?

– Mojego przyjaciela. Japończyka, którego spotkaliście dziś rano.

– Nie, nie widzę, niestety.

– Szkoda.

– On jest księdzem, prawda? A może jednak należałoby pójść do kościoła, do którego pani dzwoniła?

Mitsuko nagle pomyślała o Isobem. Gdzie teraz był? Czy spotkał się z dziewczyną, o której pisano do niego w liście? Podczas gdy ona szuka w tym mieście Ōtsu, Isobe w tym samym czasie poszukuje swej zmarłej żony.

– Panie Numada, czy wierzy pan w reinkarnację?

– Ja? Przykro mi, ale... po prostu jeszcze nie wiem, przynajmniej tak to czuję.

– Podobnie jest ze mną. W życiu człowieka jest tyle spraw niepojętych.

– Co pani przez to rozumie?

– Właśnie myślę o przyjacielu i o tym, co on robi w tym mieście. Z punktu widzenia przeciętnego człowieka mój przyjaciel naprawdę żył dotąd jak głupiec... ale przyjechałam tu i zaczynam dochodzić do wniosku, że może wcale nie jest taki głupi.

Mimo że wielokrotnie nacisnęła dzwonek, nikt nie podchodził do bramy klasztornej. Uznała już, że dalsze dzwonienie byłoby w najwyższym stopniu niegrzeczne, gdy rozległo się stukanie i szuranie drewniaków. Drzwi się otworzyły i przed Mitsuko stanął stary kapłan o jasnej cerze, ubrany w biały habit, i patrzył na nią srogo.

– Ōtsu? Tutaj go nie ma. – Gdy usłyszał nazwisko Ōtsu, na jego zaciętej twarzy pojawił się raczej wyraz niezadowolenia niż zmieszania.

– Jestem jego przyjaciółką z okresu studiów uniwersyteckich.

– Ja nic o nim nie wiem.

– Gdzie może być teraz?

– Nie wiem.

– Ale jest w tym mieście, prawda?

– Myślę, że jest, ale nic poza tym nie wiem. Nie bierzemy za niego odpowiedzialności.

Ten stary ksiądz zachowywał się jak twardy szeryf z westernów, który stoi na straży prawa. I mówił do niej jak szeryf, który panując

nad gniewem, opowiada o czynach przestępcy. Na koniec z pośpiechem zamknął drzwi.

Blade promienie wieczornego słońca oświetlały mur naprzeciw kościoła. Pod murem dwa czarne bezdomne psy grzebały w śmieciach. Mitsuko poczuła się, jakby ją przepędzono. Ale nie, to nie ona, to Ōtsu został wypędzony. Stary kapłan o twarzy szeryfa z westernów nie darzył Ōtsu sympatią – to jasno wynikało z tonu jego głosu. Widocznie Ōtsu, który nie mógł przystosować się do środowiska duchownych w Lyonie, tutaj również musiał popełnić jakiś poważny błąd.

– Czy dowiedziała się pani, gdzie on jest? – Numada zapytał, czekając na nią przy taksówce. Potrząsnęła głową.

– Nie udało się.

– Czekając na panią, rozmawiałem z taksówkarzem. Zapytałem, czy wie o tym, że wśród mężczyzn noszących ciała zmarłych jest Japończyk. Powiedział, że nic o tym nie wie, ale niedaleko stąd jest pensjonat, który prowadzi Japonka mająca męża Indusa, i tam mogą coś wiedzieć.

– Jak się nazywa pensjonat?

– Mówił, że Kumiko House. Zatrzymują się tam młodzi podróżni z Japonii.

– Może powinnam się z nimi skontaktować.

– Chodźmy więc na kolację do jakiegoś hotelu i stamtąd pani zadzwoni do Kumiko House.

Zapytali kierowcę o najbliższy luksusowy hotel, a on bez zastanowienia odpowiedział: Hotel Clarka jakby miał tę odpowiedź wyuczoną. Gdy taksówka przebijala się przez kłębowisko ludzi, krów i riksz, nagle w pobliżu rozległ się – głośny niby eksplozja – dźwięk orkiestry. Towarzyszyły mu krzyki i śmiechy ludzi, a także nieustanna kakofonia klaksonów.

– *Marriage. Marriage* – wyjaśnił kierowca Numadzie i Mitsuko z rozpromienioną twarzą i dodał, że na ulicy jest taki tłok, ponieważ w hotelu przed nimi odbywa się przyjęcie weselne.

– Czy przejedziemy? – zapytał niespokojny Numada i usłyszeli słowa, jakie wielokrotnie powtarzano im od przyjazdu do Indii: – *No problem.*

Mimo to taksówka nie ruszała z miejsca, przez pięć, a potem dziesięć minut.

– Jak się nazywa ten hotel? – zapytał zniecierpliwiony Numada, a kierowca z obojętną miną powtórzył wcześniej podaną nazwę:

– To Hotel Clarka.

Numada i Mitsuko spojrzeli na siebie i mimo woli roześmiali się.

– Nigdy nie wiem, kiedy są poważni, a kiedy z nas kpią.

– To też są Indie. A może pójdziemy zobaczyć indyjskie wesele?

Zostawili taksówkę i z nieco lżejszym sercem ruszyli ulicą zapchaną samochodami. Przed hotelem, gdzie drzewa były obwieszane żarówkami jak choinki, grała orkiestra, dudnił bęben, ryczała trąbka. Młodzi mężczyźni w smokingach, dziewczęta z czerwonymi kropkami na czole, ubrane w wytworne jedwabne sari wchodzili wciąż do hotelu, jakby ich tam wsysało.

– To jest wesele bogaczy – szepnął Numada. – Oni należą do innego świata niż ludzie, których widzieliśmy nad Gangesem.

– Na co wszyscy czekają? – Mitsuko zapytała dziewczyny stojącej obok, ubranej w barwne sari.

– Wkrótce pan młody przyjedzie na białym koniu. – Odpowiedziała wytworną angielszczyzną dziewczyna z dołeczkami na okrągłej, uśmiechniętej twarzy.

– Na białym koniu?

– Tak. Tutaj narzeczony przyjeżdża po swą wybrankę na białym koniu. To jeden z najpiękniejszych zwyczajów w tym kraju.

Orkiestra po krótkim odpoczynku znów wyzwoliła eksplozję dźwięków, a młodzi mężczyźni w garniturach zeszli się tłumnie z ulicy, klaszcząc i wznosząc okrzyki radości.

W końcu ukazał się pan młody w czerwonym turbanie, jadący na białym koniu. Młodzieniec zsiadł niezdarnie z konia, spłoszonego dźwiękami orkiestry, i wznosił w górę ręce jak zwycięzca w zawodach atletycznych. Otaczający go goście brali z koszyków białe i czerwone kwiaty i rzucali w jego stronę, gratulując mu w ten sposób.

– Jest pani turystką? – zapytała dziewczyna o okrągłej twarzy z dołeczkami w policzkach, patrząc na Mitsuko z sympatią. – Jest pani Japonką, prawda?

– Tak.

– Jest pani pierwszy raz na indyjskim ślubie? Proszę wejść ze mną do środka. Przyjęcie odbywa się w ogrodzie hotelowym.

– Nie mam zaproszenia. Jestem z przyjacielem.

– W tym kraju w radosnych uroczystościach można brać udział bez zaproszenia.

Mitsuko udało się jakoś namówić skrepowanego nieco Numadę. Weszli do ogrodu z drzewami, jak przed hotelem ozdobionymi żarówkami, i rzuciła im się w oczy biel stołów zastawionych ciastkami i owocami. Na prowizorycznej scenie tańczyły trzy dziewczynki, wykonując zmysłowe ruchy rękami i nogami. Czterech muzyków przygrywało im na drewnianych instrumentach.

Dziewczyna z dołeczkami na policzkach przedstawiła Numadę i Mitsuko innym gościom i szybko zostali otoczeni grupą młodych ludzi uśmiechających się z sympatią. Jeden z nich zapytał, jak im się podoba?

– Bardzo.

– Chyba dlatego, że tak bardzo różni się od wesela japońskiego?

– Nie, nie dlatego. – Mitsuko jak zwykle nie mogła powściągnąć przekory. – To dlatego, że jest tak bardzo indyjskie.

– Naprawdę? – zawołali chórem otaczający ją młodzi ludzie i uśmiechali się z zadowoleniem.

Ale Mitsuko i tym razem nie zrezygnowała z okazji, żeby im nie dociać, i powiedziała z ironią, prosto w ich rozradowane twarze:

– Byłam właśnie nad Gangesem, gdzie widziałam dużo dzieci. Stały przede mną wyciągając ręce. A teraz, trzy godziny później... – szukała odpowiedniego słowa, w języku angielskim, którego nie знаła tak dobrze jak francuski. Ale uznała, że wystarczy, by zrozumieli sens – jestem tutaj na wspaniałym, wytwornym przyjęciu z ludźmi całkiem innej klasy.

Przyjazne, sympatyczne uśmiechy zniknęły z twarzy pięknie ubranych młodych ludzi, ustępując grymasom niezadowolenia. Zaczęli o czymś między sobą szeptać, po czym z grupy wystąpił mężczyzna w okularach i zaczął mówić tonem kaznodziei.

– Wygląda na to, że pani krytykuje nasz system kastowy.

– Nie krytykuję, po prostu jestem zdumiona tą ogromną różnicą między kastami.

– Proszę pozwolić, że pani wyjaśnię – mówił tym tonem kaznodziei, a może młodego adwokata z amerykańskich filmów. – Czy zna pani nazwisko doktora Ambedkara?

– Nie.

– To człowiek, który tworzył konstytucję indyjską i został ministrem sprawiedliwości w niezależnych Indiach. W konstytucji, którą napisał, zostały obalone dawne religijne kasty. Myślę, że pani

o tym wie, iż nasz ukochany Mahatma Gandhi nazwał ludzi spoza kast haridżanami, czyli dziećmi Boga.

Mitsuko miała trudności ze zrozumieniem tej krasomówczej przemowy po angielsku, ale jej sens pojmowała. Patrząc na ruchy jego warg, nagle przypomniała sobie coś, o czym mówił Enami: „Najgorszą cechą inteligencji indyjskiej jest to, że mimo jej arogancji i pustych długich wywodów, nigdy nie brakuje jej pychy”.

– Niektórzy spośród haridżan są urzędnikami. Są też tacy, którzy pracują na wyższych uczelniach.

– Rozumiem.

– Często słyszymy od obcokrajowców pytania, które też panią nurtują. A przecież Indie idą drogą postępu. Czy pani czytała wymianę listów między Nehru a naszą obecną premier Indirą Gandhi? Stały się one międzynarodowym bestsellerem. Jestem przekonany, że zostały przełożone na język japoński.

– Myślę, że w Tokio też były bestsellerem, ale ja ich nie czytałam.

– Powinna pani przeczytać. W tej książce Nehru pisze do swej córki Indiry, że Azja jest obecnie kontrolowana przez Europę, a przecież pierwotnie cywilizacja azjatycka była znacznie bardziej zaawansowana. Powiedział, że misją Indii jest przywrócenie Azji dawnej chwały.

Naiwne gadulstwo młodzieńca było irytujące. Szukała wzrokiem Numady, ale nie znalazła go między wielobarwnymi sari i smokingami.

– Co pani myśli o Indirze Gandhi jako kobiecie?

– Niewiele wiem o polityce Indii.

– Ona jest matką Indii. Dzięki swej kobiecej delikatności i sile panuje nad licznymi w Indiach sprzecznościami, konfliktami religijnymi i narodowościowymi.

– Przepraszam, ale muszę poszukać przyjaciela. Dziękuję za cenne wyjaśnienia.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że mogłem rozwiązać pani wątpliwości.

Mitsuko nie wierzyła w tego rodzaju rozumowanie. W pustej oracji młodego człowieka Mitsuko wyczuła woń hipokryzji, tak nieznośnej jak woń zdechłej ryby. W bogini Kali kryło się miłosierdzie, a także zło, ale hipokryzji w niej nie było. W bogini Ćamundzie splątały się z sobą jak korzenie drzew cierpienie, choroba i miłość, ale w niej też nie było śladu hipokryzji. Mitsuko kochała te Indie, które ujrzała w postaciach Kali i Ćamundy, i w rzece Ganges, nie mogła więc uznać argumentów młodzieńca.

Twarze stojących wokół niej młodych ludzi o zdrowej ciemnej cerze i wytwornych manierach uśmiechały się z ulgą.

– Może ponczu dla pani? – spytała dziewczyna z dołeczkami w policzkach, która nadchodząc ostrożnie i czujnie rozglądając się wokół siebie, jakby wracała do miasta zrujnowanego przez wojnę.

– Dziękuję – powiedziała Mitsuko i jeszcze raz posłużyła się złośliwością: – Wolę mocniejsze alkohole. Ale muszę już iść i poszukać przyjaciela.

Weszła do hotelu i zobaczyła Numadę, jak znudzonym wzrokiem ogląda wystawę sklepu z pamiątkami.

– Ledwie się stamtąd wyrwałam. Chodźmy stąd czym prędzej.

– Otoczył panią cały tłum. Ma pani powodzenie.

– Wysłuchałam długiej przemowy na temat konstytucji indyjskiej. Mowa miała raczej smak ponczu.

Numada nie zrozumiał sensu jej słów. Spojrzał na nią łagodnie i powiedział:

– Zadzwoń do Kumiko House.

– Naprawdę? I co? – Nieoczekiwanie ożywiła się. – Czy dowiedział się pan czegoś?

– Tak – Numada zawahał się przez chwilę. – Wydaje się, że pani przyjaciel... odwiedza dość podejrzone miejsca w tym mieście. Podobno go tam znajdziemy, jeśli tam teraz pójdziemy.

– Podejrzone miejsca? A co on tam robi?

– Nie wiem. To co, idziemy tam?

– Jestem zmęczona – rzekła poirytowana i westchnęła. Tego popołudnia miała wrażenie, że niewidoczny Ōtsu wodzi ją za nos. – Przepraszam, to byłoby marnowanie pańskiego czasu – dodała po chwili.

– Nie szkodzi. I tak wolę być w tym mieście, w Waranasi, niż w jakimkolwiek innym. A może byśmy coś zjedli?

– Wróćmy do naszego hotelu. Nie chciałabym, żeby mnie ci weselnicy znów złapali w swe szpony.

Przed hotelem nadal gromadziły się żebrzące dzieci. Jeden z zaproszonych gości wyszedł i rozsypał garść monet nad ich głowami, a dzieci rzuciły się na ziemię, pełzały i walczyły ze sobą. Patrząc na tę scenę przypomniała sobie o haradżinach – „dzieciach Boga” – a także gładką niby kazanie pastora przemowę.

– Idąc tędy, powinniśmy trafić na szeroką ulicę – powiedział Numada, kierując się ku alejce, która otwierała się przed nimi jak jaskinia.

Cuchnęło tu zwierzętami i uryną. Wstrzymując oddech Mitsuko szła tą boczną uliczką, która przypominała jej jamę ustną. Wciąż słyszała za sobą gwar biesiady. Nagle poczuła coś pod stopami i krzyknęła mimo woli:

– Co się stało?

– Chyba na coś nadepnęłam. Numada zatrzymał się i spojrzał w dół.

– To człowiek. Jeszcze żyje.

– Czy jest chory?

– Nie wiem. Pewnie zemdlął z głodu.

Usłyszała, jak Numada rzuca monety, a ten brzęk, przypomniawszy jej scenę sprzed hotelu. Odgłos padających monet zabrzmiał echem pustki i bezsilności.

Rozdział 9

Rzeka

Kiedy wrócili do hotelu i weszli do jedynej tu jadalni, znajdującej się w głębi budynku, zobaczyli boya o dziecinnej twarzy, który drzemał na krześle, a przy środkowym stole, Isobego, przed którym stała butelka whisky. Na ścianie siedziała nieruchomo jaszczurka – wyglądała, jakby była przyklejona.

– Wróciliśmy – Mitsuko pozdrowiła Isobego i usiadła z Numadą przy stole poplamionym ketchupem. Wiedziała bez pytania, patrząc na pijaną twarz i spocone czoło Isobego, że jego całodzienny wysiłek był daremny.

Isobe pierwszy uniósł twarz i zapytał:

– I co, znalazła pani przyjaciela?

– Nie, nie udało mi się.

– No tak, to samo ze mną.

– Nie było jej tam?

– Przeniosła się do tego miasta. Z całą rodziną, w poszukiwaniu pracy.

– Dowiedział się pan o adres?

– W jaki sposób? To nędzna wieś. Nawet w dawnych czasach nie było takich w Japonii.

Isobe mówił takim tonem, jakby chciał ukryć rozczarowanie. Widać było, jak bardzo ten łagodny mężczyzna cierpi – wystarczyło popatrzeć, jaki jest pijany.

Numada i Mitsuko zaczęli w milczeniu jeść przyniesione przez kelnera kościste kurczaki.

– Pani Naruse, nie zgadnie pani, co zrobiłem w drodze powrotnej – powiedział Isobe zaczepnie, jakby szukał kłótni, i nalał sobie pół szklanki whisky. – Dobrze, powiem... poszedłem do wróżbiarza. Do indyjskiego wróżbiarza.

– I pan w to wierzy?

– Oczywiście, że nie. Nie wierzę nawet w tę historię z listu o odrodzeniu mojej żony. Ale ludzie są dziwni. Może po prostu stałem się uparty, a może chwytam się tej nici jak ostatniej nadziei. Kierowca, którego wynająłem, chyba mi współczuł, bo nagle poradził, żebym się udał do słynnego w tym mieście wróżbiarza. Ten wróżbiarz słynie z tego, że odgaduje, kim jego klienci byli w poprzednim życiu i przepowiada, kim będą. To naprawdę śmieszne! A jeszcze śmieszniejsze to, że zdecydowałem się pójść do niego. – Wypił jednym haustem bursztynowy płyn ze szklanki, jakby w desperacji. – Wróżbiarz miał na sobie garnitur z wysokim kołnierzykiem, podobnym do tego, jaki zawsze nosił Nehru. Miał twarz intelektualisty, choćby wykładowcy uniwersyteckiego. Na palcu nosił pierścień z wielkim kamieniem... „Ona odrodziła się i jest bardzo *happy* – mówił z całym przekonaniem. Potem wyciągnął wielką księgę ze skrzyni z tekowego drewna, zapisał imię mojej żony w transkrypcji łacińskiej. Zrobił jakieś obliczenia i kazał sobie zapłacić ogromną sumę pieniędzy.

Mitsuko spuściła wzrok i w milczeniu poruszała nożem i widelcem. Goniący za fantomami Isobe był dla niej męczący. Numada, który nie znał sprawy, zdumiony zachowaniem Isobego, nie śmiał się odezwać.

– Kiedy zapytałem, gdzie ona jest teraz, powiedział, że poszuka, i żebym przyszedł jutro. Na pewno poda mi jakiś zmyślony adres i znów zażąda pieniędzy.

– Czy pójdzie pan do niego?

– Tak, pójdę. To godne pożałowania, prawda? Chcę po prostu dojść wreszcie do ładu ze swoimi uczuciami. Dopiero wtedy będę mógł zrezygnować z dalszych poszukiwań. Myślę, że przyjeżdżając do Indii, przynajmniej zrobiłem tyle, ile mogłem, a zmarła żona dzięki temu osiągnie nirwanę. Czy nie mam racji, Naruse?

Mitsuko myślała o żonie Isobego, jak bez słowa skargi znosiła chorobę. I o tym mężczyźnie, który odwiedzał ją prawie codziennie po pracy. Zwyczajne, niczym nie wyróżniające się małżeństwo. Ale nawet takie pary mają swoje dramaty, których nikt by się nie domyślał.

– Ach, przepraszam. Upiłem się i straciłem panowanie nad sobą. – Oprzytomniał i zdławionym głosem przeprosił milczącego Numadę i Mitsuko. Chwycił butelkę whisky, w której pozostało około jednej trzeciej zawartości, i wstał. – Popełniłem błąd... bo coś takiego jak ponowne narodziny... jest niemożliwe. – I uśmiechając się przez łzy, opuścił jadalnię.

– Co mu się stało? – zapytał zdumiony Numada.

– Nie mam pojęcia – Mitsuko udała, że nic nie wie. Jednocześnie przyszło jej na myśl, że ona i Isobe pod pewnym względem byli do siebie podobni. Oboje gonili za widmami. – Martwię się Kiguchim. Zatelefonuję do niego.

Nazajutrz był 31 października.

Dzień zamachu.

Gdy tego ranka Mitsuko skończywszy makijaż zeszła na dół, nikogo nie zastała w recepcji, a około dziesięciu pracowników hotelu

zebrało się w jadalni przed jedynym tutaj telewizorem. Japończycy, Numada i Kiguchi, który niedawno wrócił do zdrowia, zamiast jeść śniadanie, patrzyli w telewizor. Na ekranie pokazywano zastygłą twarz Indiry Gandhi ubranej w sari.

Numada ujrawszy Mitsuko powiedział: – To straszne. Indira Gandhi została zamordowana.

– Premier? Przez kogo?

– Dokładnie nie wiadomo.

Mitsuko również wpatrywała się w zastygłą na ekranie twarz srebrnowłosej premier. Rzecznik prasowy rządu wciąż powtarzał komunikat, że tuż po dziewiątej w swej oficjalnej rezydencji została zamordowana premier Indii.

– To straszne – Numada usiadł na krześle przy stole, Kiguchi też usiadł i głęboko westchnął. Numada kręcił głową.

– Jeśli nie będziemy się mieć na baczności, możemy utknąć tu na dłużej. Pan Enami i reszta powinni jutro wrócić, ale nie wiadomo, czy latają krajowe samoloty. Nie zdziwi mnie, jeśli zostanie ogłoszony stan wyjątkowy.

– Znając Enamię, jestem przekonana, że skontaktuje się z nami – szepnęła Mitsuko. – Do tego czasu zachowajmy spokój.

Do jadalni weszło małżeństwo Sanjō, które od wczoraj w ogóle się nie pokazywało. Pan Sanjō miał przewieszony przez ramię swój ukochany aparat fotograficzny.

– Dzień dobry. Znów mamy ładną pogodę! O, czy coś się stało?

– Dziś rano została zamordowana premier Indii.

– Naprawdę? I dlatego wszyscy się tu zebrali? Ale to chyba nie ma z nami związku...

– Niech pan się nie wygłupia! Jeśli nie będziemy ostrożni, nasz powrót do Japonii może się opóźnić – powiedział Numada gniewnym głosem.

Dziesięcioletnia twarz młodej żony Sanjō jak zwykle skrzywiła się w grymasie niezadowolenia.

– I co teraz będzie? Mówiłam ci, żebyśmy jechali do Europy.

– Ale pomyśl, tutaj przynajmniej zrobiłem trochę zdjęć. Jak wiesz wartość zdjęć zależy od materiału fotografowanego. Wygrywa ten, kto sfotografuje to, czego innym nie udało się sfotografować – tłumaczył z przejęciem.

W recepcji rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu. Pracownicy, dotąd przykuci do telewizora, nagle się rozbiegli jak na sygnał. Po chwili ktoś zawołał z recepcji: – Pani Naruse, telefon.

Mitsuko, pochylona była nad rozłożoną kartą menu, pomyślała, że to wiadomość od Enamiego, i wstała od stołu. Rzeczywiście, w słuchawce zabrzmiał spięty głos Enamiego.

– Czy już pani wie o tym strasznym wydarzeniu?

– Tak, z telewizji. A gdzie pan teraz jest?

– W Patnie. Tutaj na razie panuje spokój, ale w Delhi podobno wyprowadzono wojsko na ulice. Trudno zdobyć wiarygodne informacje. Teraz proszę słuchać uważnie, dobrze? Jutro na pewno wrócimy do Waranasi. Proszę więc śledzić rozwój sytuacji i zachować ostrożność. Tego zamachu dokonali podobno niezadowoleni sikhowie. W mieście mogą wybuchać pożary, więc proszę uważać wychodząc z hotelu.

– Zrozumiałam.

– Czy z panem Kiguchim wszystko w porządku?

– Dzisiaj rano zszedł z nami do jadalni.

Gdy Mitsuko odłożyła słuchawkę, w jadalni zjawił się wreszcie Isobe z bardzo zmęczoną twarzą.

- Bardzo przepraszam, za swoje wczorajsze zachowanie.
- Rozumiem pana.

Gdy się dowiedział o zamachu, natychmiast zaczął oglądać telewizję, jakby właśnie odzyskał siły po przepiciu.

W końcu na ekranie pokazały się czołgi i oddziały żołnierzy strzegące rezydencji premiera, a także obrazy z miasta Delhi, w którym tu i ówdzie wznosiły się smugi dymu. Pracownicy hotelu znowu zebrali się w jadalni. Sześciorgu Japończykom udało się wreszcie zrozumieć indyjską angielszczyznę, jaką posługiwał się spiker, i dowiedzieć się, że premier została zastrzelona przez sikhów, należących do jej ochrony, kiedy szła ze swej rezydencji do biura, gdzie miała udzielić filmowego wywiadu.

- Kim są sikhowie? - zapytał Sanjō, jedząc śniadanie, które wreszcie im przyniesiono. Lecz bez Enamiego nikt z Japończyków nie zdołał się niczego dowiedzieć o skomplikowanych antagonizmach między hindusami i sikhami.

- W moim przewodniku jest napisane, że oni mają płótno owinięte wokół głowy i noszą krótkie miecze - odpowiedział ponuro Numada.

- W każdym razie zanim dowiemy się, jak przedstawia się sytuacja, pozostaniemy w hotelu - zaproponowała Mitsuko.

- W porządku, nie ma się czym martwić. Taksówki zatrzymują się przed ogrodem hotelowym, więc nie ma żadnego problemu - powiedział z wyrzutem Sanjō, biorąc do ręki aparat. - Co za pech. Gdybym był w Delhi, mógłbym zrobić zdjęcia warte Nagrody Pulitzera.

- Pan chyba nic nie rozumie. Nie martwimy się o pana, ale wychodząc stąd mógłby pan ściągnąć na nas wszystkich kłopoty -

skarcił go Kiguchi tak mocnym głosem, że trudno było uwierzyć, że jeszcze niedawno był chory.

Turyści zdecydowali czekać do popołudnia w pokojach albo w jadalni. W New Delhi ogłoszono godzinę policyjną, wybuchły walki między hindusami i sikhami, wzniesiono pożary w wielu miastach. Ale tutaj, w Waranasi, tylko upał jak zwykle narastał i ptaki radośnie podśpiewywały w ogrodzie, jakby nic się nie zdarzyło.

– Czy można wyjść na ulicę? – Sanjō zapytał w recepcji.

– *No problem* – odpowiedziano mu.

– Wychodzę. Tutaj można tanio kupić wspaniałe kilimy. Rodzina mojej żony prosiła o to – wyjaśnił Numadzie, który nadal oglądał telewizję. – Nie mogę marnować wycieczki tylko dlatego, że zdarzyło się coś absurdalnego. Poza tym moja żona ma powyżej nosa zwiedzania zabytków, zgadza się tylko pochodzić po sklepach, chce kupić jedwab i kilimy.

Isobe w pokoju z zasłoniętymi kotarami, które chroniły przed popołudniowym słońcem, wlał resztki whisky do szklanki i chciał ją podnieść do ust, gdy wtem zdało mu się, że skądś dobiegł głos sprzedawcy patatów, jaki słyszał tamtego dnia.

Yakt imo-o-o. Yaki imo.

Pokój, był pusty, tak jak jego serce. Snop światła wpadł przez szparę między kotarami i oświetlił karalucha chowającego się szybko pod dywan przez wytartą dziurę.

– To twoja wina – Isobe zaczął się usprawiedliwiać przed żoną. – Ja szukałem... ale ciebie nigdzie nie było. – Przypomniawszy sobie, jak w dzieciństwie bawił się z młodszą siostrą w chowanego. – Ja szukałem.

Jestem tutaj.

– Moją ostatnią szansą jest chyba ten fałszywy wróżbita. Isobe nie chcąc usłyszeć głosu żony wlał do gardła piekący trunek. To nieoczekiwane zdarzenie w Delhi wyrwało go z szaleństwa. Gdyby to się nie stało, siedziałbym teraz u wróżbity ubranego w marynarkę ze stójką. I słyszałby, jak w górze pod sufitem, obraca się ze skrzypieniem stary wentylator. Wróżbita uroczystym gestem wzięłyby do ręki imponującą księgę i położył ją na stole, pokazując pierścień z wielkim kamieniem, zdobiący mu dłoń. Niewątpliwie, tym właśnie pierścieniem wyłudzał pieniądze od bogatych Amerykanek i Europejsek.

– Ona lubiła wróżby.

Nagle przypomniał sobie obowiązkowe pielgrzymki noworoczne do świątyń z żoną, która zawsze ciągnęła losy. Zawsze się uśmiechała do siebie, gdy mężczyzna z biura świątyni odczytywał wyciągnięty numer i podawał jej paperek z napisem: „Dobra wróżba”. W tym mieście w dalekim gorącym kraju przypomniało mu się to upodobanie żony, które dawniej nic dla niego nie znaczyło.

Upojenie alkoholowe ogarnęło całe jego ciało. Wpatrywał się w białe promienie słońca padające na podłogę. Było to popołudniowe światło Indii.

Mitsuko siedziała na pomarańczowej sofie i także wpatrywała się w białe światło słoneczne. Słyszała cichy, ustawiczny brzęk w pokoju, wywoływany chyba przez zbyt stary wentylator. Mimo że odbyła tę długą drogę do Indii, dzisiejszy dzień upływał bez sensu. Po co właściwie przyjechała do Indii? Nie, chyba ważniejsze jest inne pytanie: dlaczego zamiast jeździć razem z grupą i zwiedzać historyczne, święte miejsca, tkwi w tym mieście? W odróżnieniu od innych turystów prawie nie interesowała się pałacem Tadź Mahal czy pokazem tańców indyjskich. Natomiast poruszyły ją rzeka Ganges i obraz bogini Ćamundy, o której mówił Enami: bogini z ciałem gnijącym od trądu, opleciona przez jadowite węże, ale karmiąca mlekiem z wychudłych, obwisłych piersi. W tym

wszystkim Mitsuko odkryła matkę Azji, która jęczy pod brzemieniem życia doczesnego, całkowicie inną od wzniosłej, dostojnej europejskiej Matki Boskiej.

Białe światło, wpadające przez okno, nagle przypomniało jej kaplicę w Kultur Heim, w której była kiedyś po zajęciach. Czekala tam na Ōtsu ze złymi intencjami w sercu. Na dole przy schodach zabrzmiał uroczyście kurant wielkiego zegara i ujrzała otwartą Biblię.

*Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi
Mąż boleści, oswojony z cierpieniem,
jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa,
wzgardzony tak, iż mieliśmy Go za nic.
Lecz On się obarczył naszym cierpieniem,
On dźwigał nasze boleści.*

Dlaczego szukam tego mężczyzny?

Obraz bogini Ćamundy w jej duszy nałożył się na Jego postać, a potem na nędzną postać Ōtsu, kiedy go widziała w Lyonie. Gdy teraz o tym myślała, wydało się jej, że nieświadomie za czymś gonila, ścigając Ōtsu. Tego mężczyznę, którego dawniej przezywano błaznem, „brzydkiego i bez majestatu”, którym gardziła i którego odrzuciła. I chociaż uczyniła go zabawką w rękach swej pychy, to jednak on głęboko zranił jej dumę.

Rozległo się pukanie i głos Numady wyrwał ją z zamyślenia.

– W mieście chyba panuje spokój. Małżeństwo Sanjō i pan Isobe wyszli z hotelu. Zastanawiam się, czy również nie pójść na miasto. Czy nie poszłaby pani ze mną?

*

Pod sufitem, jak wczoraj obracał się ze skrzypieniem nie naoliwiony wentylator, oprawne w skórę książki na półce pod ścianą stwarzały atmosferę powagi. Naprzeciw Isobego przy stole siedział wróżbita w marynarce ze stójką, podobnej do tej, jaką nosił Nehru.

– *No problem* – oświadczył po chwili.

Napisał coś na kartce grubym srebrnym piórem marki Parker, i podał ją Isobemu ręką ozdobioną pierścieniem. Był to adres, o który prosił. Patrząc uważnie na mężczyznę, dostrzegł, jak przez jego twarz przebiegł cień chytrego uśmieszku. I nagle Isobe wszystko pojał, ale w sercu czuł rezygnację zamiast gniewu. Wróżbita rzekł z pośpiechem: – Sto rupii.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, buchnęło żarem zapierającym dech w piersi, mimo że zapadał już zmierzch. Nie było jednak wiatru. Kierowca taksówki, którą przyjechał, cierpliwie czekał w tym upale. Tutaj też mały brat z siostrą nie odstępowali Isobego i podobnie jak wróżbita wyciągali dłonie po pieniądze.

Gdy Isobe patrzył na cztero- może pięcioletnią dziewczynkę, odgrywającą głód jak aktorka, nagle poczuł wzbierające w nim przerażenie. A jeśli to jego żona? Myśl o tym, że dziewczynka może być jego odrodzoną żoną przeszła jego serce jak ostrze noża. Z pośpiechem dał jej trochę monet i wszedł do taksówki.

Kierowca spojrział na kartkę papieru z adresem napisanym przez wróżbitę, kiwnął głową i ruszył. Obok nich przejechała hałaśliwie motorowa riksza. Przed kioskiem, gdzie sprzedawano sok z trzciny cukrowej, leżała krowa. Isobe obojętnie patrzył na mijane obrazy i czuł się tak, jakby uczestniczył we własnym śnie. Nie wierzył, że odzuka odrodzoną żonę pod adresem, który podał kierowcy. Ale jak pacjent, któremu lekarz powiedział, że ma raka i niebawem umrze, chwyta się wątlej nici nadziei, tak i on znosił cierpliwie poczucie daremności wysiłków. *Po tym mogę już zrezygnować* – mówił do siebie. – *Wtedy ostatecznie zrezygnuję.*

Na małym placyku z rzędami szalasów stało kilka rikszy czekających na klientów. W warsztacie, gdzie reperowano rowery i rikszę, paru mężczyzn montowało jakiś pojazd, a na poboczu drogi, wśród pstrokatych posążków boga Śiwy i owoców siedziała kobieta.

– To tutaj – kierowca zatrzymał taksówkę.

– Gdzie? W którym domu? – zapytał Isobe, a kierowca potrząsnął głową i podał mu kartkę otrzymaną od wróżbity. Na tym kawałku chropowatego papieru była napisana tylko nazwa ulicy bez numeru domu. Chociaż spodziewał się niepowodzenia, to jednak ogarnął go żal.

Mimo to wysiadł z samochodu i wszedł do warsztatu naprawy rikszy.

– Czy pan zna dziewczynę o imieniu Radżini?

– Radżini?

– Radżini, mała dziewczynka.

Mężczyźni ze zdziwieniem spojrzeli na Isobego i zaczęli coś mówić w języku hindi, który brzmiał dla Isobego, jakby spluwanie na ziemię. Następnie bezżębny starzec pokazał koniec drogi i nosowym głosem powiedział: – Ra-dzi-ni.

Nikły powiew chłodu w końcu wkradł się w duszący żar zapadającego zmierzchu, ale woń potu, zwierząt i ziemi, do jakiego Numada i Mitsuko już przywykli, stawała się coraz mocniejsza, gdy wchodzili do miasta.

– Sklep z ptakami, sklep z ptakami – Numada szepnął do siebie.

– Co pan powiedział?

– Czy moglibyśmy wstąpić po drodze do sklepu z ptakami?

– Oczywiście, poświęcił mi pan tyle czasu... A co chciałby pan kupić?

– Szpaka azjatyckiego.

– Szpaki azjatyckie można kupić również w Tokio, prawda?

– Wszystkie mają ucięte ogony. Chciałbym mieć dzikiego.

Mitsuko podejrzliwie spojrzała na Numadę, ale o nic więcej nie pytała. Ona też miała sekrety, których nie chciała nikomu zdradzać. Kiedy pracowała społecznie i któryś z pacjentów – zwykle kobiet w średnim lub podeszłym wieku – chciał jej wyjawic jakiś sekret, natychmiast odwracała głowę i udawała, że nie słucha. Odwracała się do nich plecami na znak odmowy i bezradności – w ten sposób dawała im do zrozumienia, że nawet jeśli wysłucha ich zwierzeń, nic dla nich nie może zrobić. „Przełożona pielęgniarek nie pozwala na to. Zakazuje wolontariuszom zajmować się prywatnymi sprawami pacjentów” – wyjaśniała im.

Numada chyba był rozczarowany, że Mitsuko nie zapytała go, dlaczego chce kupić szpaka. Gdy wskazała na sklep przypominający barak i powiedziała: „To chyba sklep z ptakami”, ruszył szybko w tamtym kierunku.

Do słupka była przywiązana małpa. W stojących jedna na drugiej klatkach w kształcie latarni skrzeczały papużki faliste, kurczęta głośno piszczwały i biegały w kółko na dnie skrzynek.

– Czy ma pan może great hill myna? – zapytał Numada, stojąc w drzwiach. Mitsuko nie znała angielskiej nazwy szpaka azjatyckiego, a słysząc ją z ust Numady zrozumiała, że na pomysł kupienia tego ptaka Numada nie wpadł nagle, lecz już przed wyjazdem miał zamiar go zdobyć. Przez jakiś czas rozmawiał ze sprzedawcą, potem podał mu nazwę hotelu i własne nazwisko, i wrócił do Mitsuko.

– Dostarczą mi do hotelu.

– Czy pan chce zabrać szpaka do Japonii?

– Ależ nie! – Numada uśmiechnął się znacząco. – Wręcz przeciwnie. Wiele lat temu szpak azjatycki pomógł uratować moje życie. Teraz chcę mu się za to odwdziżyć. To pewnie sentymentalne, jeśli się nad tym zastanowić...

Z zewnątrz budynek wyglądał tak samo jak inne w okolicy. Wszędzie odpadały tynki, więc ściany wyglądały, jakby cierpiały na jakąś chorobę skóry. O tym, gdzie jest dom publiczny, Numada dowiedział się w recepcji hotelu.

– Nawet jeśli pani przyjaciel tutaj nie przychodzi... to może chociaż trafimy na jakiś trop.

– Bardzo mi przykro, że zmuszam pana do odwiedzania takich miejsc.

– Nie szkodzi. Prawdę mówiąc, ja również interesuję się poszukiwaniem skarbu. Ale dlaczego pani tak bardzo chce znaleźć tego księdza?

Mitsuko odpowiedziała obcesowo na niezbyt grzeczne pytanie Numady.

– Z tego samego powodu, z jakiego pan szukał szpaka azjatyckiego.

– Rozumiem.

Powiedział „rozumiem”, ale nie potrafił zrozumieć obcesowości Mitsuko.

– Co zrobimy? Może sam wejść i zapytam.

– Nie, wejść z panem. Jeszcze dziwniej byłoby, gdyby kobieta stała sama przed takim domem.

– To też racja.

Gdy skierowali się w stronę schodów, gdzie również odpadał tynk, przyglądający się im mężczyzna nagle pomachał rękami i krzyknął: – *No lady. No.* – Numada odwrócił się i odpowiedział: – *No problem.*

Na schodach tu i ówdzie stały kałuże brudnej wody, a na podwórku przypominając wysypisko śmieci schło pranie. U szczytu schodów, były drewniane drzwi z judaszem, który wyglądał jak oko jakiegoś potwora patrzącego w ich stronę. Gdy Numada nacisnął dzwonek, w okrągłym otworze pojawiło się czyjeś oko.

– *You are welcome* – rozległ się czyjś głos, a następnie zgrzyt otwieranego zamka. Naprzeciw nich pojawiła się twarz mężczyzny, który w fałszywym uśmiechu ukazywał dwa zęby z przodu. Na widok Mitsuko powtórzył to, co powiedział im mężczyzna na dole: – *Lady, no!*

– Szukamy Japończyka – wyjaśnił Numada. – Czy może jest tutaj?

– *No* – i już zamykał drzwi, ale Numada wyjął z kieszeni jednego dolara i drzwi pozostały nie domknięte. Przez szparę Mitsuko ujrzała kratę jak w klatce dla zwierząt. Zza krat kobiety ubrane w sari przypominające raczej szmaty wpatrywały się w nią dziwnie błyszczącymi oczyma. Były to oczy zdziczałych kotek. Pośród nich na połamanym łóżku leżała bokiem dziewczynka – prawie dziecko jeszcze.

Gdy w ręku mężczyzny znalazł się jeszcze jeden dolar, na jego twarzy pojawił się wulgarny uśmiech.

– On jeszcze nie przyszedł – powiedział z miną przekupnego zdrajcy.

– Kiedy przyjdzie?

– Nie wiem. – Głupia odpowiedź wypadła mu spomiędzy szczerb.

– A gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Gdy przyjdzie, proszę powiedzieć, żeby zadzwonił pod ten numer.

Numada wręczył mężczyźnie kolejnego dolara, a on uśmiechnął się lekceważąco. Nagle rozległy się kroki na dole, szybko zaczął machać rękami, jakby odpędzał psa, na znak, żeby sobie poszli. Po schodach wchodził młody mężczyzna, ubrany tak samo jak młodzieniec z wczorajszego wesela, który tak pięknie przemawiał do Mitsuko. Na ich widok stanął, wahając się, czy ma wejść.

Mitsuko podążając za Numadą opierała się o odrapaną ścianę, ale wciąż trafiała nogą w kałuże brudnej wody.

– I co teraz?

– Rezygnuję. Sprawiałam panu dużo kłopotu.

Wieczorna mgła otuliła miasto. Mitsuko nagle poczuła, że nic w jej życiu nie miało sensu i wszystko było daremne. Nie tylko ta podróż do Indii, ale wszystko, co się z nią działo do dnia dzisiejszego: lata studenckie, krótkie małżeństwo, hipokryzja i imitacja pracy społecznej. Nawet chodzenie po tym obcym mieście w poszukiwaniu Ōtsu. Niejasno odczuwała, że istotą tych bezsensownych działań było jedynie pragnienie *czegoś*. Czegoś, co by jej dało poczucie spełnienia. Ale nie mogła pojąć, czym jest to coś.

Eksplozja dźwięków, identycznych jak te, które słyszała wczoraj, nagle wdarła się w jej rozmyślenia.

– Znowu wesele? – Numada zatrzymał się i spojrzał w stronę, skąd dochodziła muzyka. Zobaczyli rozkrzyczany tłum ludzi idących w szeregu w rytm uderzeń bębna. – To demonstracja!

Mężczyźni nieśli białe transparenty, na których czarne znaki w hindi i po angielsku głosiły: „Nie zapomnimy Indiry”, „Indira – nasza Matka”.

Dystyngowani Indusi, jakich Mitsuko widziała na przyjęciu weselnym, teraz szli uroczystym krokiem pod transparentem głoszącym: „Indira – nasza Matka”, a za nimi szły zebrzące dzieci i inni biedacy – mężczyźni i kobiety. Oni także głośno wołali: „Indira – nasza matka”. Policjanci w hełmach pilnowali porządku.

„Indira – nasza Matka” – Numada przeczytał napis na transparencie.

„Nasza matka nie żyje. Nasza matka nie żyje”.

– Na-ru-se-san! – ktoś zawołał po japońsku.

Znała ten głos. To Ōtsu, w brudnym ubraniu, w marynarce aćkan z długimi rękawami i w wytartych dżinsach.

– Słyszałem, że mnie szukasz. *Namaste*.

– *Namaste*. – Mitsuko poczuła, że mówi zachrypniętym głosem, zmusiła się do uśmiechu. – Tak, szukałam wszędzie! Pytałam nawet w kościele.

– Przepraszam.

– Przepraszam. – Nawyk przeproszania pozostał mu do dzisiaj, mimo że minęło tyle lat. – Już nie jestem w kościele. Przygarnął mnie jeden z hinduskich aśramów.

– Aśramów?

– To coś podobnego do seminarium.

– Czy przeszedłeś na hinduizm?

– Nie, ja... jestem taki, jaki byłem dawniej. Mimo wszystko wciąż jestem chrześcijańskim kapłanem. Lecz hinduistyczni sadhu przyjęli mnie bardzo ciepło.

– Może gdzieś porozmawiamy. Przyjdiesz do mnie do hotelu?

– W tym ubraniu? Nie wpuszczą mnie tam.

– Jest tam piękny ogród. I ławki w ogrodzie.

– To znaczy, że mieszkasz w Hotel de Paris, prawda?

– Widzę, że dużo wiesz.

– Mój przyjaciel, biedak, nie należący do żadnej kasty, bierze od nich pranie. Ten ogród hotelowy jest tutaj słynny.

Mitsuko przedstawiła Numadę, który przyglądał im się z zaciekawieniem.

– Bardzo dziękuję. A teraz zabiorę przyjaciela do hotelu.

– „Indira jest naszą matką, nie zapomnimy Indiry”. – Procesja minęła troje Japończyków, wznosząc okrzyki.

– „Nasza matka nie żyje. Nasza matka nie żyje*’.

Rozdział 10

Przypadek Ōtsu

Numada zachował się bardzo taktownie mówiąc, że chce jeszcze raz pójść do sklepu z ptakami, zostawił oboje w taksówce i zniknął w tłumie demonstrantów. Mitsuko i Ōtsu przez chwilę milczeli.

– Przyjechałaś do Indii w strasznym czasie – powiedział Ōtsu z wahaniem.

– Tak, ale nic nie rozumiem z tego, co się tu dzieje.

– W New Delhi tu i ówdzie wybuchają zamieszki.

– Aż dziw, że tutaj jest tak spokojnie.

– To dlatego, że... dla hindusów jest to święte miejsce.

– Czy ciało Indiry również zostanie wrzucone do Gangesu?

– Chyba tak. Zostanie powierzone wodom Gangesu jak ciała biedaków spoza kast uprzywilejowanych. Podobno pogrzeb odbędzie się trzeciego października.

Gdy dobiegł końca długi dzień w Waranasi, nagle zrobiło się chłodno. W ogrodzie rozśpiewały się ptaki, jakby powróciły do życia, a huśtawka, mimo że nikt jej nie dotykał, poruszała się i skrzypiała. Ōtsu siedział na ławce ze złączonymi kolanami, jakby czuł się skrepowany. Jego lękliwa nieśmiałość przypomniała Mitsuko, jak siedząc na ławce na terenie uniwersytetu, znosił jej złośliwości.

– Może zjesz kanapkę? Może się napijesz? – Nawet mówiła do niego tak jak w dawnych studenckich czasach. – Więc mieszkasz z hindusem?

– Tak. W tym kraju, gdy hindus się starzeje, zostawia dom dzieciom i wyrusza na włóczęgę w celu doskonalenia ducha. Takich ludzi nazywa się sadhu. To jeden z sadhu zaopiekował się mną.

– Jak bezpańskim psem,

– Tak, wtedy naprawdę byłem takim bezpańskim psem.

– Ōtsu mówił takim głosem, jakby miał zatkany nos.

– W tym czasie naprawdę byłem na dnie.

– Czy mieszkając razem z wyznawcami hinduizmu, nie zostałeś potępiony przez kościół?

– Kościół zawsze mnie ganił.

– Nie całkiem rozumiem – powiedziała po chwili milczenia. – Czy nadal jesteś księdzem?

– Tak, ale stałem się maruderem.

Kelner, który przyniósł kanapki i czajnik z herbatą, ujrawszy Ōtsu nawet nie starał się kryć pogardy.

– Często mnie traktują jak ludzi spoza kasty. W tym stroju mogę nosić ciała zmarłych. Gdybym był ubrany w strój misjonarza, nie pozwoliliby mi dotknąć zmarłego. Hindusi nie zezwalają wyznawcom innych religii na postawienie choćby stopy na placu kremacji.

– Słyszałam, że widziano cię w miejscu kremacji – mówiła zaskoczona Mitsuko – ale czy naprawdę nosisz... zmarłych?

– Tak, w tym mieście jest bardzo dużo ludzi, którzy padają w drodze ku rzece, nie dochodząc do celu. Miejska ciężarówka jeździ raz na dzień, więc pozostają też ciała nie zauważone.

– Widziałam kogoś takiego.

– Tych, którzy jeszcze żyją, zabieram do przytułku nad rzeką. Zmarłych zanoszę na stosy pogrzebowe na ghatach.

Mitsuko poczuła pod powiekami drgające płomienie, które widziała przed dwoma dniami przy Manikarnika Ghat. Ciało starej kobiety, podobne do mumii, owinięte w czerwone i czarne płótna, leżące na bambusowym łożu. Gdyby ktoś zdarł z niej płótno ukazałaby się rozkładająca się postać bogini Ćamundy. Ciała zmarłych noszą ślady cierpień za życia, ślady łez...

– A więc ty... zanosisz je do hinduskich krematoriów?

– Tak. Bogatych odprowadzają rodziny. Ale samotnych biedaków spoza kast nie ma kto przynosić, pomagają im bardzo nieliczni. A przecież biedacy też pragną odpłynąć z nurtem wód Gangesu, schodzą się więc do tego miasta, powłócząc nogami.

– Ale przecież nie jesteś hinduskim braminem.

– Czy to ważne? Gdyby ów Mąż był w tym mieście teraz...

– Ów Mąż? To znaczy, mówisz o Cebuli?

– Tak. Gdyby przybył do tego miasta, brałby na ramiona zmarłych w drodze i zanosił na miejsce kremacji. Tak jak za życia dźwigał krzyż na ramionach.

– Lecz kościół Cebuli ma chyba jak najgorsze mniemanie o twoich czynach. – Mitsuko mimowolnie wyrzekła te kąśliwe słowa, ale już w chwili, kiedy je wypowiadała, była zdeglustowana własną bezczelnością.

– Wszędzie miałem złą opinię. Na uniwersytecie, w seminarium duchownym, w klasztorze... i w tym kościele. Ale to już nie ma dla mnie znaczenia.

– Ale to twoje zachowanie...

– Tak wiem. Ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że Cebula istnieje nie tylko w europejskim chrześcijaństwie, jest również w buddyzmie. Tak myślę, i tak działałam, bo takie życie wybrałam.

Przez otwarte okno jadalni, gdzie dla grupy przybyłych tego dnia turystów z Ameryki występował zespół indyjski, usłyszeli dźwięki muzyki. Właśnie grano melodię na instrumencie zwanym harmonium.

– Zmarnowałeś chyba całe swoje życie.

– Niczego nie żałuję.

– Czy hindusi wiedzą, że jesteś księdzem?

– Mówisz o tych, którzy padli w drodze? Oczywiście, że nie wiedzą. Kiedy uchodzi z nich życie, albo kiedy pochłaniają ich płomienie nad rzeką, modłę się do Cebuli. Mówię: „Tego człowieka oddaję Tobie, proszę więc, przyjmij go i weź w ramiona”.

– Czy ty przypadkiem nie wierzysz w reinkarnację, jak buddyści i hinduiści? A przecież jesteś księdzem. – Aby zachować resztkę dumy w sercu, musiała zadać to pytanie, czując że przekonało ją to życie, które wybrał Ōtsu.

– Kiedy Cebulę zabito – mówił cicho, patrząc w ziemię, jakby zwracał się tylko do siebie – uczniowie, którzy pozostali przy życiu, zrozumieli jego miłość i sens tej miłości. Przeżyli, albowiem porzucili Cebulę i uciekli. I chociaż Go zdradzili, On nadal ich kochał. Dzięki temu głęboko zapadł w serca winowajców, którzy już nigdy nie mogli go zapomnieć. Uczniowie udali się do dalekich krajów i głosili dzieje Jego życia. – Ōtsu mówił takim tonem, jakby miał przed sobą książkę z obrazkami i czytał ją biednym induskim dzieciom. – I nadal żył w sercach swoich uczniów. Chociaż umarł, to jednak zmartwychwstał w ich sercach.

– Niezupełnie rozumiem – zaprotestowała Mitsuko. – Wydaje mi się, że słucham opowieści nie z tego świata.

– To nie są opowieści nie z tego świata. O, spójrz na mnie. On żyje nawet w takim człowieku jak ja.

To prawda, że swym nieszczęśliwym życiem Ōtsu dowodzi prawdziwości tych słów, które tak bardzo różniły się od płynnej i dowcipnej, ale płytkiej, pachnącej ponczem retoryki młodego mężczyzny z przyjęcia ślubnego.

Zapaliły się latarnie w ogrodzie i oświetliły profil pryszczatej twarzy Ōtsu.

– Zawsze kiedy patrzę na Ganges, myślę o mojej Cebuli. Ganges pochłania prochy wszystkich ludzi i niesie je z nurtem, nie odrzuca ani kobiety wyciągającej bezpalce ręce w żebraczym geście, ani zamordowanej premier Gandhi. Rzeka Miłości zwana Cebulą również przyjmuje wszystkich – nie odrzuca ani najbrzydszych, ani najbrudniejszych.

Mitsuko już nie protestowała, czuła, jak wielka ich dzieli odległość. Sposób, w jaki żył i słowa, które wypowiedział, pochodziły z całkiem innego świata, niż ten, w którym przebywała Mitsuko. Nie rozumiała jego Cebuli, lecz już wiedziała, że nieodwołalnie wyrwał Ōtsu z jej objęć.

– Ōtsu-san, masz na twarzy pryszczę.

– Wiem. To dlatego, że spędzam za dużo czasu w domu publicznym.

– Nie mogę uwierzyć... chyba nie obejmowałaś żadnej z nich?

– Obejmowałem! Ale tylko wtedy, kiedy te nieszczęsne kobiety zapracowały się na śmierć dla swoich mężczyzn. Brałem na ręce ich martwe ciała zawinięte w szmaty.

Mitsuko po raz pierwszy słyszała, jak Ōtsu żartuje. To by wskazywało, że w jego sercu zapanował spokój.

Kiedy skończył się koncert muzyki indyjskiej, rozległy się śmiechy i gwar rozmów Amerykanów, z daleka przypominający bzyczenie owadów. Jakby na ten znak Ōtsu wstał z ławki.

– Muszę już iść... Jutro wcześniej wstaję. – Uśmiechnął się ze smutkiem – Naruse-san, chyba się już nigdy nie spotkamy.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy. Dokąd jutro idziesz?

– Nie wiem. W tym mieście zawsze są pielgrzymi, którzy padają w drodze i umierają. Gdzieś na tyłach domów siadają oparci o ścianę i umierają, schorowane prostytutki porzucane są tuż przy rynsztokach. Możliwe że jutro rano, kiedy rozpoczną palenie zwłok nad Gangesem, będę się włóczył w okolicy Manikarnika Ghat.

Isobe szukał baru. Potrzebował się napić jak poprzedniego wieczoru. Już nie czuł urazy do wróżbity o twarzy wykładowcy uniwersyteckiego. Po przyjeździe do Indii był świadkiem nędzy ludzkiej. Widział żebraków, ale takich, którzy dla zdobycia chleba, dla przeżycia wykorzystują kalectwo, ułomności ciała. Wróżbita był jednym z nich. Isobe zrozumiał, że wykorzystywał on „niepojętą tajemniczość Indii”, żeby zarobić na życie. Jednak jego serce wzbierało niewysłowionym bólem.

Ten ból pchał go na poszukiwanie alkoholu. Isobe cały dzień włóczył się po ulicach, tak brudnych, że trudno to sobie nawet wyobrazić, i spotykał wiele kobiet o imieniu Radżini, a każda z nich patrzyła na Isobego zaleknionym wzrokiem, po czym wyciągała ręce i prosiła o jałmużnę: – *Babudźi, bakszysz!*

Isobe szedł teraz przed siebie bez określonego celu. W końcu w bocznym zaułku znalazł knajpkę, której właściciel nie odważyłby się otworzyć sklepu przy głównej ulicy. Sprzedawał głównie ziarno i jakieś dziwne zakurzone konserwy, a gdy Isobe zapytał o whisky, sprzedawca potrząsnął głową i wyciągnął butelkę mówiąc, że to

indyjska wódka. Pokazując palcem na butelkę wyjaśnił, że nazywa się „Chan”.

Isobe szedł przed siebie, pijąc prosto z butelki, i nie zastanawiał się, dokąd zmierza. Pragnął tylko czym prędzej się upić, zamroczyć umysł i zagłuszyć nieznośny ból.

Paru hindusów kłóciło się na ulicy. Wyciągnęli z domu postawnego mężczyznę i zaczęli go bić. Mężczyzna głośno krzychał. Krew płynęła mu z nosa i zalewała twarz, w końcu pojawiła się policja, i napastnicy zniknęli jak wiatr.

Młodzieniec, który się temu przyglądał, zaczął tłumaczyć Isobemu, o co chodzi, mimo że nikt go o to nie prosił.

– To jeden z przywódców sikhów. Czy wie pan, że sikhowie dziś rano zamordowali premier Gandhi? – I z egzaltacją zakrył twarz rękami. – A przecież nie mieli żadnego powodu zabijać naszą matkę. Premier mianowała sikha, Zaila Singha, na prezydenta Indii.

Nie chcąc słuchać wyjaśnień młodzieńca, Isobe udawał, że nie rozumie angielskiego i ruszył dalej, a młodzieniec zawołał jeszcze za nim:

– Lepiej szybko wrócić do hotelu. W kilku miastach ogłoszono godzinę policyjną. W tym mieście, podobnie jak w Delhi, obco-krajowcy będą w niebezpieczeństwie, jeśli wybuchną zamieszki.

Jak dotąd Isobe nie interesował się walkami religijnymi. Jako Japończyk nic nie wiedział o tle i przyczynach konfliktów między hindusami i sikhami. Zrozumiał jednak, że nawet religijni ludzie nienawidzą się wzajemnie, występują przeciwko sobie i zabijają się. Nie można więc zaufać religii. Teraz najcenniejszą rzeczą na świecie wydawały mu się wspomnienia o żonie. I uświadomił sobie, że dopiero wtedy zrozumiał jej wartość i jak wiele dla niego znaczyła, kiedy ją stracił. Przedtem żył w przekonaniu, że praca i jego sukcesy są wszystkim. Ale mylił się. Teraz rozumiał, jak wielkim był egoistą i czuł się winny.

Zamroczony alkoholem, stracił poczucie kierunku, więc szedł tylko po to, żeby się zmęczyć. Żeby wyczerpać siły i paść gdzieś z przepicia. *Sir! Sir!* – z prawa i z lewa wołali do niego rikszarze. Z lewej strony Isobe zobaczył kwiaciarnię i stoisko z miedzianymi dzbankami i wtedy spostrzegł, że doszedł już do rzeki.

Żebracy spali na kamiennych schodach prowadzących do ghat. Ujrzawszy Isobego, zaczęli coś do niego bełkotać. Rzucił więc garść monet, wszedł na pomost i skrył się za bielizną schnącą na brzegu rzeki.

Przed jego oczyma płynęła potężna rzeka. Poświata księżycowa lśniła na wodzie jak srebrzysta folia. Nikt jeszcze się nie kąpał, gwar dnia już ucichł. Nie dostrzegł też nigdzie ani jednej łódki.

Usiadł na kamieniu, używanym do tłuczenia pranych rzeczy i patrzył na rzekę o barwie cyny, płynącą cicho z południa na północ. Od czasu do czasu poruszały się na wodzie jakieś ciemne przedmioty. Rzeka, obojętna na wszystko, odpływała, unosząc z sobą te szczątki.

Wyrzucił do rzeki butelkę. Niezliczone rzesze hindusów wierzyły, że ten wielki nurt rzeki ich oczyszcza. Wierzyli, że rzeka połączy ich z lepszym życiem po śmierci. Czy te wody niosły również jego żonę?

– Moja droga! – zawołał. – Dokąd odeszłaś?

Dawniej, kiedy jeszcze żyła, nigdy nie zwracał się do niej z tak głębokim uczuciem. Jak wielu mężczyzn był zaabsorbowany pracą i lekcewał swój dom. Nie oznaczało to, że jej nie kocha. Sądził, że żyć to pracować, i to pracować pilnie; i że kobiety są szczęśliwe, mając pracowitych mężów. Nigdy nawet nie pomyślał, jak wielkim uczuciem go darzy. Zadowolony z siebie nie wiedział, jak silne łączyły ich więzy.

Lecz kiedy usłyszał te ostatnie słowa żony wypowiedziane na łożu śmierci, zrozumiał, czym są więzy łączące ludzi, więzy, których nic nie może zastąpić.

Od czasu do czasu docierały nad rzekę jakieś hałasy. Może znów hindusi atakowali sikhów. Każda ze stron wierzyła, że to ona ma rację, jedni nienawidzili odmienności drugich.

Zemsta i nienawiść nie ograniczają się do świata polityki, istnieją nawet w świecie religii. Gdy powstaje grupa na tym świecie, rodzą się antagonizmy, rodzą się waśnie, spiski, wszystko po to, by poniżyć przeciwnika. Isobe, który przeżył w Japonii czas wojny i lata powojenne, widział bardzo wiele takich ludzi i grup, i miał ich dość. Słowo „sprawiedliwość” słyszał tak często, że aż do znudzenia. W pewnym momencie zagościło na dobre w głębi jego serca niejasne uczucie, że w nic już nie można wierzyć. Dlatego w pracy ze wszystkimi utrzymywał dobre stosunki, ale w głębi serca nikomu nie ufał. Z doświadczenia wiedział, że w duszy każdego człowieka gnieździ się egoizm i ci, co głoszą swoje dobre intencje i słuszność tylko swoich działań, w ten sposób naśladowali tylko egoizm. On też uznawał tę postawę, więc prowadził życie powściągliwe, bez wichrów i burz.

Lecz teraz, gdy został sam, w końcu zrozumiał, że istnieje fundamentalna różnica między egzystowaniem a życiem. I chociaż utrzymywał kontakty z wielu ludźmi, to jednak musiał teraz przyznać, że w jego życiu były tylko dwie osoby, z którymi łączyły go prawdziwe więzy – matka i żona.

– Moja droga! – znów zawołał ku rzece. – Dokąd odeszłaś?

Rzeka porwała jego wołanie i nadal cicho płynęła w dal. Lecz w tym srebrzystym milczeniu wyczuwał jakąś moc. Rzeka, która niezliczoną masę ludzi wzięła już w swoje objęcia i odprowadziła w następny świat, uniosła też krzyk rozpaczony człowieka siedzącego na przybrzeżnej skale.

Rozdział 11

Zaprawdę On dźwiga nasze cierpienia

Na podwórku bezpańskie psy grzebały w śmietniku. Widząc nadchodzącego Ōtsu, błysnęły ślepiami i zaczęły warczeć. Lecz nie atakowały go. Wewnątrz cuchnącego domu z kamienia panowała ciemność. Pięciu sadhu, mieszkających w aśramie, wstawało wcześniej, dlatego wszyscy już spali. Pomieszczenie w samym kącie na parterze – trudno je nazwać pokojem – było miejscem do spania przydzielonym Ōtsu, który właśnie otworzył drzwi, wszedł do środka, gdzie nadal czuć było potem i żarem dnia, i zapalił światło. Goła żarówka oświetliła kilka książek rzuconych na pofałdowane łóżko. Modlitewnik, upaniszady, książka o Matce Teresie. Słychać było bzyczenie komarów. Zapalił przysłane z Japonii trociczki przeciw komarom, zdjął marynarkę aćal, i sandały ćappal, zamoczył ścierkę w wiadrze i dokładnie wytarł górną część ciała.

Uklęknął i pomodlił się. Następnie wziął zbiór wypowiedzi Mahatmy Gandhiego i położył się na łóżku, wciąż wilgotnym od wczorajszego potu. Czekał na sen, przebiegając wzrokiem linijki, które już wielokrotnie czytał.

„Jako hindus wierzę instynktownie, że w każdej religii jest mniej lub więcej prawdy. Wszystkie religie wywodzą się od tego samego Boga. Ale żadna religia nie jest doskonała. A to dlatego, że została nam przekazana przez niedoskonałe istoty ludzkie”.

Przez pokój przebiegła myszka, szybko jak pocisk karabinowy.

„Istnieją rozmaite religie, lecz są one po prostu różnymi ścieżkami prowadzącymi do tego samego punktu. Czy ma zatem znaczenie, którą z tych wielu ścieżek obierzemy, skoro i tak dążymy do jednego celu?”.

Były to ulubione słowa Ōtsu. Czuł podobnie, zanim poznał poglądy Gandhiego: były to bowiem słowa, które ściągnęły nań dezaprobatę przełożonych w seminarium i w nowicjacie, budziły antypatię i pogardę francuskich kolegów.

– Skoro tak, to dlaczego pozostajesz w naszym świecie? Jeśli tak nie lubisz Europy, dlaczego natychmiast nie opuścisz Kościoła? Wszak naszym zadaniem jest bronić chrześcijańskiego świata i chrześcijańskiego Kościoła.

– Nie mogę opuścić Kościoła – powiedział płaczącym głosem – bo Jezus mocno mnie trzyma.

Księga z wypowiedziami Gandhiego wypadła z jego brudnych rąk na podłogę. Zasnął i pochrapując śnił. Nawet w swoich snach widział bladą twarz Jacquesa Monge'a, uzdolnionego starszego kolegi, który zawsze go potępiał podczas nauki w klasztorze w Lyonie.

– Bóg wyrósł w naszym świecie. W nie lubianym przez ciebie świecie europejskim.

– Nie wierzę w to. Po ukrzyżowaniu w Jerozolimie zaczął wędrować po różnych krajach. I dalej to czyni. Idzie przez wiele krajów. Przez Indie, Wietnam, Chiny, Koreę, Tajwan.

– Dość! Gdyby profesorowie dowiedzieli się, że jesteś takim heretykiem...

– Czy naprawdę jestem heretykiem? Czy jakakolwiek religia była dla niego heretycka? On zaakceptował i pokochał Samarytanina wyznającego inną religię.

Tylko w snach umiał przeciwstawić się Jacquesowi Monge'owi i przełożonym, bronić swego stanowiska i odrzucać ich argumenty, ale na jawie zwykle robił płaczącą minę i milczał. Był człowiekiem przegranym, był też po prostu tchórzem. Brakowało mu siły by się przeciwstawić i walczyć, choćby na słowa.

Trzecia trzydzieści. To czas, gdy lekki chłód wsącza się wreszcie w rozżarzone powietrze. Na pograżonym w ciemnościach podwórku spała zbłąkana krowa. Trzech sadhu czerpało wodę ze studni i obmywało swe ciała.

Godzina czwarta. Ōtsu wstał i jak oni umył się w wodzie ze studni, wytarł się i w swoim pokoju odprawił własną mszę. *Ite Missa est*. Pozostał na klęczkach nawet po wyszeptaniu ostatniej modlitwy. Również w okresie nowicjatu tylko czas spędzony na rozmowie z Panem przynosił mu ukojenie. Poza tymi chwilami żył w ciągłym niepokoju, starając się nikogo nie zranić i nie rozgniewać.

Na dworze zaczęło świtać. Kiedy zamknął drzwi i wyszedł na podwórze, wychudzona krowa przebudziła się i popatrzyła na niego oczami bez wyrazu, wstała i leniwie pokuśtykała. Ulice, które za dnia wypełnią się odgłosem monotonnych śpiewów muzulmanów, dochodzących z minaretów, zaroją się rikszami i tłumami tłoczących się ludzi, teraz, o brzasku były jeszcze ciche, a odrapane z farby drzwi sklepów, pozostawały szczelnie zamknięte: miasto wyglądało jak puste dekoracje filmowe. Tu i ówdzie biegały tylko sfory bezdomnych psów, a środkiem ulicy przechadzały się krowy. W powietrzu utrzymywał się jeszcze lekki chłód. Ōtsu szedł ulicą, którą wkrótce miało zalać jaskrawe światło, skręcił w prawo, potem w lewo, stąpając po wilgotnej i plugawej ziemi. Chodził po zaułkach i szukał skulonych ludzi, podobnych do kupy szmat, którzy padli na ulicy i ciężko dysząc, czekali na śmierć. To ci, którzy jakoś dobrnęli do miasta. Ci, którzy mieli wprawdzie ludzką postać, ale nigdy nie przeżyli ani jednej chwili jak prawdziwe istoty ludzkie, a ich ostatnim pragnieniem było umrzeć nad Gangesem.

Tak jak ktoś, kto zna miejsca, gdzie gnieźdzą się karaluchy, Ōtsu wiedział instynktownie, gdzie w tym mieście znajdzie umierających. Kryli się oni zwykle w wąskich zaułkach, gdzie nie sięgał wzrok ludzki i dokąd światło dnia z trudem docierało przez szpary w murze.

Przed śmiercią ludzie zawsze szukają takiego światła jak ostatniej nadziei.

Sandały Ōtsu klapały po kamiennej drodze pokrytej brudną wodą i psimi odchodami i nagle ucichły. U jego stóp leżała oparta o mur stara kobieta. Wpatrywała się w Ōtsu takim samym wzrokiem bez wyrazu jak krowa na podwórzu, którą widział tego ranka. Z trudem łapała oddech, jej ramiona gwałtownie unosiły się i opadały. Ōtsu przyklęknął i z torby na ramieniu wyjął aluminiowy kubek i butelkę wody: – *Pani. Pani.* przemawiał łagodnie do starej kobiety.

– *Ap mere dost hain.* Jestem przyjacielem.

Przytknął aluminiowy kubek do jej małych ust i po trochu wlewał do nich wodę, która jednak spływała po brodzie i moczyła okrywające ją szmaty. Słabym głosem wyszeptała:

– *Ganga. Ganga.*

Gdy wypowiadała nazwę rzeki, z jej oczu patrzących błagalnie popłynęły łzy. Ōtsu kiwnął głową i głośno zapytał:

– *Tabijat kharab hai?* Czy czujesz się chora? *Koji bat nahin.* Nie trzeba się bać.

Z torby wyjął indyjskie szelki uplecione ze sznurka, założył je na wątłe ciało i zarzucił je sobie na plecy.

– *Ganga.* – Gdy już spoczywała na jego plecach, zapłakany głosem wciąż powtarzała nazwę rzeki.

– Czy chcesz się napić wody? *Pani चाहिये?* – zapytał, nim ruszył w drogę. Tymczasem światło poranka zaczęło roztaczać blask nad miastem, jakby na znak, że Bóg zauważył cierpienia człowieka. W

sklepach pootwierano drzwi, stado krów i owiec przechodzących przez ulicę podzwaniało dzwonkami. W odróżnieniu od Japonii nikt się tutaj nie dziwił, że Ōtsu niesie na plecach staruszkę.

Iluż to już ludzi, ileż ludzkiego cierpienia przeniosły jego ramiona do Gangesu? Ōtsu wytarł pot brudną szmatą i wyrównał oddech. Nic nie wiedział o przeszłości tych ludzi, ponieważ spotykał ich tylko na chwilę. Wiedział tylko, że w tym kraju są oni wyrzutkami, są członkami porzuconej grupy rodzaju ludzkiego.

Jak wysoko wzeszło słońce, wiedział po intensywności promieni padających mu na plecy.

O Panie! – modlił się Ōtsu. – *Niosąc krzyż na ramionach piąłeś się na Golgotę. Idę w Twoje ślady.* Wznosiła się już smuga dymu ze stosu pogrzebowego na Manikarnika Ghat. Dźwigając na plecach cierpienia wszystkich ludzi, piąłeś się na szczyt Golgoty. Idę w Twoje ślady.

Rozdział 12

Reinkarnacja

Choć jeszcze panowały ciemności, w ogrodzie hotelowym rozbrzmiewał śpiew przebudzonych ptaków. Przy recepcji panowało zamieszanie – około trzydziestu Amerykanów, którzy wczoraj przybyli z Kalkuty, zbierało się teraz w hallu do wyjazdu nad Ganges w celu obejrzenia porannej kąpieli.

Mitsuko, która postanowiła jechać w tym samym autobusie co Kiguchi, została zmuszona do konwersacji z potężną, gadatliwą, ale i sympatyczną Amerykanką, która przysiadła się do niej.

– Byłam w Japonii! Trzy lata temu. Było strasznie gorąco! W Beppu kąpałam się w ciepłych źródłach! Miałam kłopot, bo ręczniki w japońskich hotelach są malusieńkie.

Kobieta musiała pomylić ręcznik z myjką do kąpieli.

– Kiedy przyjechaliście do Kalkuty? – zapytała Mitsuko, nie mogąc się wykręcić od rozmowy.

– Wczoraj. Tam jest tak jak w Japonii, wszędzie mnóstwo ludzi i upał – roześmiała się szczerze.

– Czy sytuacja była tam niebezpieczna?

– Niespecjalnie. Strategicznych punktów strzeże wojsko i czołgi, a poza tym nie dzieje się nic szczególnego.

Wobec tego Enami i pozostali Japończycy bezpiecznie wrócą do Waranasi dziś wieczorem. Dwa dni bez nich okazały się bardzo długie.

– *Ladies and gentlemen* – recepcjonista zwrócił się teatralnym głosem do grupy turystów hałaśliwych jak ptaki w ogrodzie. – *Now we shall start.*

Nadjechał autobus. Idąc za Amerykanami, Kiguchi i Mitsuko znaleźli swoje miejsca. Kiguchi obejrzał się, popatrzył na roześmianych Amerykanów i z wahaniem powiedział:

– To nie do wiary! Jeszcze czterdzieści lat temu my, Japończycy, i oni, Amerykanie, mordowaliśmy się wzajemnie... I mam wrażenie, że to było tak niedawno! Oczywiście, ja walczyłem przeciw Anglikom i Indusom...

Antagonizmy i nienawiść istnieje jednak nie tylko w stosunkach między państwami, lecz także między religiami. Różnice w poglądach spowodowały śmierć kobiety-premiera. Ludzi łączy bowiem bardziej nienawiść do kogoś niż miłość. Solidarność ludzka rodzi się nie tyle dzięki miłości, ile znalezieniu wspólnego wroga. W ten sposób przetrwały państwa i religie. W tej walce taki pierrot jak Ōtsu naśladował Cebulę i w końcu został porzucony przez wszystkich.

– Ile razy była pani nad Gangesem? – zapytał Kiguchi.

– Dwa razy.

– Dzięki pani mój przyjazd do Indii nabrał sensu. Wie pani, chciałem nad tą rzeką lub gdzieś w świątyni zorganizować uroczystość żałobną, poświęconą pamięci zmarłych towarzyszy wojennych, ale nie wiedziałem, że tak mało jest tutaj świątyń buddyjskich. To przecież kraj, w którym urodził się Siakjamuni, a teraz panuje tu hinduizm.

– Ale jest ta rzeka – patrząc na rozjaśniający się pejzaż, odkryła swoje prawdziwe odczucia: – To głęboka rzeka, tak głęboka, że pomieści nie tylko hindusów, lecz wszystkich ludzi świata.

Przy ulicy, którą jechali, otwarto zaledwie kilka sklepów, była senna, jakby się nie mogła dobudzić. Nie było widać tu oznak życia ludzkiego, chodziły po niej tylko krowy, powoli i bez celu.

Autobus zatrzymał się przed Daśaśvamedha Ghat. Mitsuko i Kiguchi, wmieszani w grupę wesołych i roześmianych Amerykanów, ruszyli ku brudnej drodze. Chmary żebraków, niby muchy czekające na odpowiednią chwilę, wyciągały przed siebie ręce.

Idąc za przyjazną Amerykanką, która przed chwilą obdarowała dzieci monetami, Mitsuko wspięła się na ghat. Zaskoczył ją widok takiego mnóstwa hindusów, mężczyzn i kobiet, po prostu nie spodziewała się tutaj takiej masy ludzi.

– Ponad milion hindusów przybywa nad Ganges co roku, żeby się pomodlić – rozległ się głos przewodnika spomiędzy amerykańskich turystów.

– Milion? – krzyknął ktoś ze zdumienia.

– Tak, milion! Hindusi wierzą, że wystarczy wejść do tej rzeki, żeby zmyć z siebie grzechy i odrodzić się w lepszej postaci w przyszłym życiu.

– Odrodzić się na tym świecie? Mnie wystarczy tego życia, które miałam! – Roześmiana Amerykanka puściła oko do Mitsuko. – Czy pani jest buddystką?

– Ja? Nie, ja nie wyznaję żadnej religii.

– Należysz więc do grzesznego pokolenia, bardzo grzesznego. Ja wierzę w Boga. – Chyba sobie żartowała z Mitsuki.

– Spóźnisz się na łódź wycieczkową. – Pokazała na łodzie, do których już wsiedli jej ziomkowie. Turyści zostali bowiem podzieleni

na grupy i z łodzi, w których wiosłowało czterech albo pięciu hindusów, mieli obserwować z bliska palenie zwłok.

– Nie, dziękuję. Chcemy się przejść.

– OK! – Amerykanka znowu mrugnęła do Mitsuko. – Dziś wieczór pójdziemy razem na piwo, dobrze?

Przy pomoście, gdzie jeszcze nie sięgały promienie słońca, fale uderzając o brzeg, pluskały tak, jakby pies chleptał wodę. Gdy ich łódź wolno odpłynęła, Kiguchi i Mitsuko skierowali się w stronę Manikarnika Ghat, gdzie dreptało mnóstwo mężczyzn i kobiet. Stały tu świątynie i tanie domy noclegowe dla pielgrzymów, a na wąskich uliczkach walało się łajno psów i owiec. Mitsuko poślizgnęła się i o mało nie upadła; odwróciła się do Kiguchiego: – Czy z panem wszystko w porządku?

– W porządku. To nic w porównaniu z drogami, którymi uciekałem z dżungli. – Kiguchi wciąż powtarzał tę myśl, która teraz chyba umacniała w nim chęć życia. – To były inne drogi. Tam prócz kału leżały rozkładające się zwłoki żołnierzy.

Mitsuko z niedowierzaniem kręciła głową. W sercu tego mężczyzny, wyglądającego na drobnego przedsiębiorcę, kryła się przeszłość, która skłoniła go do przyjazdu nad tę rzekę. Każdy z tych ludzi przybywających nad Ganges miał przeszłość taką jak bogini Ćamunda, każdy był żądłony przez skorpiony i kąsany przez kobry.

Minęli kilka ghat. Wszędzie widzieli pielgrzymów, którzy skończywszy ablucje, wyźymali wodę z sari, opasek biodrowych i płócien, którymi zasłaniali ciało w czasie kąpieli, wycierali i suszyli ciała, a potem przebierali się w świeże ubrania. Pod wielkim parasolem bramin w żółtej szacie unosił rękę i rysował znak na czołach wiernych, którzy prosili o błogosławieństwo. Siedziała tam też grupa wędrownych ascetów, którzy pomalowali sobie twarze na białą. Byli to hindusi, którzy pod koniec życia porzucili domy, rozstali się z rodzinami i przez resztę swoich dni wędrowali do

świętych miejsc. Mitsuko, która o tych pielgrzymach wiedziała trochę od Enamię, wyjaśniła też Kiguchiemu, że ten ostatni okres w ich życiu nazywa się pielgrzymką.

– Wobec tego – powiedział Kiguchi, który chyba się już zmęczył, ponieważ usiadł na schodach ghat i patrzył na mroczny pejzaż – ta podróż do Indii dla mnie również jest pielgrzymowaniem. Miałem wciąż nadzieję, że przed śmiercią zdążę jeszcze raz pojechać do Birmy lub Indii i pomodlić się za zmarłych towarzyszy broni. Ale zawsze byłem zajęty pracą i dopiero teraz, dopiero teraz, kiedy się postarzałem, znalazłem trochę czasu. Na domiar złego nabawiłem się jakiejś dziwnej choroby, kiedy wreszcie przyjechałem do Indii...

– Choroba będzie jednym ze wspomnień z pielgrzymki.

– Pani Naruse, chyba coś bredziłem w gorączce, prawda? Chyba powtarzałem: „Gaston, Gaston”?

– Nie pamiętam. Zresztą nie zwracałam na to uwagi.

– Nie o to chodzi, że to jakaś wstydliva sprawa. Gaston to imię obcokrajowca, którego poznałem wiele lat temu. Opiekował się moim najbliższym przyjacielem z czasów wojny w ostatnich chwilach jego życia.

Pas nieba nad horyzontem stopniowo poszerzał się i barwił odcieniem różu. Wzeszło słońce, rzeka nagle zaiskrzyła się złotem, a z ghat po obu stronach wzniosły się chóralne okrzyki radości. W tej samej chwili półnady, jedynie w opaskach wokół bioder, mężczyźni zbiegli w szeregu po schodach i wskoczyli do rzeki, rozpryskując wodę.

– Mój przyjaciel, wie pani, jadł ludzkie mięso w dżungli birmańskiej. Zrobił to, żeby mnie uratować, kiedy byłem chory na malarię...

Nagle, jakby już nie mogąc opanować swych uczuć, Kiguchi zapytał:

– Czy pani cierpiała kiedyś głód? Nie, nie sędzę, żeby pani mogła sobie wyobrazić, czym jest prawdziwy głód. W Birmie podczas pory deszczowej, my, japońscy żołnierze porzucaliśmy nawet broń, kiedy nie mieliśmy już nic do jedzenia i tylko uciekaliśmy pod strugami ulewy... Dokoła była dżungla, wszędzie po obu stronach drogi dżungla, spomiędzy paproci i drzew dochodziły jęki i płacz chorych żołnierzy, którzy nie mieli sił iść dalej. Nie mogliśmy im pomóc. Szliśmy dalej, powłócząc nogami, chociaż słyszeliśmy za sobą płacz, jęk i wołanie: „Pomóż mi!”, „Zabierzcie mnie ze sobą!”. Robactwo roiło się wokół ich ran... Najboleśniej jednak wspominam wołanie młodego żołnierza: „Ma-amoo!”... W takich to warunkach przyjaciel ratował mi życie. W dole, tuż pod nimi, półnaczy mężczyźni i kobiety w różowym świetle porannego słońca nabierali z Gangesu wodę do ust i łączyli dłonie w modlitwie. Każdy z nich miał własne życie, własne tajemnice, których nie mógł nikomu zdradzić, które dźwigał na swych barkach. Na pewno każdy chciał się z czegoś oczyścić w wodach Gangesu.

– Nic nie mogliśmy na to poradzić. Nawet jedzenie ludzkiego mięsa w takich warunkach...

– W większym lub mniejszym stopniu wszyscy żyjemy, zjadając innych.

– Nie, nie, to nie tak. Pani tego nie rozumie. Mój przyjaciel całe życie cierpiał z tego powodu. Kiedy wrócił z wojny... on... spotkał się z żoną i dzieckiem tego żołnierza, z którego mięso spożywał! Spojrzenie niewinnych oczu dziecka, które nic nie wiedziało o tym, co się wydarzyło, na zawsze utkwiło mu w sercu i dręczyło go aż do śmierci. Samotnie znosił to spojrzenie. Nawet mnie nie mógł o tym powiedzieć, swemu bliskiemu przyjacielowi, tylko pił. Szukał zapomnienia w alkoholu. W końcu zaczął pluć krwią, poszedł do szpitala i tam poznał wolontariusza Gastona.

Mitsuko patrzyła na Manikarnika Ghat i słuchała opowieści Kiguchiego, który mówił jakby do siebie. Bywają takie miejsca i

bywa taki czas, gdy człowiek pragnie wyjawić sekret długo skrywany w sercu. Dla Kiguchiego ten czas nadszedł teraz, nad brzegiem Gangesu. W pobliżu Manikarnika Ghat biały dym pełzał po powierzchni rzeki: dym z ognia, który trawił tych, co zakończyli swoje życie.

– Ten Gaston, o którym wspomniałem mającąc, wysłuchał wyznania mojego przyjaciela, a następnie opowiedział historię, jak to w Andach rozbił się samolot, a pasażerowie przeżyli, jedząc ludzkie mięso.

– Co?

– Kiedy czekali na pomoc w ośnieżonych górach, skończyło się im pożywienie i podobno ciężko ranni w katastrofie pasażerowie zezwolili, aby po ich śmierci żywi jedli ich ciało. „Musicie jeść moje ciało, bo chcę żebyście przeżyli” – powiedział jeden z nich. Mój towarzysz wojenny słuchał tej opowieści i płakał. Nie wiem, czy to ulżyło jego cierpieniom, w każdym razie, kiedy wydał ostatnie tchnienie, jego twarz była zaskakująco spokojna.

– Dlaczego pan mi tak nagle o tym opowiada?

– Proszę mi wybaczyć. Sam nie wiem, dlaczego mówię o czymś, czego nigdy nie należało wyjawiać.

– Kto wie, może to z powodu Gangesu. Ta rzeka przyjmuje w objęcia wszystko, co wiąże się z rodzajem ludzkim... I skłania nas do mówienia o takich sprawach.

Mitsuko zaczęła naprawdę wierzyć w to, co powiedziała. Nigdzie w Japonii nie ma miasta takiego jak Waranasi. To miejsce różni się także od Paryża czy Lyonu, które trochę знаła. Tutaj gromadzą się ludzie przybyli z daleka, aby ich wrzucono do tej rzeki po śmierci. Miasto, do którego ludzie pielgrzymują, aby oddać w nim ostatnie tchnienie. A głęboka rzeka bierze w objęcia wszystkich zmarłych i w milczeniu odpływa wraz z nimi.

Kiguchi pomarszczonymi rękami przetarł twarz naznaczoną starczymi plamami. Zupełnie, jakby zdzierał zasłonę z oczu.

– Od tego czasu zacząłem myśleć o rozmaitych sprawach. Zacząłem też czytać księgi buddyjskie, chociaż nic z tego nie rozumiałem.

– Czy ten Gaston jest nadal w Japonii?

– Nie wiem. Po śmierci przyjaciela już się nie pokazał w szpitalu. Mam wręcz wrażenie, że zjawił się on tam specjalnie dla mojego przyjaciela i zniknął wraz z jego śmiercią. Kiedy przyjaciel umierał w rozpacz i rezygnacji, ze świadomością czynu, jakiego człowiekowi nie wolno popełnić, Gaston przybył, aby przy nim czuć. On... dla mojego przyjaciela stał się jakby pielgrzymem, który towarzyszył mu w tej samej wędrówce.

Słuchając Kiguchiego, Mitsuko myślała o Ōtsu, chociaż Kiguchi mówił coś zupełnie nie związanego z jej myślami.

– Zastanawiałem się nad tym, co w buddyzmie wyraża myśl, że „dobro i zło są jednością”, i sądzę, że pośród czynów człowieka nie ma takich, które można by określić jako jednoznacznie słuszne. I odwrotnie: w każdym akcie zła kryje się ziarno zbawienia. We wszystkich rzeczach dobro i zło są ze sobą związane, niby tył i przód tej samej rzeczy. I nie można ich rozdzielić żadną siłą ani też racjonalnie sklasyfikować. Mój przyjaciel nie mógł wytrzymać głodu i poddał się, wziął do ust mięso ludzkie i ten czyn go zniszczył. Gaston powiedział jednak, że można znaleźć miłość Boga nawet w głębi piekieł. Pewnie zabrzmiało to pompatycznie, ale po śmierci przyjaciela nieustannie rozmyślałem nad tym, co powiedział Gaston.

Obok nich stała dziewczyna, wyglądająca raczej na bogatą, w ładnym pomarańczowym sari. Patrzyła na nich wielkimi czarnymi oczami i z zaciekawieniem słuchała ich rozmowy prowadzonej po japońsku. Nad różowawą powierzchnią rzeki głowy kąpiących się

wyglądały jak zgasłe lampiony puszczane na wodę, by odprowadzić dusze zmarłych.

– Słyszałem, że hindusi wierzą w odrodzenie się w lepszej postaci w przyszłym życiu dzięki kąpieli w tej rzece.

– Zdaje się, że hindusi nazywają Ganges Rzeką Reinkarnacji.

– Reinkarnacji? Wie pani co, nocą, kiedy bredziłem w gorączce, miałem bardzo sugestywny sen. Nadal go pamiętam. W śnie pojawił się przede mną mój przyjaciel, wyglądał na bardzo cierpiącego, Gaston trzymał go w ramionach. Pomyślałem wtedy, że Gaston i przyjaciel są nierozdzielną jednością. Przyjaciel jadł ludzkie ciało, żeby mnie uratować. A Gaston w moim śnie mówił, że to straszny czyn, ale mimo to zostanie mu on wybaczony, ponieważ popełnił go z miłosierdzia.

Mitsuko milczała.

– Może to jest właściwy sens reinkarnacji?

Ten mężczyzna, który mógłby być prezesem średniej czy małej firmy, jakich mnóstwo w Tokio, przeszedł w życiu rzeczy, których Mitsuko nie mogła sobie nawet wyobrazić. I każdy z tych, którzy modlili się, stojąc w wodzie, nosił w sercu swój osobisty dramat. Podobnie dramatyczne przejścia kryją w sobie ciała przywożonych tu zmarłych. A rzeka przyjmuje wszystkich. Ta rzeka, którą Ōtsu nazwał Rzeką Miłości jego Cebuli. Kiguchi rozwiązał chustkę *furoshiki*, którą nosił przy sobie, wyjął z niej księgę sutr buddyjskich i powiedział:

– Naruse-san, proszę mi wybaczyć, ale czy miałaby pani coś przeciwko temu, żebym odczytał sutrę za niego i za towarzyszy broni, którzy zginęli na wojnie?

– Proszę, a ja w tym czasie trochę tu pochodzę.

Patrząc na rzekę, Kiguchi zaintonował ustęp z Sutry Amidy, który zresztą znał na pamięć.

Rzeka płynęła. Ganges zataczając łagodnie zakola wciąż toczył swe wody i podążał z południa na północ. Przed oczyma Kiguchiego pojawiały się twarze żołnierzy z Drogi Śmierci – tych, co padli twarzą do ziemi i tych, co leżeli patrząc ku niebu.

*W tej krainie zawsze są różnorodne ptaki,
rzadkie i wielobarwne.
Są białe łabędzie, pawie i papugi,
są też ptaki sarira, kalavinka i kuliki.
Po trzykroć dnia każdego i po trzykroć nocy każdej
tysiące różnorodnych ptaków wyśpiewuje razem
pieśń harmonii.*

Obok Kiguchiego, który recytował Sutrę Amidy, nadal stała całkiem nieruchomo dziewczyna o czarnych dużych oczach. Intonując ten fragment, zawsze przypominał sobie głosy niezliczonych ptaków, które słyszał w dżungli w Birmie.

*W krainie Buddy
wieje łagodny wiatr.
Pośród drogocennych drzew
i drogocennych dzwonków
niesie się cudowny głos.*

Deszcz padał cały dzień, a kiedy od czasu do czasu ustawał na chwilę, ptaki, które ukrywały się gdzieś w dżungli podczas ulewy, nagle zaczynały tu i ówdzie wesoło pośpiewywać. Mimo że po ziemi niósł się płacz i jęki rannych żołnierzy, ptaki zupełnie się tym nie przejmowały, tylko z głębi serca śpiewały o radości. Pewnego dnia pod niebem rozległ się cichy warkot wrogiego samolotu, który

przyleciał na zwiady, aby rozpoznać drogę ucieczki wojsk japońskich. W tych okrutnych dniach, rozpaczliwe jęki żołnierzy stawały, się tym boleśniesz, im radośniej śpiewały ptaki...

Asfaltowana szosa z Waranasi na zachód do Allahabadu była popękana. Stara taksówka – tak stara, że nawet za darmo nikt nie powinien nią jeździć – podskakiwała gwałtownie, a kierowca jedną ręką przytrzymał za klamkę drzwi, żeby nie wypadły. Przy każdym wstrząsie Numada musiał łapać stojącą obok niego klatkę z ptakiem. Szpak azjatycki, którego dziś rano kupił w sklepie, bardzo się denerwował i biegał jak szalony po klatce.

– Dobrze, dobrze – powtarzał Numada chcąc go uspokoić – Dobrze, dobrze.

Kierowca odwracał głowę, uśmiechał się bezzębny ustami i naśladował japońskie słowo „dobrze”. A następnie bardzo złą angielszczyzną spytał:

- Czy to twój ptak?
- Tak.
- Czy go zje?
- Nie!
- Pan Japończyk czy Chińczyk?
- Japończyk.
- Czy zabierać ptaka do Japonia?
- Nie. Uwolnię go.

Lecz tego ostatniego zdania kierowca chyba dobrze nie zrozumiał, odtąd już prowadził w milczeniu.

Gdy w końcu szpak się uspokoił, Numada postawił klatkę między kolanami i zajrzał do środka. Trzymając się obu łapkami

żerdzi, szpak wydał z siebie głos jakby przytłumiony flegmą. Był to ten sam głos, jaki Numada słyszał kiedyś w szpitalu.

Wielkością i wyglądem prawie się nie różnił od tamtego ptaka, którego kiedyś hodował. I tak samo przechylał łepkę, kiedy taksówka jechała po równym asfalcie.

– Czy pamiętasz tamte noce? – zapytał cicho Numada.

Kierowca odwrócił głowę i znów zapytał:

– Coś chce?

– Nie.

Kierowca pokręcił gałką radia i rozległa się muzyka indyjska, jakaś popularna piosenka, śpiewana wysokim żeńskim głosem przy wtórze bębna mridangam.

Szosa biegła przez gęsty las. Po obu stronach rosły bujnie wachlarzowate drzewa kokosowe i baniany – białawe gałęzie banianów splatały się ze sobą i obejmowały jak kochankowie w miłosnym uścisku. Numada przycisnął twarz do szyby, by dojrzeć znak informujący, że wjechali na teren rezerwatu przyrody, gdzie żyła pod ochroną miejscowa zwierzyna i ptactwo. Słynne są obszary wokół Sarśaki i Bharatpuru w pobliżu Agry, ale – jak Numada dowiedział się od Enamiego – w pobliżu Allahabadu też są niewielkie obszary, gdzie obowiązuje zakaz polowań.

Rozłożył mapę i zaczął szukać tego miejsca, ale kierowca, który chyba otrzymał wskazówki już w recepcji hotelu, powiedział:

– *I know. I know. No problem.*

Taksówka znów zaczęła gwałtownie podskakiwać na piaszczystej drodze, a przestraszony szpak zatrzepotał skrzydłami. Wreszcie samochód zwolnił.

– Tutaj.

– Proszę poczekać. – Numada spojrział na zegarek i pokazał, że wróci po półgodzinie.

W prymitywnym biurze nikogo nie było. Na jego kilkakrotne wołanie nikt nie odpowiadał. Numada słyszał tylko śpiew różnorodnych ptaków, dochodzący ze wszystkich stron, jak w ogrodzie zoologicznym po zamknięciu. Ku jego zaskoczeniu w lesie panował idealny porządek, drzewa zostały przerzedzone, w wielu miejscach zbudowano stawy, żeby ptaki miały wodę do picia.

Numada usiadł obok stawu i postawił klatkę na ziemi. – Czy pamiętasz tamte noce? – zapytał szpaka. Wspomnienia tamtych ostatnich nocy w szpitalu powróciły, boleśnie przeszywając mu serce. Po blisko dwu latach spędzonych w szpitalu i dwu nieudanych operacjach czuł się skrajnie wyczerpany i tylko szpakowi azjatyckiemu mógł wówczas wyjawić swoje prawdziwe uczucia. W środku nocy, gdy wszyscy w szpitalu posnęli, zapalał lampkę na stoliku przy łóżku i wyznawał mu swoje niepokoje i smutki, których nie mógł wyznać żonie, nie chcąc sprawiać jej bólu. Właściwie to mówił do samego siebie. Szpak był czarny jak smoła, czarny jak mokre włosy kobiety. Stał na żerdzi, uchwyciwszy się jej pazurami, które wyglądały jak zgięte gwoździe, przechylił główkę i skrzeczał: „ha-ha-ha”. A Numadzie zdawało się, że szpak wyśmiewa się z jego pychy i słabości, ale głos ten brzmiał też jak słowa pocieszenia. „Ja chyba umrę, prawda?”, „Ha-ha-ha!”, „Co mam robić?”, „Ha-ha-ha!”. W pewien śnieżny dzień lutego przeprowadzono trzecią operację. Gdy nastąpiło krwawienie z przyrośniętej opłucnej, a linia na elektrokardiogramie przestała falować, właśnie wtedy szpak zmarł, jak gdyby zamiast Numady.

Zwolnił zatyczkę drzwiczek ptasiej klatki. Była to prymitywna konstrukcja z bambusu i drutu.

– No, a teraz wychodź!

Lekko uderzył palcami o klatkę. Szpak wyskoczył, jakby zakłopotany, pobiegł po trawie, rozchylił skrzydła, trochę podfrunął,

potem znów szybko pobiegł po ziemi. Patrząc na te śmieszne ruchy, Numada poczuł, że spada z niego ciężar, który przygniatał go przez długie lata. Czuł, że w ten sposób wykonał przynajmniej skromny gest wdzięczności wobec szpaka, który zmarł zamiast niego w tamten śnieżny dzień.

Żar palił Numadę w twarz i ramiona, lecz kiedy skrył się w cieniu wielkiej palmy daktylowej, mógł spokojnie posłuchać pieśni ptaków, dochodzących z bliska i z daleka, rozlegających się to tu, to tam. Ptaki różnych kształtów i różnej barwy przeskakiwały zwinnie z gałęzi na gałąź i radośnie fruwały dokoła. Dokąd odleciał szpak azjatycki?

Słyszał szelest liści lipy, zwanej tu drzewem duchowego przebudzenia. Trzepotanie skrzydełek owadów przelatujących mu koło uszu. Te odgłosy tylko pogłębiały ciszę lasu. Coś szybko przeskoczyło z jednego drzewa kokosowego na drugie, a gdy spojrział w tamtą stronę, ujrzał małpę z długim ogonem. Numada zamknął oczy i wciągnął gorące powietrze pachnące ziemią i drzewami, pachnące jak sake podczas fermentacji. Naga woń życia. Tego życia, które toczyło się między drzewami i było w świergocie ptaków i w wietrze poruszającym liśćmi.

Nagle zdał sobie sprawę z własnej głupoty. Uczucia, którym się teraz poddawał, niczemu nie służyły w świecie ludzkich spraw. Co za głupota poddawać się takim nastrojom, zwłaszcza że o tym wiedział. W mieście Waranasi unosi się gęsta woń śmierci. Nie tylko w Waranasi, również w Tokio. A mimo to ptaki śpiewają wesoło. Aby uciec od tej sprzeczności stworzył świat bajek dla dzieci – i po powrocie do kraju nadal będzie pisał opowieści o ptakach i zwierzętach.

Rozdział 13

On jest brzydki bez majestatu

W telewizji wciąż powtarzano wiadomość o zamordowaniu premier Indiry Gandhi.

Tego dnia premier wyszła ze swej rezydencji jak zwykle o 9.15, udając się do oddalonego o około 180 metrów biura. Czekał tam na nią brytyjski aktor Peter Ustinow, aby przeprowadzić wywiad. Usłyszał za oknem odgłos eksplozji, po czym rozległy się krzyki ludzi. Asystent inspektora policji Beant Singh, należący do ochrony premier, a także policjant Satwant Singh, ostatnio przydzielony do ochrony premier, nagle otworzyli ogień z broni automatycznej. Ciężko ranną Indirę Gandhi przewieziono natychmiast do szpitala, ale była już martwa. W ciele miała pięćdziesiąt ran postrzałowych.

W telewizji pokazano również zdjęcie Ustinova. Aktor tak komentował wydarzenie: „Wszystkie przygotowania zostały zakończone, a kiedy nalewano mi herbatę do filiżanki, nagle usłyszałem trzy strzały. Ktoś powiedział, że to muszą być ognie sztuczne”.

Pracownicy hotelu i Isobe patrzyli w ekran telewizora, gdy pojawił się Sanjō z torbą podróżną.

– Dzień dobry, panie Isobe, czy jest pan sam? A gdzie reszta?

Głos Sanjō był ostry. Isobe odwrócił od niego wzrok i odpowiedział:

– Pojechali z Amerykanami nad Ganges.

– Co? Nad rzekę Ganges? Żałuję, że nie jestem z nimi. Nocą byłem na tańcach w hotelu Tadź Ganges i zasnęłam. To wspaniały hotel. Nie wiem, dlaczego pan Enami umieścił nas w tym drugorzędnym hoteliku? Mimo że w tym mieście są hotele tej klasy co tokijska „Okura”.

– A małżonka?

– Śpi. Mam z nią kłopot. To jeszcze dziecko, nie rozumie, że jej mąż chce zostać pierwszorzędnym fotoreporterem.

– Czy w tej torbie ma pan aparaty fotograficzne?

– Jasne. Żona chyba będzie spać do południa, dlatego napiję się kawy i również pojedę nad Ganges.

– Pamiętaj pan, co powiedział Enami-san, że fotografowanie stosów żałobnych nad Gangesem jest absolutnie zakazane? Zwłaszcza teraz, gdy hindusi są tak zdenerwowani. Wczoraj widziałem, jak pobili do krwi jakiegoś sikha. Dziś lepiej nie brać aparatu ze sobą, nie sądzi pan?

– Robert Capa mówi, że fotograf, który nie naraża się na niebezpieczeństwo, nie zrobi wybitnego zdjęcia. Jak powiadają hindusi: *no problem*. W porządku, proszę się nie martwić. Nie będę fotografował w miejscu palenia zwłok.

Sanjō skończył kawę, zamówił w recepcji taksówkę i poszedł do swego pokoju. Żona w błękitnym negliżu spała zwinięta w kłębek, ale z szeroko rozrzuconymi rękami. Gdy dotknął jej białej dłoni, lekko uniosła powieki i zaspanym głosem powiedziała:

– Pozwól mi spać.

– Wychodzę. Muszę pracować. W przeciwnym razie nie byłoby żadnego pożytku z przyjazdu tutaj. Chcesz, żebym coś zamówił do pokoju?

– Nic nie chcę.

– Dobrze, dobrze, chcesz przespać wszystko, a przecież zamordowano premiera Gandhi.

– A co to nas może obchodzić? Pozwól mi spać, proszę!

Było mu to nawet na rękę. Szczerze mówiąc, miał już jej powyżej uszu. Jej oczy nabierały blasku tylko w luksusowych hotelach czy w sklepach z jedwabiem indyjskim lub szalami z Kaszmiru. Ale poza tym i w Delhi, i tutaj, w Waranasi, bez przerwy się skarżyła: „brudno tu”, „to nie do zniesienia”, „a ja tak chciałam przejechać się autostradą Marchen!”.

Patrząc na sylwetkę Sanjō, który z pośpiechem wsiadał do taksówki i sam odjechał, Isobe nagle poczuł niepokój. Często w pracy miał do czynienia z tym pokoleniem ludzi – sympatycznych, ale nie zastanawiających się, czy swoim postępowaniem nie sprawia innym kłopotów. Sanjō na pewno nie jest złym człowiekiem, ale Isobe wiedział z doświadczenia, że należy do tych młodych ludzi, którym brakuje wrażliwości.

– Dashashvamedha Ghat – z pewną dumą w głosie Sanjō podał cel jazdy kierowcy.

– *Yes, sir!* – automatycznie i grzecznie odpowiedział indyjski kierowca.

Sanjō pogładził pieśczołtliwie aparat fotograficzny w torbie. Ten solidny i trwały przedmiot, który nadawał sens jego życiu. Jego partner.

Kiedy wysiadł z taksówki, opadli go żebracy jak rój szarańczy. *No!* – krzyknął jakby odganiał psa. *No!* – Już nie czuł litości ani współczucia jak na początku, kiedy widział kobietę bez palców lub dzieci odgrywające głód. Wystarczy dać trochę drobnych jednemu, natychmiast zbiegają się następne.

Na skrzyżowaniu ulic, przy których znajdowały się sklepy, gdzie sprzedawano turystom kwiaty i butelki do nabrania wody ze

świętej rzeki, stało dwóch żołnierzy, niewątpliwie z powodu zamachu. Gdyby sprawdzili, co ma w torbie, na pewno by go przesłuchali.

Idąc zaułkiem wzdłuż rzeki, pogwizdywał na melodię *Starlight Blues*. *Wszystko idzie dobrze* – mówił z dumą do siebie. Kiedy skończył studia na wydziale sztuk pięknych, został asystentem słynnego fotografa i wszystko szło po jego myśli. *Wszystko zgodnie z planem. Zgodnie z planem* – myślał. Ożenił się z dziewczyną z rodziny, która mogła mu zapewnić przyszłość. Przechodząc obok obserwatorium astronomicznego, minął kilka procesji idących za ciałami zmarłych, owiniętych w różnobarwne płótna. Nieśli zwłoki pielgrzymów, którzy zmarli w przytułkach nad brzegiem rzeki. W przewodniku turystycznym Sanjō znalazł wyjaśnienie, że zmarłe kobiety zawija się w czerwone lub pomarańczowe płótno.

Dotknął aparatu fotograficznego przez torbę. Miał ochotę zrobić zdjęcie z ukrycia, właśnie dlatego, że było to zakazane. Każdy, nawet początkujący reporter, jak Sanjō, wiedział, że żaden Japończyk jeszcze nie sfotografował tej ceremonii. Gdyby mu się udało, to zdjęcie wraz z jego nazwiskiem na pewno opublikowałby najważniejszy magazyn fotograficzny.

Fotografia nie jest kwestią filozofii, lecz materiału fotograficznego. Właśnie dlatego wybrał Indie na podróż poślubną. Nawet Robert Capa nie zostałby słynnym w świecie fotografem, gdyby nie fotografował tak dramatycznych scen, jakimi są pola walki.

Wąską uliczką szło kilku mężczyzn, niosąc zwłoki na około trzymetrowych drażkach. Sanjō pozwolił im przejść, następnie otworzył szybko torbę i wyjął swój ukochany aparat. Gdy uniósł go na wysokość twarzy, mężczyzna trzymający nosze z tyłu nagle się odwrócił i czystą japońszczyzną krzyknął: – Nie, proszę tego nie robić! Tu jest zakaz fotografowania!

Sanjō patrzył na niego bezmyślnie, nawet zapomniał nacisnąć migawkę.

I wtedy przypomniał sobie. Gdy przed kilku dniami Enami przyprowadził ich nad rzekę, w pobliżu stosów pogrzebowych spotkali Japończyka. To był on. Enami coś do niego powiedział, ale mężczyzna chyba wstydził się swego nędznego wyglądu, dlatego bąknął coś wymijająco i, jakby chciał uciec przed nim, zniknął razem z hindusami.

Idąc za procesją Sanjō myślał, że miał sporo szczęścia spotykając go tutaj.

– Wszystko zgodnie z planem. Zgodnie z planem. – Miał taką naturę, że w każdej sytuacji myślał o własnej korzyści. *A może dogadam się z tym Japończykiem i pozwoli mi niepostrzeżenie zrobić zdjęcia? Oczywiście, nie odmówi, jeśli mu zapłacę* – myślał Sanjō.

Gdy pochód zbliżył się do śmaśany, charakterystyczny odór śmierci uderzył go w nozdrza. Rodzina zmarłego usiadła ze skrzyżowanymi nogami i czekała na położenie noszy na stosie i zapalenie ognia.

Wokół szerzy się nienawiść, wokół płynie krew, wybuchają wojny. Siedząc na stopniach ghat Mitsuko rozpostarła na kolanach „The Indian Times”, który po drodze kupiła wraz z pocztówkami w dość sympatycznym sklepiku. Nie znalazła ani jednego artykułu o Japonii. Podano tylko wzmiankę, że premier Nakasone za dwa dni weźmie udział wraz z innymi przywódcami państw w pogrzebie Indiry Gahdhi. Nie tylko w Indiach tli się nienawiść i płynie krew. Wojna między Iranem i Irakiem utknęła w punkcie bez wyjścia, walki toczą się też w Afganistanie. Na takim świecie miłość Cebuli, w jaką wierzy Ōtsu, jest bezsilna, wręcz godna pożałowania. Nawet jeśli Cebula istnieje, to i tak nie ma z niej żadnego pożytku w tym świecie nienawiści – myślała Mitsuko.

*Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi
Mąż boleści, oswojony z cierpieniem,
jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa,
wzgardzony tak, iż mieliśmy Go za nic.
Lecz On się obarczył naszym cierpieniem,
On dźwigał nasze boleści.**

Śmieszny Ōtsu. Śmieszna Cebula. Mitsuko szuka Ōtsu pośród sylwetek w bieli, poruszających się między stosami pogrzebowymi. Dlaczego interesuje się tym człowiekiem, dlaczego wciąż go poszukuje, mimo że nieustannie kpi z niego? Dostrzegła kilka osób ubranych w białe szaty. Ujrzała też kilka rudych psów czekających na nie dopalone szczątki ciał ludzkich. Okazji wypatrują również sępy z rozpiętymi skrzydłami nad stosem drewna. Będą dziobać ludzkie mięso pozostawione przez psy. Mitsuko zamknęła oczy i pod jej powiekami ukazała się postać bogini Ćamundy, która przetrwała ukąszenia kobry i użądlenia skorpionów. Gdy otworzyła oczy, ujrzała wychudłą krowę, która stała obok niej na kamiennych schodkach i patrzyła wilgotnymi oczyma na ten sam obraz, który oglądała Mitsuko.

– Kiguchi-san!

W pierwszej chwili Kiguchi, który recytował sutrę, nie rozpoznał Mitsuko ubranej w sari.

– O? – popatrzył na nią podejrzliwie. – O, to pani? Nie poznałem pani w sari.

– Kupiłam to w jednym z zaułków. Właściciel sklepu pokazał mi, jak to się nosi.

* Z *Księgi Izajasza*, według *Biblii Tysiąclecia*, Poznań-Warszawa 1989.

– A co z pani ubraniem?

– Właściciel sklepu wziął na przechowanie. Często robi to dla obcokrajowców, którzy chcą popływać.

Kiguchi odprowadzał wzrokiem postać Mitsuko, owiniętą w sari, powoli schodzącą po kamiennych stopniach. Jedną stopą dotknęła mętnej wody, podobnej barwą do herbaty z mlekiem. Woda była letnia. Wysoki hindus kąpiący się nie opodal machał rękami i coś żywo jej wyjaśniał.

– Co pan mówi? – zapytała.

– Proszę wejść do wody! Jest bardzo przyjemnie! – odpowiedział głośno.

Mitsuko kiwnęła głową i weszła do wody najpierw jedną, a po chwili także drugą nogą. Lękała się tego pierwszego kroku, jak samej śmierci, ale kiedy zanurzyła całe ciało, znikły jej obawy.

Z prawej strony dwoje, z lewej czworo hindusów, mężczyzn i kobiet, obmywało twarze, nabierało wody do ust i składało dłonie w modlitwie. Nikt się nie dziwił, widząc Mitsuko. Niebawem się zorientowała, że jakby w naturalny sposób mężczyźni gromadzili się w jednym, a kobiety – w innym miejscu.

Mitsuko niezdecydowanie zbliżyła się do kobiet ubranych w sari. Właśnie w tym momencie układały na liściach płatki kwiatów, które kupiły na stoisku w ghat, przygotowując je do puszczenia z biegiem rzeki. Na kamiennych schodkach pod żółtym parasolem bramin w żółtej szacie błogosławił młode małżeństwo. W dali na południowym brzegu trzech mężczyzn ubranych na biało wysypywało za pomocą szufelki prochy zmarłego, który przed chwilą został spalony. Mimo że woda niosła prochy w stronę kąpiących się, nikt się nie dziwił ani nie przejmował. W tej rzece życie i śmierć współistniały harmonijnie.

Błogosławione żółte i różowe kwiaty płynęły w dal. Zderzyły się z jakimś przedmiotem, wyglądającym jak kawałek białego drewna, i zatrzymały w tym miejscu. Przyjrząwszy się dokładnie, Mitsuko zorientowała się, że było to martwe szczenie. Wszystkim jednak było to całkowicie obojętnie, nadal kąpali się, zanurzali w wodzie i modlili. Mitsuko poszukała wzrokiem stosów żałobnych. Na stos drewna kładziono właśnie kolejne zwłoki, owinięte w płótno barwy śliwy daktylowej. Mężczyźni, którzy nieśli nosze, odeszli, po następne zwłoki. Nigdzie nie mogła dojrzeć Ōtsu.

Mitsuko odwróciła się w stronę biegu rzeki.

– To nie jest prawdziwa modlitwa. Po prostu udaję, że się modlę – usprawiedliwiała swoje zachowanie, zakłopotana. – To tylko udawana modlitwa, tak jak udawana była moja miłość. W oddali, gdzie jej wzrok ledwie już sięgał, rzeka skręcała łagodnie, połyskując światłem – jak gdyby tam zaczynała się wieczność.

Dowiedziałam się jednak, że istnieje rzeka ludzkości. Choć nadal nie wiem, co się znajduje na końcu tej płynącej rzeki. Lecz po licznych błędach przeszłości czuję wreszcie, że zaczynam rozumieć, czego właściwie pragnę.

Zacisnęła dłoń w pięść i szukała sylwetki Ōtsu w pobliżu stosu żałobnego.

To, w co mogę teraz wierzyć, to widok tych ludzi, z których każdy niesie swoje brzemie bóleści i modli się w głębokiej rzece. I tak oto w pewnej chwili słowa, które Mitsuko wypowiadała do samej siebie, przeobraziły się w modlitwę. Wierzę, iż rzeka bierze z czułością tych ludzi w ramiona i unosi gdzieś z sobą. To rzeka człowiecza. Głęboka rzeka cierpiącej ludzkości. A ja jestem jej częścią.

Nie wiedziała, do kogo kieruje tę wymyśloną modlitwę. Możliwe, że do Cebuli, której wciąż szukał Ōtsu. Ale mogła też zwracać się w

ten sposób ku czemuś wielkiemu i wiecznemu nie tak ograniczonemu jak Cebula.

W tym momencie rozległ się krzyk w pobliżu stopni prowadzących do miejsca palenia zwłok. Klęczący dotąd hindusi równocześnie zerwali się na nogi i zaczęli biec i krzyczeć. Kierowali się w stronę uciekającego Azjaty. To Sanjō. Nie miała wątpliwości, że to był Sanjō. I wtedy spośród grupy mężczyzn, którzy właśnie przynieśli zmarłego i teraz odpoczywali, wybiegł mężczyzna i stanąwszy przed biegnącymi żałobnikami, zagroził im drogę. Starał się ich uspokoić. Lecz rozgniewany tłum otoczył go, zaczął bić i kopać ze wszystkich stron. W tym czasie Sanjō uciekł, znikając im z oczu w labiryncie zaułków nad brzegiem rzeki. Hindusi, wzburzeni zamordowaniem premier, skierowali swój gniew ku temu, który im stanął na drodze. Pobity mężczyzna staczał się po schodach ghat, jak jakiś bagaż zrzucony z ciężarówki. W końcu zatrzymał się i zniechęcił.

Ludzie, którzy dotąd się kąpali, zaczęli gromadzić się w pobliżu leżącego, otaczając go kołem. Poprzez ociekających wodą Mitsuko ujrzała okrwawionego Ōtsu.

– Ōtsu-san! – Słyszac jej krzyk mężczyźni w mokrych dhoti i kobiety w sari zwrócili się w jej stronę i zrobili przejście.

– To nie jest ten! – Mitsuko przysiadła obok niego. – On nic nie zrobił!

Ōtsu lekko uniósł powieki i zmusił się do uśmiechu, ale jego głowa pozostała nadal skrzycona w prawo, jak gałązka karłowatego drzewka bonsai. – Chyba kark... skrzyłem – wydał z siebie chrapliwy szept. – Co ja teraz pocznę?

– Trzymaj się, wezwę pogotowie.

– Mówiłem mu tyle razy, że nie wolno robić zdjęć zmarłym. Mówiłem mu... tyle razy.

– To jeden z japońskich turystów, który z nami przyjechał. Wezwę karetkę.

– Moi przyjaciele biedacy... zanosą mnie. – Twarz mu się wykrzywiła i znów pojawił się na niej uśmiech. – Jeszcze żyję, ale oni wezmą mnie na nosze, które służą zmarłym...

Ōtsu chyba żartował, by rozśmieszyć Mitsuko. Nadal klęcząc, wytarła mu krew z ust i brody ręcznikiem, który nosiła ze sobą. Okrwawiona kragła twarz Ōtsu przypominała twarz błazna. Tak jak powiedział, kilku mężczyzn przyniosło bambusowe nosze służące do dźwigania zmarłych. Widząc to, gapie zaczęli się rozchodzić z pośpiechem. Kiedy uniesiono Ōtsu, żeby położyć go na noszach, jęknął z bólu jak becząca owieczka.

– Gdzie go zabieracie? – zapytała Mitsuko.

Nie odpowiedzieli. Mitsuko nalegała, więc w końcu jeden z nich rzekł:

– Do szpitala.

– Do jakiego szpitala? Proszę iść do uniwersyteckiego!

– Żegnaj! – powiedział raczej do siebie leżący na noszach Ōtsu. – Już starczy... mojego życia... już starczy.

– Jesteś głupcem. Jesteś strasznym głupcem! – wołała Mitsuko za oddalającym się na noszach Ōtsu – Naprawdę jesteś głupcem! Odrzucić całe swoje życie, jak złamaną łaskę, dla jakiejś tam Cebuli? Co z tego, że starałeś się ją naśladować, przecież w ten sposób i tak nie mogłeś zmienić tego świata nienawiści i egoizmu! Przeganiano cię z każdego miejsca, w którym się znalazłeś, a teraz, gdy w końcu skrzyłeś sobie kark, położyli cię na noszach dla umarlaków! Okazało się w końcu, że byłeś bezsilny.

Klęcząca na ziemi Mitsuko na próżno biła pięściami o kamienne schody.

Przerażający tłum ludzi, przerażający upał. Krzyki taksówkarzy wrywających sobie pasażerów. Ogłoszenia w indyjskiej angielszczyźnie, wykrzykiwane jakby gniewnie.

– Proszę pilnować swoich bagaży. Jeśli nie będziecie uważać w Kalkucie, ktoś podejdzie i zabierze je, nie wiadomo kiedy.

Enami zebrał już turystów japońskich w jednym miejscu i pouczył, jak mają się tu zachowywać, po czym wyszedł szukać wynajętego autobusu. Wkrótce wrócił z niczym.

– Tyle trudu sobie zadałem, żeby tu przyjechał na czas. Niestety nie ma go jeszcze. I to mnie denerwuje w Indiach.

– Czy zdążymy na samolot?

– Z tym nie ma jeszcze problemu. Mamy wciąż trzy godziny.

– Tu jest jak w łaźni parowej. I ten cały hałas, aż uszy bołą!

– To jest Kalkuta! W tym mieście żyje dziewięć milionów ludzi – mieszanka najrozmaitszych narodowości.

Enami jako przewodnik nigdy nie zapominał o odpowiednich wyjaśnieniach. Chyba weszło mu to w krew.

– Naruse-san, bardzo panią przepraszam. Przyjechała pani do Indii i nie mogła obejrzeć buddyjskich zabytków.

– Nie szkodzi. Zamiast zabytków buddyjskich obejrzałam rzekę.

– Kiedy wrócimy do kraju, porozmawiam z agencją i poproszę, żeby pani zwrócili część kosztów podróży.

W poczekalni stał włączony telewizor, wokół którego panował największy tłok. Właśnie pokazywano obrazy z pogrzebu premier Indiry Gandhi, odbywającego się dziś po południu. Jej zwłoki ozdobiono kwiatami, umieszczono na lawecie i wyprowadzano na miejsce kremacji nad brzegiem Jamuny. Trasa przejazdu i inne strategiczne miejsca są strzeżone przez wojsko. W tłumie stojącym

po obu stronach ulic powiewają flagi. Są kobiety, które rękawami sari ocierają łzy.

– A przecież pracowała tak ciężko – powiedział do siebie Enami, zwracając twarz w stronę małego ekranu.

– Dlaczego została zamordowana? – zapytał Numada. – Czy z powodu animozji religijnych?

– Tak, to bezpośrednia przyczyna. Ale tak naprawdę to sprzeczności tego świata, w którym mieszka siedemset milionów ludzi różniących się językami i religiami, a poza tym, jak państwo widzieli, taka tu bieda... I ten kastowy system. Ona starała się zaprowadzić tu jakiś ład, i w końcu przegrała.

Japończycy ze zrozumieniem kiwali głowami, ale nikt chyba nie słuchał z prawdziwym zainteresowaniem tego, co Enami mówi, ciężko wzdychając. Nawet Numada, który zadał to pytanie, myślał raczej o niebie nad lasem w pobliżu Allahabadu, o szepcie wiatru, o połyskujących liściach i o uwolnionym szpaku azjatyckim. Kobiety zastanawiały się głośno, czy zdołają jeszcze kupić na lotnisku podarunki, jakich nie zdążyły wcześniej załatwić, podczas gdy Kiguchi ponownie zawijał w papier mały posążek Buddy, który udało mu się z trudem zdobyć w Waranasi.

– Ona ma pianę na ustach! – jedna z turystek trąciła Kiguchiego. Stara kobieta opierała się o ścianę i z twarzą zwróconą do góry ciężko dyszała, poruszając ramionami. Z jej ust wydobywała się żółta piana. Lecz przechodzący obok niej hindusi nie zwracali na nią większej uwagi, po prostu mijali ją z pośpiechem.

– Ona umiera – powiedziała jedna z turystek Enamiemu, który spojrzał w tamtą stronę:

– W Indiach ludzie padają wszędzie. Widzieliśmy to także w Delhi. Widzieliśmy w Waranasi. A tutaj w Kalkucie codziennie na ulicy umiera sto albo dwieście osób – powiedział.

– Ale po raz pierwszy dzieje się to na naszych oczach. Czy nikt nie może nic zrobić?

– A co powinniśmy zrobić? – Enami zapytał gniewnie.

– W tym kraju nie tylko ta jedna kobieta umiera w drodze.

Jego głos był tak stanowczy, że Japończycy poczuli się pokonani i odwrócili oczy od starej kobiety, zamilkli i znów zaczęli patrzeć w odległy telewizor. Stos kremacyjny, zbudowany z cegieł w formie trzech stopni, na nim spoczywa ciało premier ozdobione zielonymi liśćmi eukaliptusa, a jej twarz przykrywa różowa szarfa. Orkiestra wojskowa gra uroczystego marsza żałobnego. Po chwili syn Indiry Ghandi wystąpił do przodu, aby zapalić ogień. Pokazano też jedną po drugiej twarze uczestników ceremonii: premier Wielkiej Brytanii, panią Thatcher i panią Imeldę, profil premiera Nakasone i innych. Wzbiły się w górę płomienie. Podobnie jak w miejscach kremacji nad Gangesem, tak i tutaj wraz z życiem znikało w płomieniach owinięte płótnem ciało ludzkie. A mimo to świat tych, co przeżyli, nadal jest miejscem wzajemnej nienawiści i walki. Nadal trwa wojna między Iranem i Irakiem, wybuchają wciąż wewnętrzne walki w Libanie, a terroryści w Brighton wysadzają hotel, w którym przebywała brytyjska premier, raniąc i zabijając ponad trzydzieści osób.

– Strasznie tu gorąco, prawda? – Mitsuko podeszła do Isobego i zapytała: – Na pewno pan się bardzo zmęczył?

– Nie, nie. Jestem zadowolony, że tu przyjechałem – uśmiechnął się jakby nieco zażenowany.

– Przynajmniej w pana sercu – pocieszała go Mitsuko – żona na pewno powróciła do życia.

Isobe zmrużył oczy i spojrzał na ziemię. Pochylony wyglądał tak, jakby wszystkie wzbierające w nim smutki dźwigał całym ciałem, nie – całym swoim życiem.

– Co się dzieje z tym autobusem? – zapytał Sanjō Enamięgo.

Jego młoda żona czuła się bardzo zmęczona, więc siedziała na walizce, a Sanjō chyba wcale nie myślał o tym, do czego doprowadził swoim zachowaniem.

– Ile godzin będziemy tak czekać w tym upale?

– A cóż to znowu takiego? To też część Indii – wtrącił się Kiguchi. – Będzie co wspominać.

Sanjō zrobił niezadowoloną minę, ale opanował się, podniósł aparat do oczu i szukał odpowiedniego ujęcia. Skierował obiektyw w stronę starej kobiety opartej o ścianę i toczącą żółtą pianę z ust. Po chwili rozległ się trzask migawki, który powtórzył się jeszcze wielokrotnie. W tym momencie tłum nagle się rozstał i do starej kobiety podeszło dwu mężczyzn z noszami i dwie młode zakonnice w szarych habitach – jedna biała kobieta, druga Induska. Coś wyszeptały w hindi do starej kobiety, następnie wytarły jej twarz mokrą gazą.

– To są mniszki od Matki Teresy – poinformował Enami Japończyków. – Myślę, że państwo o niej słyszeli. To są zakonnice, które w tym mieście prowadzą dom dla umierających. Wyszukują ludzi, którzy zasłabli na ulicach Kalkuty, i opiekują się nimi, aż umrą.

– To nie ma sensu – zadrwił Sanjō. – Od tego nie znikną w Indiach biedni ani żebracy. Wydaje mi się, że to próżny, wręcz śmieszny wysiłek.

Słowo „śmieszny” przypomniało Mitsuko o żalonym życiu Ōtsu. Było z nim tak, jak powiedział Sanjō: nawet jeśli Ōtsu nosił umierających mężczyzn i kobiety do przytułków lub do miejsc kremacji nad rzekę w Waranasi, to jaki był z tego pożytek? A mimo to te mniszki i Ōtsu...

– Jestem Japonką – Mitsuko zwróciła się do białej zakonnicy. – Czy mogłabym zapytać, dlaczego siostra to robi?

– Co? – zaskoczona pytaniem szeroko otworzyła błękitne oczy i patrzyła na Mitsuko.

– W jakim celu to robicie?

– Ponieważ z wyjątkiem tego... na tym świecie nie ma nic, w co mogłybyśmy wierzyć – mniszka mówiła powoli, ze zdumieniem w oczach.

Mitsuko nie dosłyszała, czy powiedziała „z wyjątkiem tego”, czy „z wyjątkiem Niego”. Jeśli powiedziała „z wyjątkiem Niego”, miała chyba na myśli to, co Ōtsu nazwał Cebulą. Cebula zmarła już dawno, dawno temu, ale odrodziła się w innych ludziach. Nawet po prawie dwóch tysiącach lat odrodziła się w tych mniszkach, odrodziła się także w Ōtsu. Podobnie jak on, który został odniesiony do szpitala, tak i mniszki zniknęły w rzece ludzi.

– Panie Enami! – Mitsuko podbiegła do niego i poprosiła – Czy można stąd porozumieć się z lekarzem szpitala uniwersyteckiego w Waranasi, z tym samym lekarzem, wie pan?

– Co? – Enami przestraszył się. – Co się stało?

– Mój przyjaciel został ranny przedwczoraj i odniesiony do szpitala. To ten Japończyk, którego pan spotkał na placu kremacji. Chciałabym się dowiedzieć, jaki jest jego stan.

– Ach, o to chodzi. Mogę spróbować porozumieć się z nimi, jeśli pani na tym zależy. Gdyby przyjechał autobus, proszę kazać kierowcy, żeby trochę poczekał.

Wielkoduszny Enami, przepychając się przez tłum ludzi, skierował się w stronę telefonu publicznego. Rozmawiał przez trzy albo cztery minuty, następnie odwiesił słuchawkę i wrócił do grupy japońskich turystów, zmęczonych czekaniem na autobus. Patrząc z powagą na Mitsuko, zapytał:

– To pani przyjaciel? Ten Japończyk, który został ranny? –
przełknął ślinę, wyznał: – Jest umierający. Przed godziną jego stan
nagle się pogorszył.